

- Patrząc w przyszłość
- Spadkobiercy spalonego młyna
- Zbrodnia
- Ponad góry, ponad chmury, ponad niebo...



Foto: Grzegorz Galasiński

Jestem nadal entuzjastą reformy

ROZMOWA Z DYREKTOREM PP „POLMOZBYT” W ŁODZI — JANEM GRZESIEKIEM.

— Niedawno minister Jerzy Urban zarzucił dziennikarzom, którzy wyrażali negatywne opinie na temat projektu powoływania dużych organizmów gospodarczych, że są niekompetentni i nie wiedzą, co krytykują. Pan natomiast jest dyrektorem „Polmozbytu”, który jako jeden z trzech w kraju nie wstąpił do zrzeszenia i nadal nie ma takiego zamiaru. Czy jest pan zatem nadal entuzjastą reformy gospodarczej?

— Jestem nadal entuzjastą, ale nie odnoszę się tutaj do kraju, a mówię o reformie w przedsiębiorstwie, którym przyszło mi kierować. A jestem entuzjastą dlatego, że widzę jakie rezultaty w tym przedsiębiorstwie przynosi reforma.

— Ale jest pan przeciwnikiem dużych organizmów gospodarczych?

— Wcale nie. Tylko uważam, że w gospodarce nie można stosować jednych i tych samych rozwiązań we wszystkich przypadkach.

NIE KAŻDY KONCERN JEST ZŁY

— Czy mógłby pan tę myśl rozwinąć?
— Byłem swego czasu zwolennikiem tworzenia Wielkich Organizacji Gospodarczych. Byłem wtedy zastępcą dyrektora „Stomilu”. I właśnie w „Stomilu” WOG sprawdzał się znakomicie i przyczynił się do rozwoju przemysłu gumowego. W tym przypadku koncern stwarzał warunki nowoczesnego rozwoju.

— Dlaczego zatem zrezygnowano z WOG-ów?

— W każdym działaniu, gdy wprowadza się coś nowego, występują niedociągnięcia, brakuje przepisów, powstają luki prawne. Tak było i z WOG-ami. W „Stomilu” jednak nie wyko-

rzystywaliśmy tych niedoskonałości tak, jak zrobili to inni.

— A co zrobili?

— Wykorzystali je, aby uzyskać dla swoich WOG-ów dogodniejsze pozycje. Nie było to działanie moralne, a wręcz przeciwnie. Czasem były to nawet kanty.

— I to był jedyny powód?

— Nie, powodów było kilka. Później, jako zastępca dyrektora pracowałem też w Zjednoczeniu Stomil, które przez pewien czas pełniło rolę WOG-u. Ale szybko zostało przekształcone w narzędzie nacisku na fabryki. Stało się przekazywaniem poleceń i instytucją do rozliczeń fabryk. Pod koniec lat siedemdziesiątych zjednoczenie rozliczane było przez resort ze 163 wskaźników!

— Można sądzić, iż pan żałuje, że WOG-i nie utrzymały się.

— Owszem, gdyż uważam, że w niektórych gałęziach spełniałyby pozytywną rolę. Mogłyby być na przykład partnerami dla podobnych koncernów działających w krajach uprzemysłowionych. Proszę jednak nie sądzić, że ten pogląd nie jest oparty na faktach. Na przykład w CSRS i na Węgrzech w niektórych dziedzinach gospodarki utrzymuje się model koncernów i spełnia pozytywną rolę. Podobnie — choć tam zastosowano nieco inne rozwiązania — jest w NRD i ZSRR.

— Na czym więc — zdaniem pana — polegał błąd?

— Nasz błąd polega na tym, że my stosujemy jeden wzór, jedno rozwiązanie we wszystkich dziedzinach gospodarki, a takie rozwiązanie może w jednych dziedzinach spełniać swoją

4

Komórka nie jest nawet taka mała. Natomiast na pewno jest cholernej ciemna, bowiem ledwie przekroczyłem próg od razu wałę czolem w coś ciepłego, dyndającego na wysokości głowy. Od uderzenia wzrok mi się jakby wyostrzył i z lekkim zdziwieniem spostrzegłem, że to „coś” przypomina rower skrzyżowany z gokartem. Łącznie rurki, kolia przetrutki, tylko dlaczego to dziwadło wisł akurat na wysokości nosa?!

— O rany, zapomniałem uprzedzić, że wiszą tuż za progiem, strasznie przeproszam, ale sam pan widzi jaka tu ciasnota — gesto się tłumaczac gospodarz dociera wreszcie do okienki i do wnętrza wpada nieco słońca. Prawdziwa rowerowa graciarnia, choć muszę przyznać, że w tym pozornym, „męskim” balaganie praktycznie wszystko jest pod ręką. Piętrzą się smukłe ramy, obok różnej wielkości tryby i przekładnie, kolejne miejsca na swożdziach zajmują przetrutki, hamulce, jakieś linki, jeszcze błotniki i skrzynka sprzęzyn. W kącie grzeecznie czekają na swój dzień różniste koła, kołki i obręcze. A pod sufitem dyndają dwie — teraz je widzę wyraźnie — maszyny blyskające chromami, pięknie wymalowane zapraszające na wysokie siodełka. Cztery w sumie.

— Bo to są dwuosobowe pojazdy — szczyrzy zęby w dziurym uśmiechu. Mieczysław Kaczmarek (dla przyjaciół naci oboję — Maciek...) — Klasyczne „pedałówki” przystały mnie interesować dopiero lat temu. O proszę, ten błękitny jest czterokołowy, a

ten żółty trzykołowy, ale to już druga generacja moich wehikułów.

— Trudno je nazwać rowerami.

— Fakt, niektórzy proponują termin „cyklomobil”, może niezbyt trafny, ale są to rzeczywiście małe samochodziki bez silnika, co prawda.

bez żadnych problemów podjeżdża pan ze stałą szybkością 35-40, w porowach 50-55 kilometrów na godzinę. Leciałem nim kiedyś — co prawda z górki — „osiemdziesiątką”. Podjeżdżałem też bez żadnych problemów choćby na przełęcz Mogilany koło Krakowa, na „zakopiance” obserwując nie

mierzyć się do siodełka. Wiać ciwie trudno to nazwać rowerym siodełkiem, to raczej wąskie siedzisko z oparciem, choć trzeba przyznać dość wygodne. Szkoda, że kopny śnieg za oknem, zaraz bym własnoręcznie, a raczej — własnonożnie, wypróbował ten „szybowiec”.

— Zawodową nigdy. Z wykształcenia jestem technikiem budowlanym, od dziesięciu lat — tu panna pewnie zaskoczę — śpiewakiem, ale rowery zawodowe nie wchodziły mi w grę. Zgoda, wielu lubi turystykę rowerową.

— Tak, ale mnie nie interesują klasyczne rowery. Zjeżdzi-

Tańca „Siąsk”, ożeniłem się z tancerką z zespołu, wkrótce przyszło na świat dziecko, ale nie było mi w stanie przekazać w realizacji moich rowerowych marzeń. Słuchałem nad startą rurek pół zimny, całą wiosnę i latem 1978 roku — wyjechałem swoim pierwszym „trójkołowcem” jednoosobowym, o, proszę, tak wyglądał.

Spośród zasiedlającej stół sterty zdjęć, szkiców, rysunków w różnych skalach Maciek wyszukuje to jedno. Jakiś ten wehikuł niezgrabny w porównaniu z tymi, które przed chwilą oglądałem; jedno, duże koło z tyłu, z przodu — dwa, mniejsze.

— Takie były początki, bardzo byłem dumny, choć dziś muszę przyznać, że miał wiele wad. Był ciężki, ważył ponad 35 kilogramów, jedno koło z tyłu powodowało, że na zakrętach tracił na stabilności, nie miał przetrutki. Ale mnie się podobał, choć stałem się pośmiewiskiem kolegów, a pół zespołu wołało za mną „głupi Maciek”.

— Ale już jeździło się nim w pozycji siedzącej, w foteliku z oparciem.

— Wie pan, ośmiłko mnie kiedyś w czasie ćwiczeń na przyrządzie o nazwie „Atlas”; jak wielką ma człowiek siłę w nogach, gdy ma z tyłu oparcie. Prosty przykład, którym się zawsze posługuję: gdy zaprzę się pan plecami o ścianę, to siedząc na podłodze bez żadnych problemów przosnąć można nogami choćby ciężką szafę. A czyby włożył tę siłę w rower?!

— W 1978 roku. Pracowałem wówczas jako bas, tak, tak, w chórze Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i

5

Kto zainteresuje się konstrukcjami Mieczysława Kaczmarka?

Wynalazcy zawsze mieli trudne życie

DARIUSZ DOROZYŃSKI

— Ale skąd...

— ...ta szajba? Zaraz opowiem, wszystko po kolei, ale najpierw niech pan je obejrzy. Parę szczegółów: waga — 40 kilogramów, kierownica jak w gokarcie, przód — niezależnie resorowany, tył — na sprężynach, po wyjściu z zakretu koła przednie same wracają do pozycji „na wprost”, dziesięć biegów, dwa tylne koła napędzane bez mechanizmu różnicowego, co — przyznaję — to lekkie ostupienie uprawilo kiedyś nawet fachowców z „Rometu”. Trójkołowce trochę lżejszy, zwrotniejszy i szybszy.

— W granicach?

— „Czwórka” dla przykładu

bez satysfakcji miny wotelu zmotoryzowanych, stojących na poboczu, obok swych aut, w których gotowała się woda w chłodnicy.

— Tak „na oko” pan to szybkość mierzył?
— Bynajmniej, o, proszę — tu jest zamontowany licznik szybkościowy i kilometrów, tu dochodzą jeszcze dwa reflektory (zasilane) z baterii, lusterka wsteczne, z tyłu ma pan obszerny bagażnik, w którym śmiało można przewozić i 50 kilogramów.

Konstruktor opuszcza jeden z wehikułów na podłogę, bym mógł obejrzeć „czterokołowiec” w pełnej krasie, a nawet przy-

— Zapraszam wiosną, nie ma problemu, może będą już gotowe inne modele, ale my tu marzniemy, więc proszę do mieszkania.

Nawet się chętnie godzę, ale tuż przed opuszczeniem komórki, sorry — warsztatu, zauważam przymocowaną do „falbanku”, w dwóch „śrubostakach” jakąś nietypową, długą ramię rowerową.

— A coż to takiego będzie?

— Jeden z przygotowywanych, kolejnych już „jamników”

— Skąd się wzięły u pana te konstruktorskie i w ogóle rowerowe zainteresowania? Uprawiał pan może kolarstwo?

tem na takich pół Polski, trzydziestokilometrowe trasy pokonywałem w 15 godzin jazdy non-stop, z Częstochowy do Lublina jechałem na starej „Ukrainie” w jeden dzień, ale to nie było to...

— Samotność?

— Też, a poza tym ciągle obserwuje pan świat w niewygodnej, schylonej pozycji, boli kark, nadgarstki, plecy. Marzył mi się szybki, wygodny samochód na pedałach.

— Kiedy ten pierwszy ujrzał światło dzienne?

— W 1978 roku. Pracowałem wówczas jako bas, tak, tak, w chórze Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i

Ogłosy

Adres redakcji: 90-113,
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejowski,
Krzysztof
Drzewiecki, Bohdan
Gadomski, Witold
Kasperkiewicz, J. Stanisław
Knypl, Włodzimierz
Krzemiński, Alfred
Lutrzykowski, Władysław
Malka, Marek Mamos,
Zenon J. Michalski,
Jerzy Panasewicz, Karol
J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawni-
ctwo Prasowe RSW „Prasa —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch”, Łódź, ul. Armii
Czerwonej 23.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla
Instytucji i zakładów pracy: —
zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— Instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach,
gdzie nie ma Oddziałów
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” opłacają prenumeratę w
urzędach pocztowych i u dorę-
czyteli. 2. dla indywidualnych
prenumeratorów: osoby fizyczne
zamieszkałe na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” opłacają prenumeratę
w urzędach pocztowych i u dorę-
czyteli: osoby fizyczne zamieszkałe
w miastach — siedzibach
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzędach
pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miej-
sca zamieszkania prenumerato-
ra. Wpłaty dokonuje się używając
„blankietu wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego
Oddziału RSW „Prasa — Książka
— Ruch” 3. Prenumeratę ze
zleceniem wysyłki za granicę
przyjmuje RSW „Prasa —
Książka — Ruch” Centrala Kol-
portażu Prasy i Wydawnictw,
ul. Towarowa 23, 00-958 War-
szawa konto NBP XV Oddział
w Warszawie nr 1153-201045-
139-11. Prenumerata ze zlece-
niem wysyłki za granicę pocztą
zwykłą jest droższa od prenume-
raty krajowej o 50 proc. dla
zleceniodawców indywidualnych
i o 100 proc. dla zlecających In-
stytucji i zakładów pracy. Ter-
miny przyjmowania prenume-
raty na kraj i za granicę — do
dnia 10 listopada na I kwartał
i półrocze roku następnego oraz
cały rok następny — do dnia
1 każdego miesiąca — poprze-
dzającego okres prenumeraty
roku bieżącego.

Zam. 432. B-2.

Przegląd prasy

Opowiadać dowcip rysunkowy nie jest łatwo, a co więcej, jest to przedsięwzięcie dość ryzykowne. Spróbuję jednak. Oto za biurkiem siedzi prezes. Przez uchylone drzwi wkłada głowę urzędnik. I mówi: — Prezesie, nowe znów przyjechało. Zdarza się to w niejednej instytucji, fabryce, przedsiębiorstwie, że ni stąd ni zowąd nagle przyjechało nowe. I jest kłopot. Ale też bywa i tak, że stare mocno się zadomowiło, zasiedziało, zdobyło właściwe pozycje i nie chce za nie odejść. A często przegonię — wydawałoby się z krzesłem — wraca zupełnie niespodziewanie. I wtedy urzędnik mógłby wsadzić głowę do gabinetu prezesa i powiedzieć: — Prezesie, stare wróciło!

W oficjalnych stwierdzeniach mówi się z całą stanowczością, że nie ma odwrotu od reformy gospodarczej, a w praktyce bywa i tak, że

PODEJMUJE SE DZIAŁANIA Z REFORMĄ SPRZECZNE

W „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM” (nr 7 z 16 lutego 1986 roku) ukazała się rozmowa Piotra Aleksandrowicza z Andrzejem Miłkowskim, technikiem — mechanikiem, który w Hucie „Warszawa” jest przewodniczącym Rady Robotniczej. Tytuł rozmowy: „Alternatywa”. Dotyczy ona integracji hut. Czy huty muszą się integrować? Okazuje się, że tak. Jest taka potrzeba, ale nie może ona polegać na tworzeniu sześciu pośredniego, który odebrałby hutom ich samodzielność.

...ciężko mieliśmy i mamy — mówi Andrzej Miłkowski — do czynienia z próbami przymusowego tworzenia sześciu pośrednich, próbami wprowadzenia nakazów i ograniczenia samodzielności”.

Zaczęły się te próby od wprowadzenia „dymarectw” czyli — po prostu — kombinatów.

...ten pomysł — mówi dalej Andrzej Miłkowski — został skrytykowany w prasie i przez sporą część przedsiębiorstw, choć nie wszystkie. Idea kombinatów zakładała bardzo istotną utratę samodzielności, zaprzeczala duchowi i literze reformy gospodarczej. Nie mogliśmy się na to zgodzić (...).

...wystąpiliśmy w sprawie koncepcji „dymarectw” do Sejmu, zwracając uwagę na zagrożenia, jakie tego typu tworzenie niesie dla reformy. W resortach potraktowano to niemal jako przestępstwo”.

Koncepcja „dymarectw” upadła, ale „nie upadła koncepcja powrotu do pośrednich sześciu zarządzania i ograniczenia samodzielności zakładów”. Zamiast kombinatu wymyślono „Wspólnotę”. A „do „Wspólnoty” parla głównie Huta Katowice”. Do „Wspólnoty” wstąpiły m.in. huty: „Ballów”, „Bieruta”, „Warszawa”. Dlaczego? Bo „projekt” — odpowiada Andrzej Miłkowski — naruszał m.in. ustawy o przedsiębiorstwie i samorządzie. Przecież uchwalając ustawy fundamentalne dla reformy, założono, że poziom świadomości społecznej, jest tak wysoki, iż część odpowiedzialności za losy gospodarcze państwa można oddać w ręce załóg pracowniczych i co? Teraz okazuje się, że ludzie zgłupieli, są nieodpowiedzialni? Po drugie — projekt nie dawał żadnego uzasadnienia, że taka struktura będzie efektywna ekonomicznie, natomiast ścisły ograniczał samodzielność i samofinansowanie przedsiębiorstw”.

Huta „Warszawa” wystąpiła z projektem powołania całkowicie dobrowolnego zrzeszenia „Polska stal”. Zrzeszenie to „byłoby jedynie inspiratorem, koordynatorem, ale nie konendantem. Byłoby miejscem wymiany informacji, instytucją usługową, a nie zarządzającą.

To jest zasadnicza różnica — stwierdza A. Miłkowski — w stosunku do „dymarectw” czy „Wspólnoty”. Ale „Wspólnota” została już powołana do życia. „Polska stal” pozostaje jeszcze w sferze projektów. Ciekawe, czy nowe, które przyjechało nieproszone przez wielu różnych urzędników znajdzie sobie miejsce, czy też nie?

W tym samym numerze „Przeglądu Tygodniowego” Helena Kowalik opublikowała

REPORTAŻ Z ŁODZI

o nauczycielce, która lubiła dzieci i którą dzieci lubiły. Jest to historia pełna dramatyzmu, konfliktów, która skończyła się w sądzie, a zawieszona w czynnościach nauczycielki grozi poważne konsekwencje. Rzecz nazywa się: „Zatrzasnij drzwi”.

Dramat — bo tak to trzeba nazwać — rozgrywa się pomiędzy matką 13-letniej dziewczynki, którą Helena Kowalik nazywa Mariolą, jej matką, dyrektorką szkoły i nauczycielką wychowania fizycznego w jednej z łódzkich szkół. Nazwiska i imiona są zmienione, ale zainteresowani łatwo siebie odnajdą. Mariola weszła w ostry konflikt z własną matką oraz pokochała młodą nauczycielkę. Zaczęła uciekać z domu i szukać schronienia u ukochanej pani. Owa ukochana pani ma męża i własną córkę i przyjmowała objawy uczucia 13-letniej Marioli raczej z zaskoczeniem, choć jej dom nigdy nie był zamknięty dla młodzieży, którą lubiła i rozumiała. W konflikt została zaangażowana rodzina, szkoła, milicja, a wreszcie prokuratura i sąd. Wreszcie podejrzenie porwania dziecka i uprawiania z nieletnią dziewczynką miłości lesbijskiej. Jeśli dojdzie do takiego oskarżenia, to nauczycielka „dostanie poza sankcją karną wliczy bilet w zwodzie, którego się wyuczyła”.

„Przed trzema laty — pisze Helena Kowalik — podobne kłopoty miało młode małżeństwo, które spontanicznie zapośredniczył nocą na dworcu. Uciekły z domu, gdyż znęcał nad nim starszy brat, a matka nie reagowała. Zabrali go do domu, a mężczyzna, który był społecznym kuratorem, prowadził pertraktacje z matką. Rodzina chłopca postawiła opiekuna przed sądem pod zarzutem wykorzystywania nieletniego do praktyk homoseksualnych. Dopiero w drugiej instancji udało się kuratorowi wybronić. Gdy skazywano go, w uzasadnieniu wyroku sąd pisał, że nie sposób uwierzyć w uczciwe intencje młodego małżeństwa w czasach, gdy brakuje żywności i mięso jest na kartki. Przecież taki nastoletni chłopak ma wliczyć apetyt”.

Przerażająca jest ta nieufność!

A przecież nie wszyscy są tacy. Oto w „DZIENNIKU ŁÓDZKIM” (nr 38 z 14 lutego 1986 roku) Jerzy Szelewicki proponuje hasło:

SERCE NA DŁONI

jako wyznacznik takich właśnie postaw i zachowań, które są pomocne innym. Bezinteresowne, a czyste ludzkiej życzliwości”.

„To prawda — pisze Jerzy Szelewicki — żyjemy w nietrywialnych czasach. Co krok potykamy się o rozmaite przeszkody, borykamy się z trudami codzienności wyciętą na naszej psychice piętno egoizmu i przywary. Chętniej niż „my” mówimy: „ja”. Często jakbyśmy zapomnieli co oznacza słowo „przyjaciel”. O ile jednak łatwiej byłoby nam znieść wszelkie niewygody, gdybyśmy zechcieli przełamać w sobie apatię, otworzyć się, obudzić drzemnącą w każdym z nas, tylko juleby przytumioną życzliwość i serdeczność (...).

A teraz pytanie: której struny dotknąć, do jakiego sposobu uciec się, aby przynęty łody wokół naszych serc? I o drazu odpowiedź: poszukajmy dobrych wzorów. Przykłady podajmy. Niniejszym „Dziennik Łódzki” rozpoczyna zaciąg do pierwszego zastępu ludzi z sercem na dłoni”.

Piękna to inicjatywa. Będziemy w niej chętnie sekundo-

wali „Dziennikowi Łódzkiemu” pokazując również przykłady serdeczności, życzliwości, wzajemnej pomocy i zrozumienia. Ale też nie można przejść obojętnie koło przypadku, gdzie człowiekowi utraconą godność, honor, dobre imię. Ileż ludzi — serdecznych i życzliwych — po zapoznaniu się z takimi przykładami, a nie jest to jedyny i ośmieszający, zaważa się, co nie, zatrzyma wpuł kroku i nie okaże innym swojej serdeczności i życzliwości. Potrzebne są więc wysiłki zmierzające do tego, aby ludzie nie bali się i nie wstydzili swojej życzliwości, aby nie byli za to karani.

Przykład z kuratorem społecznym, opisany przez Helenę Kowalik w „Przeglądzie Tygodniowym”, pokazuje jak łatwo jest człowieka oskarżyć, bezpodstawnie posądzić, a nawet skazać opierając się na domniemaniach a nie faktach. Jak trudno jednak przywrócić człowiekowi utraconą godność, honor, dobre imię. Ileż ludzi — serdecznych i życzliwych — po zapoznaniu się z takimi przykładami, a nie jest to jedyny i ośmieszający, zaważa się, co nie, zatrzyma wpuł kroku i nie okaże innym swojej serdeczności i życzliwości. Potrzebne są więc wysiłki zmierzające do tego, aby ludzie nie bali się i nie wstydzili swojej życzliwości, aby nie byli za to karani.

STUDENT TEŻ KOCHA

Do takiego wniosku doszedł Zbigniew Branach, który w „KULTURZE” (nr 7 z 12 lutego 1986 roku) pomieszczył reportaż o studenckiej miłości zatytułowany: „Sceny miłosne z akademików”. Tytuł to więcej mylący i ten z Szanownych Czytelników, kto spodziewa się dowiedzieć, jak się studentki kochają, srodze się rozczaruje. Reportaż powinien nosić raczej tytuł: „Sceny małżeńskie w akademikach”, gdyż mało tu miłości, a więcej jej skutków.

„Student — pisze Zbigniew Branach — przede wszystkim ma się uczyć, to jasne, są jednak dorośli ludźmi, kochają się i zakładają rodziny, mają dzieci, stekiedy także się rozwodzą”.

Jak w życiu.

Student tym różni się od innych dorosłych ludzi, że jeszcze się uczy i to często bardzo ciężko, aby później wieść wcale niełatwe życie. Często jego szkolni koledzy, którzy poszli do pracy, mają się lepiej i prędzej do czegoś dochodzą. Tak więc u studentów dzieje się podobnie, jak u innych. Poznają się, kochają, żenią, mają dzieci, tyle że mieszkają nie w hotelu robotniczym, a w akademiku. Jedni żenią się, bo już do tego dojrżeli, inni żenią się lub wychodzą za mąż, bo tak wypada, takie są koleje losu, ale wcale jeszcze do tego nie dojrżeli.

Zbigniew Branach opisuje różne małżeństwa studenckie. Grażyna i Jerzy mają kilkoro dzieci i bardzo je kochają. Myślą o przyszłości poważnie, choć nie rysuje się ona im różowo. Przygotowani są jednak na wspólne pokonywanie trudności. Roma i Zenek żyją dostatnio, rodzice ich finansują. Po studiach wrócą do swego miasteczka, gdzie też będzie się im dobrze działo. Mają taką nadzieję. Ale Maciek nie powinien być zenisz. Teraz Maria chowa dziecko i placze. Przyjechała Kaśka — dawna dziewczyna Macieka. Przyjeżdża na ogół w sobotę, raz w miesiącu. Wtedy Maciek dzwoni, że zjawi się dopiero w poniedziałek. I przynosi kwiaty, przeprosza... Za miesiąc wszystko znów się powtórzy. Wanda lubi życie, zabawę, ruch, wesołość i innych mężczyzn. Po co więc wyszła za Jacka? Kto to wie? Roman natomiast ma jednocześnie dwoje dzieci, każde z inną kobietą, a one mieszkają na jednym korytarzu akademika. Roman mógł wziąć ślub tylko z jedną. Wybrał młodszą, Dorotę.

Jak w życiu.

„W studenckich rodzinach jest tak samo, jak w innych — napisał Zbigniew Branach — lepiej lub gorzej”. Od innych studentów różni się tylko tym, że w pełne życie wędą we dwoje, w troje. Może będzie im łatwiej.

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Nakaz główny — współudział

Obserwuję nieraz, że stosunek niektórych moich współczesników do programów partii lub rządu i podobnych dokumentów dotyczących życia społecznego (przybiera nierzadko skrajne formy — stanowczego odrzucenia (bez prób zapoznania się z treścią) lub bezkrytycznego zaufania, zbyt mało bowiem rozpoznały się postawy krytycznego namysłu, wymagające umysłowego wysiłku, gdy tamte charakteryzują się lenistwem.

Najbardziej zresztą może irytować postawa tych, co pod byle pretekstem zlorzeżą na zatajanie przez władze swoich celów i zamiarów, i domagają się nieustannie „całkowitej jawności życia publicznego”, kiedy się jednak program działania wszystkim udostępni, wówczas bagatelizują go jako fakt bez znaczenia, który rzekomo nie jest w stanie wywrzeć żadnego wpływu na warunki, w jakich żyjemy.

Należałoby na to odpowiedzieć, iż rzeczywiście, żaden program, żaden nawet najlepiej opracowany dokument nie jest w stanie sam przez się spowodować radykalnej zmiany w życiu, musi być bowiem najpierw przeczytany (lub wysłuchany) żeby w ogóle zacząć oddziaływać na świadomość społeczną.

Przypuszczam, że każdy gotów jest zgodzić się z poglądem, iż zły program działania — politycznego czy gospodarczego — może stać się przyczyną poważnych strat i niepowodzeń, odrzuconych przez całe społeczeństwo, czego przykłady powinniśmy mieć w dość jeszcze świeżej pamięci. W takim razie jednak należy logicznie przyjąć, że przeciwieństwo programu złego, czyli program dobry powinien przynieść skutki pozytywne.

„No to niech te dobre skutki czym prędzej przyniesie, wtedy, proszę bardzo, mogę taki program nawet pochwalić. Ale niech się wpięć sprawdzi!” W takim rozumowaniu kryje się jednak ciągle jeszcze u wielu pokutujący błąd myślowy (a raczej — niedomyślenie sprawy do końca), że mianowicie dopiero udział całego społeczeństwa, powiedzmy — znacznej jego większości, w wykonywaniu (rzetelnym, oczywiście) zadań gospodarczych, społecznych i innych może nadać realność jakimkolwiek planom i projektom o szerszym zasięgu.

A nawet milcząca zgoda i poparcie dla społecznego programu bez przemyslenia jego założeń i ewentualnej krytyki jego słabszych punktów jeszcze nie wyrażają postawy najwłaściwszej. Jak pisze się bowiem w Programie wydanym przed zbliżającym się X Zjazdem partii przez Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej; „Pragniemy, aby swą myślą i czynem wzbogacali go ludzie pracy, członkowie partii i bezpartyjni, wszyscy, którymi kieruje troska o losy kraju”. Oczekuje się więc przemyśleń i dyskusji o tym, co każdy z nas zna najlepiej ze swojego doświadczenia.

Ale już zwrócić uwagę na jeszcze jedno. Ilekroć nakreśla się jakieś długoterminowe plany, mające przynieść społeczeństwu poprawę warunków życia w tej czy innej dziedzinie, podaje się to do publicznej wiadomości zwykle z zastrzeżeniem, że wymienione cele są możliwe do osiągnięcia pod warunkiem wypełnienia przez społeczeństwo takich to a takich przesłanek (w praktyce chodzi najczęściej o aktywny udział jak najliczniejszych środowisk społecznych).

Tymczasem jakże często adresaci programu, a więc my wszyscy, zapamiętujemy tylko obietnice (że mianowicie przybędzie nam tego lub innego towaru, nastąpi taka lub inna ulga), zapomniamy natomiast niesforobliwie o sprzyjających jasno i wyraźnie warunkach, np. w postaci wydajniejszej pracy czy zaoszczędzenia jakichś surowców lub środków finansowych itp.

Te zasady i reguły dotyczą również obecnego przedmiotowego Programu partii, a uwarunkowania sprawozdają się jak zwykle do jednego słowa, będącego jakby wspólnym mianownikiem dla większości przypadków: „Współudział”. Z myślą o tym, że w Programie zawierają się dyrektywy działania dla wszystkich pracujących zabieramy się do uważnej lektury Programu, od którego realizacji zależy tak dużo w najbliższych latach i nadchodzącym stuleciu.

My zaś na łamach „Ogłosów” będziemy do zagadnień zawartych w Programie nieraz jeszcze wracać.

JERZY KWIECIŃSKI

Nagroda artystyczna młodych im. Stanisława Wyspiańskiego

Rada Ministrów ustanowiła Nagrodę Artystyczną Młodych Im. Stanisława Wyspiańskiego. Nagroda przyznana będzie za znaczące osiągnięcia młodych twórców w dziedzinach: literatury, filmu, teatru, muzyki, sztuk plastycznych, tańca i baletu, architektury, fotografii, estrady, sztuki ludowej, sztuki cyrkowej, krytyki artystycznej. Mogą ją uzyskać także osoby mające osiągnięcia w zakresie działalności upowszechnieniowej w dziedzinie edukacji kulturalnej dzieci i młodzieży oraz innej działalności społecznej, służącej upowszechnianiu kultury i sztuki.

Nagroda będzie przyznawana osobom indywidualnym lub zespołom. Laureaci otrzymają dyplom, medal i nagrodę pieniężną bądź stypendium twórcze związane z uprawianą dziedziną. Przewiduje się również dodatkowe środki promocji i pomocy.

Nagrodę przyznaje minister — członek Rady Ministrów do Spraw Młodzieży. Wnioski — dla osób, które nie ukończyły 33 roku życia — mogą składać: organy administracji państwowej, organizacje młodzieżowe, organizacje społeczne i spółdzielcze, w tym stowarzyszenia zrzeszające twórców, instytucje artystyczne i przedsiębiorstwa wydawnicze, szkoły wyższe i placówki naukowo-badawcze, redakcje gazet i czasopism.

Zgłoszenia przyjmuje Komisja Nagrody — do 30 marca 1986 r. — pod adresem: Urząd Rady Ministrów, Biuro do Spraw Młodzieży, ul. Krakowskie Przedmieście 46/48, 00-325 Warszawa, z dopiskiem „Nagroda Artystyczna Młodych”, telefon Sekretariatu Komisji: 40-34-52.

Dla każdej partii politycznej problem programu działania to podstawowa sprawa sensu jej istnienia.

Program, by spełnić swoją rolę, zawierać musi z jednej strony przedstawione w sposób skondensowany podstawowe kierunki działania i cele, które następnie konkretyzowane bywają przez zjazdy i inne partyjne gremia. Z drugiej strony — zawierać winien elementy bezpośredniego oddziaływania na świadomość, dając swojego rodzaju ramy światopoglądowo-ideologiczne dla tych, którzy zdecydowali się nie tylko formalnie należeć do partii.

Jak ważną i dalekosiężną sprawą jest sformułowanie jednolitego i zwartego programu partii świadczy fakt, że tak bogata w tradycje i głęboko osadzona w historii partia, jaką jest Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego, miała w swoich dziejach (występując pod historycznymi nazwami) trzy programy. Wyznaczyły one etapy walki: najpierw o urzędowanie rewolucyjny, etap mobilizacji rosyjskiego proletariatu (uchwalony na II Zjeździe SPPR w 1903 roku); wyciągający zadania zbudowania ustroju socjalistycznego, uchwalony na VIII Zjeździe RKP(b) w 1919 roku; trzeci — rysujący komunistyczną perspektywę rozwoju społeczeństwa radzieckiego, uchwalony przez XXII Zjazd KPZR w 1961 roku. Od sformułowania pierwszego programu do drugiego upłynęło 16 lat, od drugiego do trzeciego 42 lata i obecnym po dwudziestu pięciu latach program z 1961 roku ciągle obowiązujący, otrzymał nową wersję.

NOWE WARUNKI, NOWE CELE

W ciągu ćwierć wieku, jaki upłynął od 1961 roku, wiele zmieniło się w świecie. Stąd oczywiste jest, że przy każdym działaniu potrzebne są korektury kursu, co dopiero w działaniu na taką skalę, jakim jest budowa nowego systemu społecznego. Program uchwalony na XXII Zjeździe KPZR w 1961 roku generalnie zdał egzamin i Związek Radziecki posunął się daleko na drodze budownictwa socjalistycznego we wszystkich podstawowych kierunkach. I choć w wyniku splotu przyczyn obiektywnych i subiektywnych nie udało się rozwiązać wszystkich problemów społecznych i gospodarczych w proponowanych terminach, to — jak stwierdza tow. Ligaczow w komentarzu do Programu zamieszczonego w 16 numerze „Kommunisty” — „nasze sukcesy w przekonywający sposób obalają stwierdzenia imperialistycznej propagandy, jakoby trzeci program nie sprawdził się i musieliśmy od niego odstąpić”.

Tow. Ligaczow przypomina, że w okresie od 1961 roku, w okresie funkcjonowania Programu, dochód narodowy Związku Radzieckiego wzrósł 3,8 razy. Produkcja przemysłowa wzrosła 4,8 razy, a wydajność społeczna pracy 3,2 razy. Realne płace wzrosły 2,5 razy przy czym na przykład 267 milionów ludzi polepszyło w tym czasie swoje warunki mieszkaniowe. Związek Radziecki przyspieszył tempo rozwoju. Nastąpiło przejście ku powszechnemu wykształceniu średniemu, osiągnięta wybitne sukcesy radziecka nauka i technika. Okrzepły stosunki społeczne w ich socjalistycznym kształcie, została dalej rozwinięta demokracja socjalistyczna, wzmocniono uległa socjalistyczna praworządność. Przez ostatnie ćwierć wieku, niezależnie od dalszego komplikowania się sytuacji międzynarodowej, licznych prowokacji imperializmu przeciw socjalizmowi, udało się osiągnąć zmiany w stosunku sił na arenie światowej na korzyść socjalizmu, nie pozwalając przy tym imperializmowi na wywołanie wojny.

W nowej redakcji Programu otwarcie mówi się o niedociągnięciach, jak również o pewnych jego nie odpowiadających rzeczywistości sformułowaniach. Jawne przyznanie się do błędów i przeprowadzenie publicznej krytyki, zwłaszcza dotyczące trudności rozwojowych przełomu lat 70 i 80, świadczy o sile partii i istnieniu trwałego przekonania o możliwości urzeczywistnienia wytkniętych przez partię celów.

Partia o wiele lepiej rozumie dziś niedopuszczalność nieuzasadnionego wybiegania naprzód, przeszkakiwania przed historycznym nieuchronnym stopniem procesu społecznego czy wprowadzania komunistycznych zasad i formuł bez należytego odniesienia ich do stopnia dojrzałości materialnej i duchowej społeczeństwa.

Program partii — warto tu przypomnieć wyobrażenia Włodzimierza Lenina — ma za zadanie jasno formułować podstawowe stanowiska partii, jej strategiczne cele, być jasnym i dokładnym wyłożeniem tego, o co partia walczy w danym okresie czasu. Lenin przestrzegł przy tym, że cele zbyt wygórowane powodują przy stwierdzeniu niemożliwości ich realizacji utratę zaufania do całego programu, traktowania go w całości jako fantazję.

Przedstawiając projekt nowej redakcji programu na październikowym Plenum KC KPZR, sekretarz generalny, Michaił Gorbaczow stwierdził:

„W całej tej pracy kierowaliśmy się leninowskimi zasadami konstruowania programu partii. Powinien być on ścisłym odbiciem rzeczywistego procesu, jasno wykladać podstawowe tezy, zadania praktyczne, być pozbawiony zbędnej szczegółowości, bezpodstawnego fantazjowania, jak i ksiązkowej przesadności, zabawy w definicje. Program — to jasna i jednoznaczna deklaracja o tym, do czego partia zmierza i o co walczy”.

Główny nacisk został położony na strategiczne kierunki pracy partii. Konkretnie, ilościowe wskazanie społeczno-ekonomicznego rozwoju znaleźć mają odbicie w decyzjach zjazdów, planach pięcioletnich i innych ogólnopartyjnych i państwowych dokumentach.

„Trzeba mieć na uwadze — przypomina w swoim omówieniu tow. Ligaczow — że tym pełniejsze ujęcie zaleci socjalizm, jego usprawnienie, doskonalenie, wzmocnienie charakterystycznych dla ogólnokomunistycznych przesłanek, oznacza w swojej istocie rzeczywiste przybliżenie społeczeństwa do komunizmu”.

W nowej redakcji projektu programu pojawiają się pewne nowe stwierdzenia: o planowym i wszechstronnym doskonaleniu socjalizmu, o drogach przejścia do intensyfikacji ekono-

nomii, doskonaleniu systemu zarządzania, stosunków dystrybucji; o zacieraniu się różnic społeczno-klasowych, rozwiązaniu problemu narodowości, kształtowaniu się nowej wspólnoty historycznej — narodu radzieckiego; o socjalistycznym samorządzie i perspektywach jego stopniowego przechodzenia w samorząd komunistyczny w ogólnospołecznym wymiarze.

JAKI JEST WSPÓŁCZESNY KAPITALIZM

Surowo, ale obiektywnie osądzony został współczesny kapitalizm. Podkreślono przeobrażenie się współczesnego kapitalizmu końca XX wieku w formy nie znane na początku tego stulecia, a nawet w jego środku. Podkreślono, iż w warunkach państwowo-monopolistycznego kapitalizmu, jednoczącego siły monopolu i państwa w jednym mechanizmie, zaostrza się konflikt między gigantycznie rozwiniętymi siłami wytwórczymi a kapitalistycznymi stosunkami produkcji. Nasiliła się wewnętrzna niestabilność ekonomiki, wyrażająca się w zwolnieniu ogólnego tempa wzrostu, przepiętaniu się i pogłębianiu cyklicznych i strukturalnych kryzysów. Chroniczną chorobą stało się bezrobocie,

TADEUSZ MENDELSKI

Patrząc w przyszłość

które przybrało charakter masowy, zwracają uwagę ogromne deficyty budżetowe i zadłużenie państw.

Nastąpiło wzmocnienie ponadnarodowych korporacji, w wyniku koncentracji i internacjonalizacji produkcji. Zwiększenie kolosalnych zysków na rachunek klasy robotniczej i jej zwiększonego wysiłku w wymiarze międzynarodowym. Podrywa to — podkreśla projekt nowej wersji programu — nie tylko niezależność różnych państw, ale zagraża również narodowym interesom rozwiniętych krajów kapitalistycznych. Przykłady akcji: militarnych, szantażu politycznego, represji, terroru, sankcji ekonomicznych, można by mnożyć. Ale nie tylko takia zjawiska wychodzą z centrów światowego imperializmu, pokrywających się z centrami międzynarodowego kapitału. Nie mniej groźnym zjawiskiem jest antyhumanistyczna ideologia, wyrządzająca niepowetowane szkody życiu duchowemu ludzi. Kult indywidualizmu i rozprężenia moralnego, jadłowity antykomunizm, eksploatacja kultury jako źródła zysku — prowadzi do zaszczepienia bezduśności i moralnej degradacji społeczeństwa. Imperializm zrodził falę terrorizmu, zalewającą społeczeństwo kapitalistyczne. Tym bardziej destruktywna staje się rola burżuazyjnych środków masowej informacji.

Projekt programu w jego nowej wersji przypomina, iż nie uległo likwidacji, a wręcz przeciwnie, uległo zaostrzeniu zjawisko nierównomierności rozwoju państw wewnątrz kapitalistycznego systemu. Między trzema centrami wewnątrz kapitalistycznej konkurencji — USA, Europą Zachodnią i Japonią — trwa i nasila się konkurencyjna walka o rynki zbytu, możliwości inwestycyjne, źródła surowców, przewagę w decydujących sferach postępu naukowo-technicznego. Imperializm ponosi również odpowiedzialność za ogromny i stale rosnący kontrast w poziomie życia i rozwoju ekonomicznego między państwami przemysłowymi kapitalizmu i większością wyzwoleńców państw, za istnienie i utrzymywanie się na świecie wielkich sfer głodu, nędzy, chorób epidemicznych. Odnosi się to szczególnie do imperializmu amerykańskiego i jego pretensji do panowania nad światem oraz zagrożenia wojennego, które z tego wynika, zwłaszcza łatwości ogłaszania różnych części świata sferami swoich „żywojących interesów”.

SOCJALIZM CZYLI WSZYSTKO DLA LUDZI

Szczególne znaczenie ma analiza socjalizmu, jako systemu konkurencyjnego dla kapitalizmu, jak również konkretnych przejawów w historii budowy socjalizmu w Związku Radzieckim. „Socjalizm — głosi projekt — to społeczeństwo, na sztandarze którego napisano: „Wszystko w imię człowieka, wszystko dla dobra człowieka”. Określenia te łączą podejście ekonomiczne, społeczne, polityczne i filozoficzno-moralne. W dziedzinie ekonomiki przyspieszenie tempa rozwoju, bardzo mocno akcentowane w wielu miejscach nowej redakcji programu, ale przy pełnym prawie do pracy i uczeniu z niej czynności coraz bardziej twórczej. W dziedzinie społecznej zacieranie się różnic klasowych i sprzyjanie jedności, realizowanie jednak zasady sprawiedliwej zapłaty za dobrą pracę. W dziedzinie politycznej — kształtowanie się nowych stosunków między narodami i narodowościami przy jednoczesnym tworzeniu się nowej jakościowej wspólnoty — narodu radzieckiego. W dziedzinie politycznej również, w innym jej wymiarze, pogłębianie treści demokracji i samorządności, z podkreśleniem, że samorządność nie może mieć charakteru anarcho-syndykalistycznego, ale musi odbywać się poprzez doskonalenie istniejących organów zarządzania, od zakładów przemysłowych poczynając, na całość życia państwowego kończąc.

Zupełnie szczególny nacisk położono na sprawy świadomości. Zaktualizowanie świadomości i podniesienie jej na wyższy poziom oraz przyspieszenie ekonomiczne — są to niemal dwa terminy-klucze całego programu. Wielkie znaczenie przypisano podniesieniu poziomu świadomości w dziedzinie filozoficzno-ideologicznej i moralnej, w dziedzinie socjalistycznej kultury. Wolność, prawa człowieka, godność jednostki, tożsamość moralnych ocen wobec wszystkich, równy dostęp do kultury, wszechstronność i otwartość tej kultury na wszystko co w świecie najlepsze, kształtowanie nowych stosunków między ludźmi, duchowa i moralna godność człowieka, człowiek jako twórca — to motywy podniesione w określaniu socjalistycznego systemu społecznego z niezwykłą siłą. Przypomniano starą, ale niezwykle ważną prawdę, że socjalizm, to nie tylko coraz lepsza organizacja pracy, większa społeczna sprawiedliwość, ale nowy, wyższy typ stosunków między ludźmi, otoczenie większą niż kiedykolwiek dotąd troskliwą uwagą osobowych wartości człowieka.

Socjalizm, to jednocześnie problem polityczno-ekonomiczny i kwestia stopnia zaawansowania w jego budowie. W tej sprawie musiano skorygować pewne zbyt optymistycznie zakrojone oceny, zwłaszcza dotyczące przejścia do komunizmu, zawarte w redakcji programu z 1961 roku. Przyjęty na XXII Zjeździe KPZR

Zwrócono uwagę na przypadki niezbyt precyzyjnej analizy społeczeństwa socjalistycznego i osiągniętego stadium jego rozwoju w przeszłości. Było to rezultatem oderwania się w niektórych analizach od rzeczywistości, niestosowania zasady jedności „tego, co logiczne” i „tego, co historyczne”. Jako dziedzinę, których analiza w szczególności na tym ucierpiła, wymieniono: problemy określenia sposobów osiągania wyższej wydajności pracy w pierwszej fazie komunizmu, podejście do sprzeczności w socjalizmie, dróg dochodzenia do struktury bezklasowej społeczeństwa, losy leninowskiej idei samorządności, którą próbowano bądź to utosiłnić z jej wykładnią anarcho-syndykalistyczną bądź z komunistycznym społecznym samorządem, na skutek czego myśl teoretyczna nie była w stanie dostrzec istniejących już realizacji socjalistycznych tej idei.

ZADANIA NAUK SPOŁECZNYCH

Mówi się przy tym o swoistej lekcji moralnej, jaka stała się dla nauki w stosunku do przedstawicieli nauk społecznych: „Przez wiele lat wielu naukowców — badaczy życia społecznego wołało spokojnie iś w ariergardzie (...) Wyścigaczy przejrzała publikacje niedawnej przeszłości, by przekonać się o tym, że myśl naukowa niektórych badaczy życia społecznego nawet niekiedy dezorientowała praktykę społeczną. Nie jest przy tym tajemnicą, że autorzy wątpliwych, choć z uporem broniłych ekspertyz nie ponosili moralnej odpowiedzialności ani przed nauką, ani przed społeczeństwem. W niemającym stopniu sprzyjał temu stan naukowej krytyki. Słuzenie prawdzie jest nie do pogodzenia z istnieniem w nauce „ochronnych sfer”, nazwisk, stopni i tytułów, które chronią od krytyki, podobnie jak nie do pogodzenia ani z nauką, ani z partyjną etyką jest szukanowanie za krytykę lub też pełne jej ignorowanie. Dziś takie zjawiska w szczególnym stopniu są nie do przyjęcia. Nikt oczywiście nie jest ubezpieczony od błędów. Ale zawsze było dla uczoności podstawową normą moralną publiczne przyznanie się do własnych pomyłek i niesłuszności, jakich się dopuścił. I żaden pracownik nauki, żaden kolektyw naukowy nie ma prawa uważać się ubezpieczonym przed krytyczną analizą swojej pracy”.

Ta surowa ocena moralna pracy naukowej jest częścią ogromnego nacisku położonego w projekcie programu na aktywizację czynnika ludzkiego, do której w walnym stopniu przyczynić ma się sam Program, a bez której niemożliwe jest zrealizowanie tylu ambitnych zadań. Wysoka temperatura ideologiczna życia społecznego przy jednoczesnym zagwarantowaniu realizacji podstawowych zasad moralnych socjalizmu. Warto przytoczyć, jak te zasady moralności komunistycznej formułuje projekt: „Moralność komunistyczna, za której ugruntowaniem opowiada się KPZR, to:

— Moralność kolektywistyczna. „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego” — oto jej fundamentalna zasada. Nie daje się ona pogodzić z egoizmem, samolubstwem i wyrachowaniem, harmonijnym i osłabie interesy ogólnonarodowe, kolektywne i osobiste;

— moralność humanistyczna. Uszlachetnia ona człowieka pracy, jest przeniknięta głębokim szacunkiem dla niego, nie toleruje zakusów na jego godność. Utrwala autentycznie ludzkie stosunki między ludźmi — stosunki koleżeńskiej współpracy i pomocy wzajemnej, życzliwość, uczciwość, prostotę i skromność w życiu osobistym i społecznym;

— moralność aktywna, czynna. Pobudza ona człowieka do nowych dokonań zawodowych i twórczych, czynnego udziału w życiu kolektywu i całego kraju, aktywnego przeciwstawiania się usztywnieniu, co jest sprzeczne z socjalistycznym sposobem życia, pobudza do wytrwałej walki o ideały komunistyczne”.

Karol Marks akcentował, że już na gruncie kapitalistycznej produkcji, o coraz bardziej uspołecznionym charakterze, rodzą się przesłanki nowej „kolektywistycznej” moralności, bez której wręcz człowiek uwikłany w sieć powiązań narzucających przez nowoczesną technikę i organizację produkcji i życia prywatnego, po prostu może zginąć. Egoistyczny indywidualizm jest dzisiaj tak samo archaiczny jak w czasach Cervantesa etos rycerski ze starych romansów.

WNIOSKI DLA NAS

Jakie znaczenie ma projekt nowej wersji Programu KPZR dla polskich komunistów. Próbował na to pytanie odpowiedzieć Marian Orzechowski: „Dla nas, dla Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej projekt „Programu KPZR” ma sens i wymiar zupełnie szczególny. Wyznacza go nie tylko tradycyjne głębokie i wszechstronne więzi przyjaźni, wzajemnego zrozumienia, pomocy, łączące naszą partię z partią radzieckich komunistów, ale także wyjątkowe znaczenie jej doświadczeń dla skutecznego tworzenia socjalizmu w naszym kraju, przemyślenia jego teoretycznych i praktycznych problemów i dylematów. Z nauk płynących z procesu tworzenia socjalizmu w Związku Radzieckim, a potwierdzonych przez nasze własne doświadczenia, wynikają dwa zasadnicze wnioski. Po pierwsze, bez twórczego uwzględnienia doświadczeń bratnich partii i krajów nie można skutecznie tworzyć socjalizmu we własnym kraju. (...) Po drugie, potrzeba, nakaz i umiejętność korzystania z doświadczeń innych, przekładania ich na język własnych doświadczeń i potrzeb rozwoju, urasta obecnie do rangi powszechnych jakby prawidła kształtowania i rozwoju socjalizmu. Jest to nie tylko dla marksistów zrozumiałym wymóg internacjonalizmu, ale także elementarne kryterium patriotyzmu, skutecznej, a nie deklaratywnej służby interesom własnego narodu i państwa, socjalizmu w naszym kraju”.

role, a w innych — nie. Na przykład: zjednoczenie. Miało swoje zalety, ale i miało swoje wady. Wszystkich interesowały tylko wady zjednoczeń i na gwalt je rozwiązano. A przecież sposób zarządzania przemysłem elektronicznym, stoczniami czy hutnictwem musi być inny niż lekkiego czy terenowego. Rozwiązano zjednoczenia a na ich miejsce powstały zrzeszenia, które mają wszystkie wady zjednoczeń i żadnej ich zalety.

— I dlatego przedsiębiorstwo, którym pan kieruje nie przystąpiło do zrzeszenia?

— Nie tylko. Do zrzeszenia nie przystąpiły też „Polmozbyty” w Warszawie i Szczecinie. Widać kalkulowały podobnie, jak my w Łodzi. Jakże to da nam korzyści, a jakie przyniesie straty? A poza tym — uważam — że przedsiębiorstwa handlowymi, zajmującymi się usługami, takimi przecież jest „Polmozbyt”, nie wolno kierować w taki sam sposób, jak kieruje się wielkimi fabrykami. Nasze przedsiębiorstwa mają bezpośredni styk z rynkiem i wymagają większej samodzielności, aby reagować na potrzeby rynku.

W Łodzi obok „Poldrobu” działa „Drobniarz”. Jest konkurencja. Wprawdzie niektórzy narzekają, że to im odbiera spokój i wprowadza nieporządek na rynku, ale ja — jako klient — jestem z tego zadowolony. W Łodzi jasek nie brakuje. Jest zdrowa konkurencja. Czy byłoby tak, gdyby handlem jaskami zajmował się tylko monopolista?

— Jakże pan — jako nie zrzeszony — widzi korzyści i jakie niedogodności zrzeszenia?

— Co nam to daje? Nie płacimy — na przykład — pieniędzy na utrzymanie biura zrzeszenia. A to wynosi 2 miliony złotych i założone naszej daję to po 1000 zł na osobę więcej z tej części zysku, która jest do podziału. Pozwoliło to nam również samodzielnie stanąć na nogach, co w praktyce oznacza, że nikt nie może czekać, aż za niego inni coś zalecą. Ludzie zaczęli rozumieć, o co chodzi w reformie, zaczęli uszyć się myśleć ekonomicznie.

— Negatywów takiego stanu nie widzi pan żadnych?

— Owszem, są. Tak się jakoś dziwnie złożyło, że akurat o tych nie zrzeszonych „Polmozbytach” pojawiło się sporo artykułów krytycznych w prasie. Nie dostajemy informacji, jakimi dysponuje zrzeszenie. Od czasu do czasu spotykają nas różne przykłady. Dwa lata temu miałem na przykład dostać pensję niższą niż inni dyrektorzy „Polmozbytów”, tych zrzeszonych, i tłumaczyło mi się to w resorcie tym, że skoro nie jestem zrzeszony, to nie ma kto się za mną ująć i walczyć o moją pensję.

BYŁY STRATY, JEST ZYSK

— Ale wyniki macie dobre?

— Nie tylko my, w Szczecinie też mają dobre. W Warszawie może trochę jest gorzej, ale to inna, nie związana z reformą sprawa.

— A ci zrzeszeni, jakie oni mają wyniki?

— Różne, od dobrych do kiepskich. Z tym, że oni czasem mają mniej kłopotów ze zdobywaniem części zamiennych i innych artykułów, a my tak, bo my nie jesteśmy zrzeszeni. Musimy o to walczyć i wychodzi nam to na dobre.

— Jakże Łódźki „Polmozbyt” miał wyniki przed reformą?

— W 1981 roku mieliśmy 180 milionów zł strat. W 1980 roku straty wyniosły 120 milionów zł. Do tego trzeba dodać niskie płace, zastrój w inwestycjach oraz brak perspektyw. Były też wysokie zapasy. Z tymi zapasami była zresztą cała szopka. Wędrowali one po kraju. Gdy na przykład byli w Lublinie i spodziewano się tam kontroli NIK, to przewożono je na polecenie byłej Centrali Polmozbyt do Łodzi. A gdy tu miała przyjść ekipa kontrolerów, to wędrowali do Warszawy i tak dalej. A były to zapasy dubli sprzed 10—20 lat.

— Jakże dziś macie wyniki?

— Łódzki „Polmozbyt” należy do jednych z największych w kraju, mamy 2500 pracowników, 7 hurtowni, 48 sklepów i 24 stacje obsługi. Były wśród nich takie stacje, jak na przykład w Sieradzu, Skierniewicach, czy nawet tu na ulicy Strykowski, czy też na ulicy Allende, w których — jak się klient dowiedział, że ma zostawić samochód — to wsiadał w niego i uciekał. Dziś są to już stacje wzorowe. Przyjeżdżają do nich nawet klienci z innych części kraju, na przykład ze Śląska, Warszawy.

— Jaki jest zysk?

— 300 milionów zł. Płace są dość dobre, relatywnie znacznie lepsze niż kiedyś, rozpoczęliśmy inwestycje finansując je częściowo z własnego funduszu, a częściowo z Centralnego Funduszu Rozwoju Motoryzacji.

— Jak pan to osiągnął?

— To nie ja. To osiągnęła załoga. Przyszedłem tu na początku 1982 roku. Wtedy panowała taka opinia, że kadra tu jest fatalna i nie się z nią nie da zrobić. A dziś? Dziś pracownicy potrafili myśleć ekonomicznie, liczyć koszty, płace mają powiązane z wynikami i starają się. Wiedzą, że nikt za nich nic nie zrobi. Nie ma rozdzielnika, trzeba samemu zdobywać wszystko. Jeżdżą po kraju, szukają, zdobywają i robią. Wyklócają się też, jak trzeba.

— I to wszystko tak się wzięło samo z siebie? Reforma uczyniła takie cuda?

— Bez przesady. Ja też w cuda nie wierzę. Nie będę pani wmiatał, że u nas reforma już dotarła do każdego stanowiska pracy. Tak dobrze, to jeszcze nie jest. Ale do stacji obsługi i sklepu, to już dotarła. Była tu kiedyś duża fluktuacja. Teraz mogę powiedzieć, że nastąpiła stabilizacja kadry. Awanse dokonują się już spośród pracowników „Polmozbytu”. No, nie powiem, trzeba było przedsięwziąć kilka drastycznych posunięć. Dyrektor nie jest w końcu od tego, aby go lubić, ale od tego, aby mądrze i skutecznie rządził. Gdybym rywalizował w wyborach w PCK, to może bym i

dbał o popularność. A tak musi mi wystarczyć szacunek do moich decyzji.

Gdy zacząłem pracować, były np. kłopoty ze stacją na ulicy Allende. Był to rok 1982. Zbadałem sprawę i zwolniłem wszystkich, od sprzątaczkę do kierownika. Wywieślił czarną flagę i różne znaczki poprzycepił do kłap. Byli nawet naciski, abym się wycofał.

— A pan się nie wycofał?

— Nie. Gdybym uznał, że nie tyle potrzebny jest spokój na stacji, co ratowanie zdewastowanego społecznego majątku. A jak odejdą niekompetentni, leniwi i beznymiśni ludzie, to i spokój będzie. Gdy wieść o tym się rozeszła po innych stacjach, to natychmiast zmieniła się sytuacja — na lepsze oczywiście — w Sieradzu i Skierniewicach.

W Piotrkowie Trybunalskim znów doszli do wniosku, że są dobrzy i lepiej już nie mogą. Jak nie — powiedziałem, to was zlikwidujemy. Rozemnieli się. Nie uwierzyli, że to możliwe. Zlikwidowaliśmy jedną stację i skończył się deficyt. Okazało się, że można.

Jestem nadal entuzjastą reformy

— Musi obowiązywać taka zasada: jeśli pracujesz źle, jesteś leniwy, nieudolny, to musisz czuć się zagrożony, jak się nie poddajiesz, to odejdziesz. Ale, jak pracujesz dobrze, to i musisz dobrze zarabiać.

— Co na to związek zawodowy?

— Rozwijają się stopniowo. Oni chcieliby czasem dobrze dla wszystkich, i tych, którzy dobrze pracują, i dla tych, którzy źle. A ja nie mogę tak postępować. Ja muszę dbać o to, aby wszyscy dobrze pracowali. I dochodzi między nami do wymiany zdań. W szczegółowych sprawach na szczęście. Do komisji rozjemczej, czy do sądu nie chodziliśmy — jak do tej pory — znajdujemy wspólny punkt widzenia.

GDY ZABRAKŁO ROZDZIELNIKA

— Przedsiębiorstwo samo się finansuje?

— Wspomniałem już o tym, że nie do końca. Musimy korzystać z pomocy Centralnego Funduszu Rozwoju Motoryzacji. Jeżeli mamy 300 milionów zysku, to w przedsiębiorstwie zostaje około 120 milionów, jedną trzecią tego przeznaczamy na nagrody dla załogi i fundusz socjalny, resztę — to jest 50—60 milionów zł — na inwestycje. Coś tam zabiera PFAZ. Jest tego mało. Jeśli nie będziemy inwestować, to nastąpi dekapitalizacja i koniec przedsiębiorstwa. Musimy więc korzystać z pomocy CFRM.

— Jest pan z tego zadowolony?

— Nie. Bo to przeczy zasadzie samofinansowania się. Jakby na to nie patrzeć, jest to forma uznania, uzależnienia od wielu subiektywnych czynników, którymi posługują się decydenci. Fundusz na rozwój przedsiębiorstwa powinien zależeć przede wszystkim od pracy przedsiębiorstwa, jego inicjatyw, umiejętności załogi i tak dalej. A oceniać to powinien bank. Jeśli bank nie ma zastrzeżeń — wszystko jest w porządku. A ocenia wielu, posługują się różnymi kryteriami.

— Mogę się domyślać, że jest pan za bankrutem nieudaczników?

— Jestem. Miałby być bankrutem, a są dotacje. Proszę jednak nie myśleć, że ja taki krwiożerczy. Nie podobnego. Tylko jestem za konsekwencjami, jakie wynikają z „regul gry”. Jeśli prawda jest to, co gdzieś wyczytałem, że dotacje sięgają 30 procent wartości produkcji, to tego nie wytrzyma żadna gospodarka i nie będzie mogła normalnie funkcjonować. A przecież przepisy są, tylko odwagi brakuje. W Polsce jest 200 tysięcy wolnych miejsc pracy, nikomu krzywdy się nie stanie. Rząd nie może być przeciwny towarzystwom opieki nad nieudolnymi i ciągle ich ratować przed brakiem odpowiedzialności. Nie jestem ani mściwy, ani bezwzględny, ale chętnie przeczytałbym, że ktoś wreszcie wyrzucił z pracy, lub przeniósł do innej, z powodu nieudolności, braku inicjatywy, tępoty i lenistwa.

— Co pan powie o samorządności?

— Jeśli chodzi o mój resort, to jego kierownictwo nie wtrąca się do spraw przedsiębiorstwa. A nawet jak to robi, to robi w sposób taktowny. Trzeba rozumieć, że działalność „Polmozbytu” — to wcale nie przesada — ma duży oddźwięk społeczny. Są więc sytuacje, kiedy centrum może być zaniepokojone sytuacją w tym czy innym „Polmozbycie” i wówczas wtrąca się. Ale — jak już powiedziałem — robi to w sposób taktowny.

JUŻ JESTEŚMY PRZEREGULOWANI

— Jak znam życie, to „Polmozbyt” nie ma tylko jednego decydenta. Zarządzenia inny też was dotyczą.

— Owszem, dotyczą. Czasami dostajemy zarządzenie, do którego nie wiadomo jaką dobrać interpretację, bo żadna nie pasuje, albo naraz pasuje pięć. Poza tym są i tacy, którzy wydają zarządzenia niezgodne z ustawami.

— Mogłby pan powiedzieć, które to resorty?

— Wolałbym nie. Jeśli kogoś to interesuje, to na podstawie statystyki zarządzeń nie pasujących do ustaw można łatwo znaleźć właściwy adres, gdyż cały czas robią to ci sami.

— Spotkał się pan z taką opinią, że zmlerzamy w gospodarce do przeregulowania?

— Spotkałem się. Ale moim zdaniem, my do tego nie zmlerzamy, my to już mamy. Mamy już do czynienia z taką ilością ogólników, przepisów, zarządzeń, instrukcji, że już nawet zespoły specjalistów gubią się w tym, a co dopiero jeden człowiek. W naszym przypadku mamy do czynienia z przepisami i zarządzeniami branżowymi Ministerstwa Hutnictwa i Przemysłu Maszynowego, Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i Usług i Ministerstwa Komunikacji oraz resortami funkcjonalnymi. Każde z nich wydaje przepisy, ale mimo że pracuje tam sporo urzędników, to jakoś nie przyjdzie im do głowy, aby wzajemnie te przepisy konsultować i nie wydawać sprzecznych. Zdarzają się więc takie sytuacje, że mamy naraz kilka rebusów do rozwiązania.

— I jak je rozwiązujecie?

— Wybieramy z dwu sprzecznych przepisów ten, który jest lepszy, korzystniejszy dla przedsiębiorstwa.

— I otrzymujecie pochwałę?

— A skąd! Wręcz przeciwnie. Dostaje się po łbie, choć to nielogiczne, bo przecież działamy na korzyść przedsiębiorstwa a nie na jego szkodę.

— Dlaczego tak się dzieje?

— Tego już nie wiem. Sądzą jednak, że głównie z nieufności. Jeśli bowiem nie założę się, że dyrektor przedsiębiorstwa, jego kierownictwo, to nie idzie, ale ludzie, którzy dobrze chcą dla firmy, w której pracują, a rada pracownicza nie ma zamiaru oskubać społeczeństwa na korzyść załogi, to zawsze będzie się tworzyć bariery, które mają zapobiec wszelkiemu znu, a w istocie utrudniają rozumnym ludziom racjonalne działanie.

— Zdarzają się przecież ludzie, którzy kierują różnymi przedsiębiorstwami i bardzo chcą, aby za nich myślaro i odpowiadano.

— Są tacy. Człowiek ma do wyboru, albo żyć ciekawie i intensywnie, albo długo i spokojnie. Tego wyboru dokonać musi każdy.

— Jest jeszcze trzecie „S” reformy, o którym nie mówiliśmy.

— Powiedziałbym raczej samotność.

— Aż tak pesymistycznie?

— Samodzielność rozumiem jako możliwość planowania rozwoju. Już mówiłem, że sami nie mamy na to pieniędzy, a pieniądze z CFRM, to akurat nie to, co nam potrzeba. Zresztą przyszłość motoryzacji też stoi pod znakiem zapytania, a przynajmniej nie ma na ten temat jasno określonych programów. W dużej mierze to nie od nas zależy, a od producentów paliw. Poza tym mało jest ludzi, którzy potrafią myśleć strategicznie, a jedynie operatywnie. Bez myślenia strategicznego nie ma programów, przyszłość jest dość mglista. A bez przyszłości człowiek czuje się samotny i opuszczony.

— Przesadził pan. Można byłoby pomyśleć, że tak samotnie pan się czuje, bo nie jest w zrzeszeniu.

JEDNO PRZEDSIĘBIORSTWO, 17 ODDZIAŁÓW

— Chciałbym jednak, aby więcej zależało od nas, ode mnie, od rady pracowniczej, od załogi.

— Ale zamierzenia idą w kierunku wprost przeciwnym. Powstały aż trzy projekty utworzenia „czapy” nad 17 „Polmozbytami”. W listopadzie 1985 roku pisał o tym Edward Wróbel w „Życiu Gospodarczym”. Nie wchodząc w szczegóły można powiedzieć, że projekt wrocławski przewiduje powstanie jednego przedsiębiorstwa „Polmozbyt” z 17 wydziałami. W Opolu opracowano projekt powołania spółki na prawie handlowym, a projekt rzeszowski-olsztyński przewiduje rozbudowanie dotychczasowego zrzeszenia. Co pan na to?

— Te projekty powstały niejako na zlecenie resortu. Nie zostały one poprzedzone rzetelną analizą ekonomiczną. Być może huty mają wspólne interesy i połączenie się w jedno wielozakładowe przedsiębiorstwo pomoże im w realizacji polityki inwestycyjnej, eksportu, importu. A jakie wspólne interesy ma „Polmozbyt” w Łodzi z „Polmozbytem” w Olsztynie? Z dyrektorem z Olsztyna, proszę bardzo, mogę się spotkać, pogadać, pohandlować. I to wszystko.

— Ale taka centrala „Polmozbytu” w Warszawie będzie odpowiedzialność z kilku ludzi, a oni będą się z tego tylko cieszyli.

— Wie pani, kto by się najbardziej ucieszył z takiego wielozakładowego przedsiębiorstwa? Służby handlowe i dyrektor do spraw handlowych. Nie musiaby jeździć po Polsce i szukać towaru. Wszystko miałoby z rozdzielnicą, a jak nie miałoby, to by nie był jego kłopot. Ale jaki pożytek będzie miał z tego klient?

— Argumentuje się, że 17 przedsiębiorstw razem, to więcej niż każde oddzielnie. Siła przebicia większa.

— Czy jak 17 ubogich zbierze się do kupy, to przez to staną się bogatsi? Czy przypadkiem siła przedsiębiorstwa nie leży w inicjatywie i pracy, a nie w zmianach organizacyjnych? Mówiłem na początku: koncern, to nie jest zła

forma organizacyjna, tylko akurat najmniej przydatna w handlu i usługach. Trzeba szukać innych rozwiązań, jeśli w ogóle trzeba. Poza tym w takim koleście łatwo jest się schować gorszym. Przedsiębiorstwo kulejące będzie nadal kulało, bo inni będą na nie pracowali. A samodzielność obnaża braki i nieudolności. I to idzie na własny rachunek, a nie na rachunek społeczeństwa, które płaci za czyjąś nieudolność. Zresztą rady pracownicze — które nie były dopuszczane do konsultacji — odrzuciły projekt wrocławski, czyli powołanie jednego „Polmozbytu” o 17 wydziałach.

— Co pan sądzi o projekcie opracowanym w Opolu?

— Ma jedną wadę. Brak szczegółowych przepisów o działaniu u nas spółek, nie licząc oczywiście tych z 1934 roku.

— A projekt rzeszowski-olsztyński?

— Jest sprzeczny z zasadami reformy gospodarczej. Autorzy nie znali ustaw, czyżby nie zdali klasówki z reformy, jaka była swego czasu przeprowadzana?

— Był jeszcze projekt powołania jednego „Polmozbytu” wiodącego, który reprezentowałby pozostałe.

— Ma on kilka zalet, ale i jedną podstawową wadę. Mamy płacić temu wybranemu przedsiębiorstwu kilka milionów nie mając żadnych gwarancji, co ono dla nas zrobi. A jak nie nie zrobi?

SPÓŁKA Z FSO

— Nic się panu nie podoba. Jakże więc jest wyjście? Stała samotność?

— Tu wcale nie chodzi o to, czy mi się coś podoba, czy też nie. Chodzi tylko o jedynie o interes przedsiębiorstwa. Co jest dla przedsiębiorstwa dobre, co się jemu opłaca, co mu wyjdzie na korzyść — oto są kryteria, oczywiście poza społecznymi, którymi powinniśmy i którymi się kierujemy. Nie mogą i nie interesują nas rozwiązania organizacyjne czy ekonomiczne, które mają odpowiadać przed Bogiem i Historią. Nas powinien przede wszystkim interesować rachunek ekonomiczny i co z niego dla łódzkiego „Polmozbytu” wynika.

— Co z tego rachunku wynika?

— Jak już wspominałem czujemy się przedsiębiorstwem samotnym. Samodzielny jest też trochę samotny. Rzeczywiście przydałaby się nam jakaś pomoc, współpraca, może nawet opieka, choć to nie jest dobre słowo. Wspomniałem też, że przed motoryzacją widzę kłopoty. Nie wiemy, co wyniknie z bilansu paliw w najbliższej przyszłości. Motoryzacja w końcu to nie najważniejsza sprawa. Mieszkania są na przykład bardziej ważne.

— Ale nie można wyobrazić sobie przyszłości bez motoryzacji.

— To pewne, ale jakie przybierze ona rozmiary, tego dziś dokładnie przewidzieć nie można. Czyli są i będą kłopoty. Trzeba sobie zatem postawić pytanie: z kim będzie je nam łatwiej pokonywać?

— Jaka jest odpowiedź na to pytanie?

— Otóż na świecie takie firmy jak „Polmozbyt” są sprzymierzone z producentami. Zaczęliśmy rozmowy na temat spółki z FSM, ale na przeszkodzie stanął brak przepisów. Trochę żałuję, że przerwałem rozmowy. W 1985 roku FSO na Zeranu wystąpiło z inicjatywą podjęcia takich rozmów z nami. Podjęliśmy takie rozmowy. Projekt takiego związku skonsultowaliśmy w przedsiębiorstwie z wszystkimi organizacjami. Zyskał on aprobatę. Poprzednie rozwiązania też konsultowaliśmy i nie zyskały aprobaty.

— Co to da łódzkiemu „Polmozbytowi”, a przede wszystkim klientom?

— Przede wszystkim straciłem wielu przyjaciół, bo wyłamano się z szeregu. W Polsce panuje przekonanie, że powinniśmy iść zwracając grupą przeciw producentom. A ja uważam, że przeciwnie, że powinniśmy się z nimi wiązać, bo wtedy będzie konkurencja, musi się podnieść jakość usług, zaopatrzenie w części, lepsza specjalizacja. Tak jest na świecie. Dlaczego u nas też tak być nie może?

— Jaka byłaby to forma zależności?

— Łódzki „Polmozbyt” wszedłby w strukturę organizacyjną FSO i stałby się jego zakładem handlowo-usługowym. Dałoby to nam możliwość korzystania z funduszy na postęp techniczny, na prace rozwojowe, gdyż FSO też będzie miało z tego korzyści. FSO płaci wielkie pieniądze za naprawy gwarancyjne, a są one wykonywane często bardzo źle, niedbale, niestarannie. Niejednokrotnie z braku odpowiednich narzędzi, technologii, odpowiedniego szkolenia. Spowodowane jest to niewłaściwą współpracą między producentem i handlem. Ta choroba trapiła „Polmozbytu” również wtedy, kiedy miały centralę FSO wspólnie z nami chce dokonać zdecydowanego przełomu w jakości usług. Temu celowi służyć ma właśnie nowa forma organizacyjna we współpracy. Jak z tego widać klient też odniosłby spore korzyści.

— A jak to się ma do założeń reformy gospodarczej?

— Reforma przewiduje możliwość wielu form organizacyjnych i wręcz je zaleca. Podobnie działać będzie ustawa antymonopolowa. Wiadomo, że w praktyce kurczowo uciepiono się starych schematów i mimo iż w przeszłości nie zdaly one egzaminu, usiłuje się je często odtworzyć. Nie wpływa to dobrze na samopoczucie załóg i na stopień zaufania do działalności centrum. My traktujemy serio wypowiedzi kierownictwa politycznego w sprawie reformy. My jej bronimy. I ona obroni się przed różnymi zakusami, jeśli ludzie też będą jej bronili. W tej kwestii jestem optymistą.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

— O, nie tak prędko, miałem parę lat przerwy. Zmieniłem miejsce pracy. Przez rok pracowałem w operze w Bytomiu. Do moich konstrukcji wróciłem dopiero w 1982 roku.

— Cóż to było dla odmiany?

— Też trójkołowiec jednoosobowy, ale zmodernizowany. Układ jeszcze pozostawiłem bez zmian, ale zastosowałem większe koła, przerzutki, lepsze rurki, tak że cała konstrukcja nie przekraczała 28 kilogramów. I wyruszyłem na pierwszy, wakacyjny rajd w Pol-

nico mniejsze koła i był nieco cięższy. Ale gdy tamten zdał egzamin, rok później wystartowałem z trzema kolejnymi konstrukcjami.

— To ile w sumie stworzyłeś tych wehikułów? — Jakąś tak nie wieździe kiedy, bez sprzeciwów z obu stron, w trakcie gorącej rozmowy przeszliśmy „na ty”.

— Chyba osem czy dziewięć, potem ci dokładnie wyliczę, ale teraz słuchaj, bo stworzyłem całą serię nietypowych pojazdów. Latem 1984 roku: nowy „czterokołowiec”, dla dwóch osób, oraz też dla dwójga — „trójkołowiec”, ale już z pojedynczym kołem z przodu oraz szybkiego „jammika”.

scję, czego dowodem, choćby liczne, sympatyczne informacje w prasie zachodniej.

— A ty nie pojechałeś? Konstruktor?

— Pojechałem, z kolegą w. Jurę Krakowsko-Częstochowską, bo nie dostałem paszportu. Też było wspaniale, nie wiem czemu, ale jak cię widzą takim pojazdem to wszyscy są mili, sympatyczni, chętni do pomocy, zapraszają na posiłek, na nocleg. A ten drugi czterokołowiec, którym podróżowaliśmy we wspaniałej wciąż kondycji, zaliczył już w sumie ponad 4 tysiące kilometrów.

Maciek przygotowuje kolejną porcję życiodajnej kawy, a ja przeglądam grubasny brulion

można tak idealnie zastosować pojazd w założeniu turystycznym do potrzeb rehabilitacji ruchowej. Cóż, ich rowery wypadły na tym tle, delikatnie mówiąc — blade.

— Jechaliście w jednej kolumnie?

— Hm, niby tak, tyle że ja za samochodem schowany. W Zelazowej Woli wybuchła bowiem gorąca dyskusja i Angli- cy po cichej naradzie nie zgodzili się bym jechał z nimi

— A niby czemu?

— To ich wyprawa, ich biznes, powiedzieli mi wreszcie w oczy, że mój pojazd, który tak ich zachwycał, odciągałby uwagę od całego przedsięwzięcia. A

dla niego pojazd napędzany wyłącznie siłą mięśni rąk. Pierwsze przymiarki mam już za sobą i zbuduję mu taki wehikuł. Będzie rzeczywistość napędzany ręcznie, szybkość do 30—35 kilometrów na godzinę, spory bagażnik, minimum dziesięć biegów, bowiem ów planuję odbyć nim pielgrzymkę do Rzymu i musi przetrwać przez Alpy. Sterowanie całociąg wyłącznie ręczne, co chyba stanowić będzie nowość na skalę światową, przeglądając zachodnie pisma takiego rozwiązania nie znalazłem.

— Czekaj, czekaj, a swoimi nowatorskimi pomysłami nie próbowałeś zainteresować bydgoskiego „Rometu” — krajowego potentata w branży rowerowej?...

— Wiedziałem, że w końcu ruszysz ten temat, ale może to i dobrze. Między nami mówiąc — to nie są partnerzy do poważnych rozmów.

— Casus „Alojzy Kowalski” się kłania?

— No nie przesadzajmy, wypadła mić więcej skromności, ale... Kontaktuję się z nim właściwie od początku mojej działalności, zaprzyjaźniłem się z wieloma ludźmi, pomagają mi zdobyć niektóre, typowe części, kiedyś nawet pomalowali mi gratis pojazd. Ale to nie o to przecież wyłączenie idzie. Zachwycili się w swoim czasie niektórymi rozwiązaniami, nie nie interesują ich pojazdy wielośladowe, bowiem „nie mieszczą się do windy”. Najbardziej chyba przypadł im do gustu „jammik”, choć jeszcze lepiej, żeby... był składany. Mieli, przynajmniej obiecywali, przysłać szczegółowe wytyczne, jakim wymogom odpowiadać ma rower szosowy, by nadawał się do seryjnej produkcji i na tym koniec.

— Nie było żadnych rozmów szczegółowych, nie próbowali zbudować prototypu?

— Były takie rozmowy, była regularna konferencja z udziałem ich specjalistów. Tylko te propozycje... Ja się pytam, ile czasu by im zajęło wykonanie trzech „jammików” i przeprowadzenie stosownych testów, oni na to — dwa lata. Więc ja w krzyk: dajcie mi surowiec, a wykonam je najpóźniej w dwa tygodnie. Pytam o koszt prototypu takiego „czterokołowca”, oni na to, że około półtora miliona. Zamurowało mnie, przecież ja, w chałupniczych warunkach zbuduję go za „marne” 35—40 tysięcy złotych. No i jak tu rozmawiać?...

Zacietrzwił się Maciek, widzę, że wspomnienie tych spotkań i rozmów niemile przywołuje myśli Siega znów do przepastnych szuflad, wyciąga nowe sterty szkiców i technicznych rysunków. Przerzuca, wybiera co ciekawsze, widzę, że stopniowo wraca mu dobry humor. Znowu jest tylko konstruktorem ogarniętym pasją tworzenia...

— Dajmy spokój z tymi „szklanymi domami”, coś ci pokażę, to będzie pojazd mojej „trzeciej generacji”. Owszem — wielośladowy, ale równoległy układ siedzeń, zwany „side by side” choć zastąpić układem typu tandem. Większe koła, mniejsze opory toczenia, a chce zastosować również częściowe osłony aerodynamiczne, co w sumie powinno zaowocować

prędkościami rzędu 70 kilometrów na godzinę. Będą to inaczej mówiąc luksusowe, turystyczne bolidy.

— Mówiłeś coś o nowych, zmienionych hamulcach...

— Owszem, przy tych prędkościach, klasyczne, szosowe, zwłaszcza na śliskich nawierzchniach, w deszczu, mogą okazać się niewystarczające. Chcę je więc dodatkowo wzmocnić hamulcami tarczowymi; typowymi dla gokartów. I za takim tandemem przeciętnemu kolarzowi, nie mówię o Pina-seckim, będzie się ciężko utrzymać na trasie.

— Uchyl Maćku rąbka tajemnicy i opowiedz o przygotowanych do próby bicia rekordu świata w dziedzinie na rowerze. Aktualny wynosi...

— „ponad 98,5 kilometra na godzinę, według moich danych. Należy do Amerykanina, który osiągnął tę prędkość w specjalnie przystosowanym, całkowicie obudowanym pojeździe o nazwie „Vector”.

— Wierzyć się nie chce i sądzisz, że masz szansę?

— Myślę, że tak. Mój też miałby aerodynamiczną obudowę, wiem, że nie mogę jednak przekroczyć łącznej masy 28—30 kilogramów. Zamierzam, co też byłoby światową nowością, do napędu nożnego w decydującym momencie dołączyć napęd ręczny. No i raczej będzie miał tylko dwa koła...

— Kiedy będę mógł asystować przy próbach?

— Eh, żeby mi więcej grosza i lepsze zaplecze, to murowane jeszcze w tym roku próbował. A tak... Wiesz — jedna para spodni, para butów i wszystkie pieniądze utopione w części rowerowej...

Zegnany się, na dziś wystarczy. Teraz ja jestem w minorowym nastroju. Wciąż cała sprawa kojarzy mi się z „afetą Kowalskiego”. Jest człowiek ogarnięty pasją, buduje pojazdy sprawdzone w różnych warunkach, nowoczesne, wygodne, doskonale do turystyki, niedrogie. (Anglicy, biorąc udział we wspomnianym rajdzie Londyn—

Warszawa bez namysłu oterowali mi za „czterokołowca” dwa wysokiej klasy rowery wyścigowe.) Przy minimalnych przerobach pojazdy nadają się do celów rehabilitacyjnych, dla wielu nieszcześników mogą stać się prawdziwym wybawieniem. I cóż z tego? Do kogo przemawiają te argumenty? Znikąd sponsora znikąd pomocy. Czy tylko głatego, że wehikuły Mieczysława Kaczmarka nie mieszczą się do windy?

W przeciwnieństwie do konstruktora — jestem pesymistą. Przecież to byłoby za proste, gdyby wziął go pod swe opiekunkę skrzydła choćby „Romet”. Młody jest, zapal jeszcze ma, zobaczymy na jak długo mu tej „parzy” wystarczy. W końcu ile to lat czekał Alojzy Kowalski na oficjalną premierę swego rewelacyjnego urządzenia?...

Maciek twierdzi, że poczeka...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Wynalazcy zawsze mieli trudne życie

skę. Pojechałem nad morze, między innymi do Łaz, gdzie jeździł nim Zenek Laskowik i strasznie mu się pomysł podobał. Rowerem był dopieszczony, odmalowany, żaden spaw nie był widoczny. Ale miałem świadomość, że to jeszcze nie jest najlepsze rozwiązanie...

— Doświadczenie zbierane na własnej...

— Oczywiście! Zastosowany fotelik nie był najlepszym wyjściem z sytuacji. Oparcie — tak, ale był on nieergonomiczny, mięśnie pośladków nie pracowały właściwie no i bolała właśnie ta część ciała. Postanowiłem fotel zamienić na siodełko z oparciem, a właściwie na dwa, bowiem dość już miałem samotnych podróży.

— I tak powstała...

— Pierwsza „czwórka”. Ale przedtem miesiąc biegania po zakładach ślusarskich i poszukiwanie części. Bardzo sympatycznie zachował się, pamiętam, dyrektor „Centrostalu”, który umożliwił mi zakup cienkościennych rurek konstrukcyjnych, znów tygodnie ślezczenia w warsztatach Teatru Wielkiego, gdzie wówczas pracowałem w chórze, montaż wiosną — no i w maju wyjechałem na ulice.

Z tamtych czasów pochodził to zdjęcie, które obiegło bez mała prasę krajową? Z tą dziewczyną?

— Tak jest! To jest Bożena, tancerka z teatru, która brała udział w wielu jazdach do świadczeniowych. A zdjęcie rzeczywistości ukazało się w wielu gazetach, również w NRD i Związku Radzieckim.

— Czy to ten egzemplarz, rower mam na myśli, oglądałem dziś w warsztacie?

— Nie, to już drugi czterokołowiec. Tamten był zasadniczo bardzo podobny, choć miał

— No wiesz, co to za cudo?

— Najkrócej: jednoosobowy, jednośladowy, z wysuniętym daleko kołem przednim, kierownicą typu „Harley”, którym podróżujesz w pozycji „polegliwej”.

— Leżącej chyba...

— Właśnie nie leżącej, „polegliwej”, lepszego określenia jeszcze nie wymyślono, coś pośredniego między siedzącą, o leżącej na plecach.

— To na nim „wpadłeś” na radar?

— Tak, to znana, też opisywana historia, system przerzutek pozwala mi bez kłopotów podróżować ze stałą prędkością rzędu 50—55 kilometrów na godzinę.

— Potem przyszła ta wyprawa ze studentami szlakami Polskiej Północnej, z której te zdjęcia pochodzą?

— Tak jest, zrobiliśmy w sumie ponad 1500 kilometrów, a pojechały cztery moje „dzieła”. Wracałem „czwórką” i jako ciekawostkę mogę ci powiedzieć, że dla przykładu trasę Poznań—Kalisz, czyli około 130 kilometrów pokonałem w niewiele ponad 4 godziny bez specjalnego wysiłku.

— Wiem, że twoje wehikuły jeździły też po Europie...

— Tak, w 1985 roku zaprzyjaźniłem się z chłopkami z klubu „Osema” działającego przy politechnice. Sprzedaliem im „trójkołowiec” po cenie kosztów, i nim oraz „czwórka” plus dwa „Waganty” zorganizowaliśmy wyprawę przez RFN, Holandię, Belgię do Paryża i z powrotem, budząc wszędzie sen-

wypelniony gazetowymi wycinankami, specjalistycznymi materiałami z zachodnich czasopism. Próbuję coś zrozumieć z zagmatwanych (dla laika oczywiście) rysunków, gdzie ów zapalenie szkieletu jakieś nowe konstrukcje. Przeglądam plik listów, w których nadawcy proponują współpracę, proszą o pomoc, czy wręcz o zbudowanie pojazdu. Jest i błagalny list od ojca dziewczynki, która cierpi na niedowład kończyn dolnych. Dwuosobowy rower, którym jeździłby tata z córką zapewniłby nie tylko relaks, zabawę, wiarę w życie, ale przede wszystkim byłby pomocny w ćwiczeniach rehabilitacyjnych.

— Maciek, nie myślałeś o zbudowaniu roweru rehabilitacyjnego?

— Przecież on już właściwie jest zbudowany: jakieś minimalne przeróbki, może oparcia, montaż „nosków” przy pedałach, by wymusił ruch chorej nogi — nie stanowią problemu. Tylko kogo to interesuje, poza tymi nieszczęśnikami?...

— A próbowałeś gdzieś te modele pokazać, poza ulicznym paradami?

— Oczywiście, zaraz ci opowiem, to osobny rozdział. We wrześniu 1985 roku, jak zapewne pamiętasz, bo reklama była duża, przejeżdżał przez Polskę rajd niepełnosprawnych „Londyn—Warszawa”. Dołączyli potem do nich nasi Anglicy jechali na rowerach trzykołowych (kółka od składaka), typowe siodełko i typowa pozycja cyklistyczna. Dogoniłem ich swoim czterokołowcem na Piotrkowskiej, później jechaliśmy aż do Warszawy.

— Jak go ocenili?

— Szkoda, że tego nie widziałeś. Zachwycili się, piali nad starannością wykonania, funkcjonalnością, nazwali go „perłą dróg”, długo debatowali, że

oficjalnym pretekstem był fakt, że ja byłem... pełnosprawnym.

— Nie zawróciłeś?

— Nie, bo czekała mnie wystawa sprzętu rehabilitacyjnego w Warszawie, na Marymoncie. Była i kolejna, w warszawskiej Izbie Rzemiosła, pod szyldem „Rzemiosło ludziom niepełnosprawnym”, gdzie wystawiłem także „trójkołowiec”. Oba pojazdy, na obu wystawach były oblegane, wzbudziły zachwyt zwiedzających, wśród których przeważali przyszli potencjalni użytkownicy. Nikogo poza nimi moje propozycje nie zainteresowały.

— A ta firma z Wrocławia?

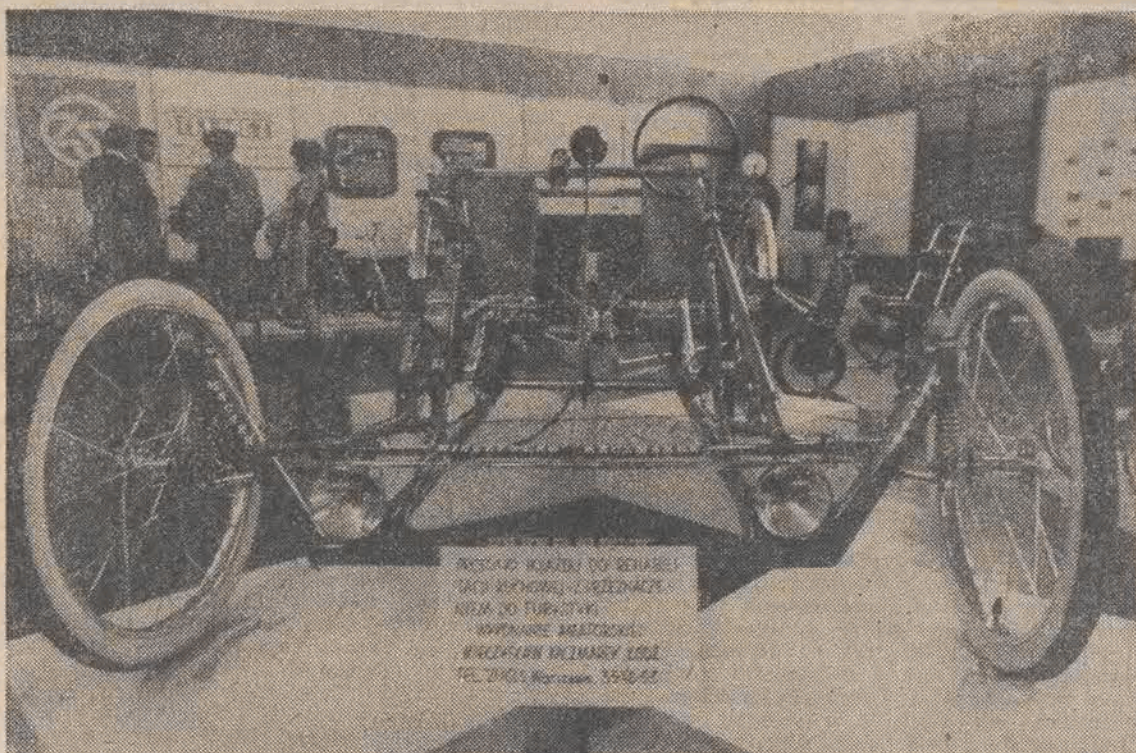
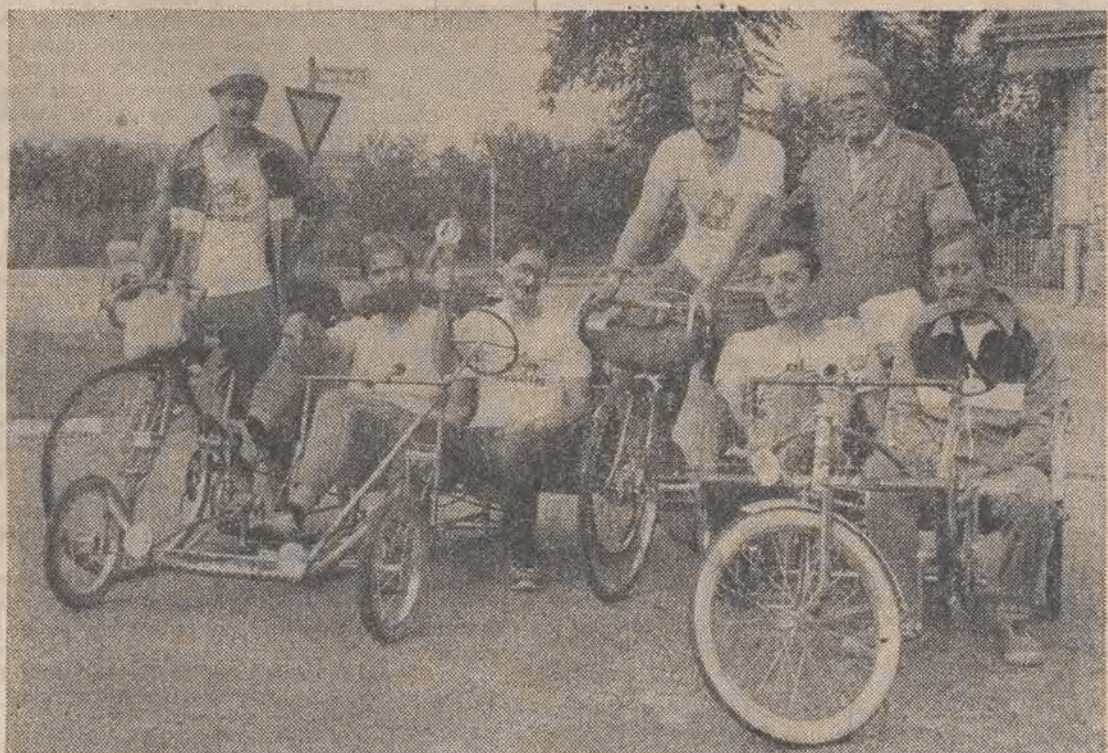
— O, to jaskółka sprzed paru dni. Firma „Armatornic” być może zakupi moje dwa modele. Ale za wcześniej coś więcej na ten temat mówić czy planować. A przecież jest jeszcze jeden atut moich wyrobów: choćby inwalidzie czy inaczej — osobie niepełnosprawnej zafundowano nie wiem jakie cudo, na guziczki, baterie, z komputerem — to zawsze będzie to wózek inwalidzi. Mój pojazd daje mu poczucie własnych możliwości, życia jak my wszyscy, jak każdy zdrowy turysta. Pakuje w bagażnik namiot, sprzęt turystyczny, siada z tata czy kolegą i — hajda na kraj. Pozbywa się kompleksu kaleki.

— A gdybyś próbował stworzyć sam taką firmę?

— To prawie niemożliwe, z moim wykształceniem musiałbym co najmniej dwa lata odbywać staż w warsztacie mechaniczno-ślusarskim, dopiero później mógłbym się starać o „papiery”, o zezwolenia. Ja nie mam tyle czasu, wolę już dłużej dla siebie, choć nie tylko.

— ???

— Po wystawie na Marymoncie zgłosił się do mnie mężczyzna z niedowładem kończyn dolnych, prosząc bym zbudował



Charakterystyczne — w czasach masowego zgłaszania postulatów, życzeń i żądań, jako nie słychać było hasła: Precz ze szpetotą i brzydotą! Właściwie odczuwano, że jest potrzebą, że w hierarchii ludzkich potrzeb piękno pojawia się w towarzystwie sytości. Albo — jako ekwiwalent kompensujący liczne braki. Kiedyś nazywano to filozofią honorowego dziada. Biednie, ale ładnie i czysto. Kamienista, uboga w żywność Grecja uformowała ważny do dziś ideał piękna i harmonii. Tymczasem — nie wiedzieć kiedy — pojawił się pogląd, że na piękno stać tylko bogaczy. A biedni skazani są na brud, smród i brzydotę. U podłoża takiego rozumowania tkwi przekonanie, że piękno jest droższe od brzydoty. Skutki zaś — możemy obserwować jak Polska długa i szeroka. Szpetota, bylejakosć i ohyda towarzyszą nam na każdym kroku, a najwyższym tego przykładem jest społeczna śmierć architektury.

Tym bardziej więc ciekawi reakcja ludzi na widok czegoś, co obala owo mniemanie. Być może są to zbyt daleko posunięte wnioski, lecz można zadać sobie pytanie, jak to się stało, że budowa — jednego z wielu przeciw budynków mieszkalnych w Łodzi — obudziła tak wielkie zainteresowanie, jak to miało miejsce w przypadku budynku przy zbiegu Piotrkowskiej i Zamenhofska, nazwanego przez lud „BOLKIEM”. Nie jest to przecież wielka, prestiżowa budowa, jak choćby Teatr Wielki w Łodzi, któremu towarzyszyło zainteresowanie zakompleksionych Warszawiaków. Nie jest to także jakaś szczególnie rewolucyjna architektura, nie jest to wielki konkurs, gdzie dano się wyszaleć Le Corbusierowi czy Niemeyerowi. Więc? A może po prostu ludzie dostrzegli, że można? Można inaczej, choć trochę ładniej? I stąd pewnie liczne plotki towarzyszące budowie. Że to zbyt drogi eksperyment budować prestiżowe mieszkania, w znanej sytuacji mieszkaniowej, że nie stać nas, że dla kogo i za ile? Chwalili liczni, zazdrościli wszyscy, a szczególnie mieszkańcy „BOLKI” przeklinali wykonawców i projektanta.

Ponieważ indagowanie wykonawców tego i innych obiektów mieszkalnych uważam za stratę czasu (wiadomo: „trudności obiektywne”, niskie płace, brak ludzi, sprzętu, materiałów oraz co dodam do siebie, terror bezkarnych brakorobów) porozmawiamy z projektantem „BOLKI” inżynierem architektem z łódzkiego MIASTOPROJEKTU — BOLESŁAWEM KARDASZEWSKIM.

— Zna pan listę pretensji mieszkańców „BOLKI” pod swoim adresem?

— Znam. Parokrotnie otrzymywałem zaproszenia na spotkania od komitetu blokowego. Nie skorzystałem. Nie ze strachu, tylko z poczucia bezcelowości. Bo, co mógłbym usłyszeć? Że mój projekt jest niedoskonały, że są pewne słabości, albo, że anonimowi mieszkańcy X z trzeciego piętra, klatka czwarta, nie podoba się mój pomysł rozplanowania mieszkania? No i co z tego ma wynikać? Że rozbiemy budynek? I tu jest pierwsze zagadnienie szerszej natury. W normalnym układzie architekt powinien znać przyszłego użytkownika swego projektu. Oczywiście, w przypadku budowy publicznej — ważne są jej funkcje społeczne i te można przewidzieć i uwzględnić. W sytuacji budynku mieszkalnego, u nas, jest to realne tylko w przypadku prywatnego zamówienia na dom jednorodzinny, co najwyżej niewielki dom dla dwóch, trzech rodzin. Poznaję przyszłych mieszkańców, ich upodobania, tryb życia i bycia, gusty i potrzeby. Tę wiedzę mogę łączyć z wizją architektoniczną. Uwzględniam położenie domu, jego otoczenie i parę innych jeszcze czynników. Ale wiem, dla kogo projektuję.

W budynku wielorodzinnym mam do czynienia z anonimowym użytkownikiem. Mogę go sobie jedynie wyobrazić, jako pewne „uniwersum”. Jest to „uśredniony” portret. Może się zdarzyć, że będzie mieszkał robotnik z wielodzietną rodziną i pisarz pracujący głównie w domu. Każdy ma inne potrzeby i oczekiwania. A jeszcze i to trzeba pamiętać, że architektura mieszkalna sprawdza się dopiero w kolejnym „wcieleniu” funkcji i kształtu. Ludzie się wprowadzają, przychodzą inni, dla których będzie to już dom na całe życie. Dopiero po pewnym czasie tworzy się względnie stabilna społeczność zamieszkująca ten sam dom. To ma znaczenie także dla wyglądu budynku, dla jego atmosfery. Można sobie przecież wyobrazić, że kilka rodzin z tzw. marginesu może radykalnie zmienić piękny dom w odstraszącą rudę. Wszystko to trzeba brać pod uwagę. I na świecie także się to robi, lecz tam architekt może już w fazie projektowej poznać przyszłych użytkowników.

ELITARYZM I EGALITARYZM

w mądrej proporcji, jest tu wyznacznikiem. Oczywiście trzeba pamiętać o różnicach. Na świecie będą to choćby dzielnie zbyt drogie dla wielu ludzi, więc już jest selekcja przyszłych użytkowników i — jakaś wskazówka dla projektanta. U nas, pomijając ideologiczne założenia, istnieje tysiąc ekonomicznych czynników spychających odbiorców pracy architekta w anonimowość.

W przypadku „BOLKI” należy jeszcze powiedzieć jedno. Projektując budynek mieszkalny usytuowany w sercu ścisłego centrum, w sąsiedztwie istniejącej starej zabudowy, muszę uwzględnić kontekst. Czyli dbać o pewną ciągłość kształtu architektonicznego tego fragmentu miasta. Mógłbym oczywiście wymyślić betonowy wieżowiec o powtarzalnej gdzieś indziej bryle, ale on by nie „siedział”, nie pasowałby. A uciążliwość mieszkania w ruchliwym, zadytmionym centrum, brak parku za oknem, muszę rekompensować ludziom choćby ciekawszą bryłą budynku i większym komfortem mieszkania.

Wracając do elitaryzmu i egalitaryzmu, nie uważam, że należy się odżegnywać od tezy, iż nie każdy jest wart zamieszkania w centrum miasta. Na całym świecie mieszkanie w centrum kosztuje drożej niż na peryferiach, nie każdego to stać. I dobrze. Nie można w imię prymitywnej urawniłowki rozmawiać, że wszystkim się należy i w dodatku to samo. Jeśli kogós nie stać na mieszkanie pięciopokojowe w centrum miasta, to niech wybiera tańsze, mniejsze, gdzieś indziej. Tymczasem słysza-

łem już pretensję, że czynsz w „BOLKU” za M-5 sięga 5 tysięcy złotych. No i dobrze, przecież z łapanki nie brali do tego budynku. A na marginesie — nietypowość projektu architektonicznego tylko w minimalnym stopniu wpływa na koszt ogólny budowy.

Przyznam się też, że nie mam najmniejszej ochoty zadawać wszystkim.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że bronię swego prawa artysty do pychy. Bo architektura jest sztuką i jak inne dyscypliny sztuki nie rządzi się zasadami demokratycznymi. Ja i tylko ja będę decydował o kształcie mojej wizji. Egocentryzm jest nie tylko zaletą artysty, ale wręcz koniecznością. Bez tego jest się tylko tandetnym chaiturszczykiem. Niestety, u nas jest dokładnie na odwrót. Egocentryzm twórcy uważa się mu za wadę i cechę karalną.

Niektórym artystom w Polsce udało się wywalczyć, tak, wywalczyć, niezależność i szacunek dla tego, co robią. Nikt im nie śmie narzucać sposobu tworzenia. Architektowi w Polsce powojennej nie udało się ta sztuka zad-

JOLANTA WRONSKA

Requiem dla nieboszczki

nemu. Nawet najwięksi mogliby opowiedzieć o setkach ingerencji w ich wizje. A iluż znalazło się w nielase, bo bronili swej suwerenności twórcy?

— Jest to być może skutek ciśnienia ekonomicznych ograniczeń, a więc i poskramiania nazbyt wybujałych pomysłów. Tam, gdzie jest morze niezaspokojonych potrzeb elementarnych, tam irytację budzić może propozycja zbudowania Panteonu.

— Nieprawda!!! To jest pokłosie idiotycznego przekonania, że na estetykę, piękno, zwyczajnie minimum urody, mogą sobie pozwolić bogaci. A my się tym zajmujemy, jak dagonimy świat. To jest zbrodniczy błąd. Każdy ekonomista powie, że nie ma nic bardziej kosztownego, materiałochłonnego, energochłonnego i co tam jeszcze chłonnego, jak bylejakosć, tandeta, prowizorka, brakorobstwo. Ładne jest tańsze. A brzydota ma nieobliczalnie skutki społeczne. Brzydota formuje brzydkich ludzi, byle jakich, nie potrzebujących piękna, bo i gdzie mieli się nauczyć je poznawać, niewrażliwych, tępych i coraz bardziej prymitywnych. A to da się także przeliczyć na pieniądze. Ile kosztuje demoralizacja, brak szacunku dla pracy, głupota — to może wyliczyć każdy księgowy każdej fabryki. I ten proces trwa, pogłębia się, owocuje w dziesiątym pokoleniu. A potem się dziwimy, że jest kryzys wartości? Oczywiście, przemawia przede mną pasja, nieco upraszcam, ale to wszystko prawda do udowodnienia. Na polsku architektury zaś wygląda to tak, że w Polsce

ARCHITEKT TO NIEULECZALNY FANTASTA,

któremu się wydaje, że jest komukolwiek potrzebny. A architektura — to słowo nieprzystojne. Nie występuje w żadnym dokumencie rangi państwowej, czy to ustawa, czy rozporządzenie rządu. Tego słowa po prostu nie ma. Architektury nie potrzebuje ani władza, ani społeczeństwo. Nikt nie oczekuje pięknych budowli, zmieniających oblicze miasta. Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się usłyszeć z ust przedstawicieli władzy, że zależy mu na jakimś projekcie, że chciałby, by był piękny.

Na całym świecie architektura jest potrzebna ludziom jak powietrze. Gdy się jedzie przez miasta Europy zachodniej, żeby już nie sięgać dalej, widzi się przepiękne domy mieszkalne, cudownie wtopione w starą architekturę, w przyrodę, odważne linie, śmiałe bryły, staranne wykonanie. Cokolwiek by powiedzieć o brudzie cywilizacji przemysłowej, jednak tam przywiązuje się ogromną wagę do architektury. Świadczy ona o prestiżu, niechby nawet o snobizmie na oryginalność. Owszem, tam ma to podłoże społeczne w tym sensie, że podkreśla elitaryzm, bogactwo, pozycję. Czyż jednak w naszych warunkach ustrojowych nie ma miejsca na mądry elitaryzm? Czy wielkie mieszkalne osiedle, gdzie żyją głównie robotnicy, nie musi być obydna Retkinią? Dlaczego nie można rozumieć elitaryzmu w ten sposób, że klasa społeczna niegdyś upośledzona, zasługuje dziś na to, by pięknie mieszkać we wspólnocie, odważnej, bliskiej człowiekowi architektury? Przecież to nie innego, jak starożytnie marzenie o szklanych domach.

Akurat ja nie specjalizuję się w architekturze mieszkaniowej, to nie jest główny nurt moich zainteresowań, ale przecież jasne jest dla mnie, jak zasadnicze znaczenie dla kondycji człowieka ma charakter jego otoczenia. To nie tylko trywialna kiełbasa, łach na grzbiecie i kryształ na stole. Nie tylko czyste powietrze, rzeki, brak smogu. To też ładny dom, pięknie pomysłany sklep, dom handlowy, szkoła.

— A co jest pańską specjalnością?

— Ja chciałbym stawiać katedry, panteony, wielkie budowle publiczne. Wyjaśniam, że jeśli mówię „katedry” — to nie znaczy, że myślę o budowlach sakralnych, choć i takich kilka udało mi się zrealizować, jak choćby kościół w dzielnicy Dąbrowa, albo temat konkursowy — Świątynia Pokoju na Majdanku — niestety, tylko projekt. Myślę o wielkich obiektach publicznego użytku. Takie chciałem zawsze budować. Takie, które zmieniają oblicze miasta, nadają mu nowy wyraz. Wiele obiektów mojego projektu powstało w Łodzi, choćby — gmach Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, we

współpracy z architektem Nowakowskim, stoi budynek Wydziału Budownictwa Lądowego Politechniki, Instytut Architektury, kilka jeszcze innych. Ale nigdy nie przeżyłem momentu zachłystnięcia się wielką szansą. Czuję, co zwiększa życiowe doświadczenie, wiedzę, marzenia, spełnia sny.

NIGDY NIE OTRZYMAŁEM PROPOZYCJI:

panie Kardaszewski, chcemy upiększyć to paskudne miasto, proszę nam postawić coś wielkiego, potrzebnego ludziom, proszę się wyszaleć, za to ludzie będą wdzięczni po wsze czasy.

Niestety, architekt w Polsce to nie Niemeyer w Brasiliu. To jest wyrobek najemny, którego produkty i tak nikomu nie są do szczęścia po-



Foto: W. Parys

trzebne, a realizacja jakiegoś projektu, w najlepszym razie z daleką przypomina oryginał.

— Pan to mówi? Którego uważa się za szczęściarza wśród łódzkich architektów? Ma pan nazwisko, pozycję zawodową, z pewnością także zawziętych konkurentów?

— Ależ ja nie mówię tylko o sobie. Taka sama jest sytuacja wszystkich architektów w Polsce. Powtarzam — tu nikt nie potrzebuje pięknej architektury, nie jest oczekiwana, jak naturalny i oczywisty składnik ludzkiej egzystencji.

Jeśli o mnie chodzi, jestem z urodzenia warszawiakiem. Tam się wychowałem i wykształciłem. Jestem z Warszawy związany emocjonalnie, choć los kazał mi przeżyć trzydzieści lat w Łodzi. I jasno powiem, gdyby pojawiła się odpowiednia propozycja zawodowa powrotu do Warszawy, nie wahałbym się. Jak dotąd takiej propozycji nie było. Lecz mimo tylu lat tu spędzonych w Łodzi, nie mogę powiedzieć, że czuję się w pełni zasymilowany, wrosły. Oczywiście, niegdyśiejszy nakaz pracy, który wyznaczał mi Łódź i wszystkie te lata, wiąza. Ale miłość to nie jest na pewno.

— Czy fakt ten ma znaczenie dla pańskiej pracy? Czy brak tej więzi z miastem nie przeszkadza?

— Praca architekta urbanisty jest moim świadomym wyborem, pasją i największą wartością w życiu. Gdziekolwiek bym miał tę pracę wykonywać. Więc Łódź nie ogranicza mnie w pasji. Być może — paradoksalnie — brak uczuciowego związku z Łodzią dodatkowo wyostre widzenie miasta. Jakby wzbogaca wyobraźnię, choć przeobrażania oblicza tego miasta. Pod tym względem Łódź stanowi szczególnie wdzięczny obiekt zabiegów architekta. A raczej mogłaby stanowić. Jest tak szpetna, szara, garbiona. Tam się wyrodziło i istnieje olbrzymie potrzeba zmian. To miasto pracujących ludzi, chyba jak żadne, jednorodnie swym pochodzeniem, bo chłopskie dzieci tu stały się robotnikami i oni nadają miastu ton, tu właśnie można by stwarzać piękno dla tych ludzi. Ale też tu widać jak wielkie spustoszenia w ludzkiej wrażliwości potrafi sprawić życie w brzydotcie. Tu nie ma wyobraźni, potrzeby piękna.

Ludzie po prostu żyją w wielkim mięście i nie czują potrzeby upiększania go. Nie mają dla tych spraw zrozumienia. I dotyczy to szarych obywateli, którym Retkinią wystarczy do życia, choć właściwie wszystkie jej podobne osiedla w Polsce dehumanizują, wykrzywają ludzi. Gorzej — tej wyobraźni nie mieli i nie mają rządy miasta. Powojenny los Łodzi, to los maszyn do produkcji. Ma dać tyle i tyle zysku, towarów, pieniędzy i koniec. Czy będzie ładna, bliska ludziom, czy paskudna i tandetna, to już nieważne. No i proszę. W wielu innych miastach Polski wygląda to trochę lepiej.

Warszawa, Kraków, Wrocław, tam się więcej o tym myśli.

Architekt w Łodzi jest czymś na kształt dentysty, który tu i ówdzie coś zaplombuje, coś podleczy, ale któremu nie pozwala się wyleczyć radykalnie próchnicy. A człowiek ma przecież tylko jedno życie, chciałby zostawić po sobie coś sprawiającego radość innym. Gdzieś się równać architektom w Polsce z ich kolegami na Zachodzie. Tam architekt jest człowiekiem zamożnym, oczywiście dobry fachowcem, bo jego sztuka jest potrzebna, poszukiwana i wysoko ceniona. Wielokrotnie moja odwiedziny u mych zagranicznych kolegów napawają mnie po prostu głęboką frustracją. Najpierw bywam obwołony po stojących już obiektach zaprojektowanych przez moich kolegów. Zachłystuję się zazdrością, że tak do syta pozwolono im działać, że mogli to wszystko zmateriałizować dokładnie tak, jak pomyśleli, że to jest tak porządnie. A my?

Wie pani jakie było jedno z moich najważniejszych doświadczeń zawodowych? Po obejrzeniu trwającej budowy pomysłu mego kolegi z Zachodnich Niemiec, zostałem zaproszony do jego biura. Zobaczyłem tam pancerną kasę z wymyślnym zamkiem. Pomyślałem, że trzymam tam swe najcenniejsze projekty, najlepsze pomysły, chronione przed konkurencją. Nic podobnego. Trzymał tam, strzeżoną jak oko w głowie... dokumentację techniczno-kosztową i materiałową trwającej właśnie budowy!!! Dlaczego? Ano dlatego, że tam architekt jest absolutnym panem budowy. On decyduje o wyborze firmy budowlanej i nie ma obawy, wybierze najlepszą. On wybiera materiały budowlane i wykończeniowe i nie dał Boże, żeby ktoś coś zmienił bez jego wiedzy. On trzyma w ręku kosztorysy, odbiera wykonane roboty i on decyduje o zapłacie dla wykonawców. Jeśli coś spaprali — poprawiają dotąd, aż będzie dobrze i dopiero wtedy dostają pieniądze. I... to nie ma sensu, przecież ja tu opowiadam jakies niewyobrażalne cuda.

— Gdzie tkwią przyczyny ziej sytuacji w Polsce?

— O dwóch już wspomniałem. Pierwsza — to mentalność akceptująca brzydotę, jako stan normalny. Druga — to ów błąd myślenia, że na piękną i oryginalną architekturę stać jedynie bogatych. Tymczasem właśnie niebogaty nie stać na złą architekturę. Bo ta jest stołkroć kosztowniejsza społecznie. Dobrze zaprojektowany i starannie wykonany obiekt nie będzie cierpiał na przemarzanie ścian, pęknięcie tandytnych instalacji, nie będzie się spalał przed wpływem pięćdziesięciu lat. Nie jest więc wieczne, ale czyż zaraz musi być tak, że za dwadzieścia lat na miejscu wielkiego osiedla będą wielkie ruiny? Trzecia — generalna przyczyna to system finansowania budownictwa. Wszelkiego. System postawiony na głowie, topiący w błocie niezliczone miliardy, przy myślnych efektach. Nic tak nie demoralizuje jak świadomość — czy się stoi, czy się leży. A tak właśnie jest. Stąd terror gigantycznych firm budowlanych, monopolizujących rynek, obezwładniający inwestora i użytkownika.

NA CAŁYM ŚWIECIE

budownictwo i przemysł materiałów budowlanych to jest kokosowy interes. U nas demoralizacja ogarnęła już wszystko. Nieka jakoś materiałów budowlanych, przy niewyobrażalnym marnotrawstwie surowców, nieprzebranie żadnych reżimów technologicznych i — powiedzmy jasno — gigantyczne chamstwo wykonawcze. Jak inaczej określić to, co się dzieje na budowach. Nie ma nadzoru budowlanego. Kiedyś był niezależny inspektor nadzoru. Absolutny pan na budowie. Nie przyjął fuszerki, zamknął budowę i bil bezwzględnie po kieszeni. I ten upiorny pomysł, że plan kończy się z kalendaryzowym rokiem, a nie z końcem dobrze zorganizowanej roboty. A skąd te sytuacje, że zalicza się do wykonanego planu budynek, który nawet nie wyrwał jeszcze z ziemi? Skąd szaleństwo na budowach przed końcem gruntu? Nieważne, że beton ma swój czas wiązania, nie liczy się, że przyklepany byle jak tynk odleci zaraz na wiosnę. Kto tam patrzy na to, że nie należy zbytnim cementem kitować pionów kanalizacyjnych w budynku!

Czyż nie jest w najwyższym stopniu upokarzające, że projektant musi się łasić do majstra i robotników z budowy, żeby raczyli może trochę solidnie, starannie, żeby im tak nie wisiło, bo wiadomo, że bardziej im się opłaca masówka na wielkim osiedlu, gdzie zawsze się da zakiegoś ukradziony cement, instalacje, kafle, kuchenki, zlewy i co tylko się da. Nietypowy projekt uczy pokory. Wiem, że powinienem wysławiać pean pochwalny dla Kombinatu Śródmiejskiego, że raczył wziąć się za „BOLKA”, że w ogóle się podjął, bo przecież nie musiał, albo mógł pokazywać muchy w nosie. Powiniennem być wdzięczny. Ale nie jestem. „BOLEK” został spapwany i nie mogło być inaczej. A narażam się na to, że się majstrowie obrażą i więcej nie zechcą podjąć się realizacji żadnego mojego projektu. A wyboru nie mam. To nie ja decyduję, to wykonawcy, nie ja im stawiam warunki.

Dopóki nie nastąpi radykalna rewolucja w systemie organizacyjnym budownictwa, dopóki nie będzie końca „problemowi mieszkaniowemu”, ruiny istniejącej substancji, dopóty będziemy żyć w szpetocie i tandecie. I ręce mi już opadają, bo chyba nie dożyję chwili, kiedy wreszcie przewróci się ten potworny gnój.

Tylko, że ja nie umiem i nie chcę robić niczego innego. Nie założę straganu z pietruszką, na znak protestu. Architektura — to jest sens mojego życia, więc trwam, i ciągle mam nadzieję, że może następny projekt będzie lepiej zrobiony, nie będzie wynikiem tysiąca rezygnacji i kompromisów, że może następnym razem się uda.

Może dzieci moich dzieci doczekają chwili, kiedy nie będzie się marnować ludzkich pasji, kwalifikacji, wysiłku. Bo ja już nie mam siły czekać.

— A tymczasem uczy się kleić kurne chałty, bo może się okazać, że atenci Partenon był tylko snem fantasty.

Ekslibris — znak książkowy, który w Polsce znany jest od 1516 roku. Właścicielem pierwszego polskiego ekslibrisu był Maciej Drzewicki, ówczesny biskup przemyski, a późniejszy arcybiskup gnieźnieński i prymas Polski. Był to ekslibris herbowy wykonany w technice drzeworytniczej w oficynie drukarskiej Hieronima Wietora w Wiedniu.

Pierwszym na świecie chłopkiem ekslibrisem poszczycić może się nasz kraj. Jego właścicielem był Jerzy Gajdzica z Cisownicy na Śląsku Cieszyńskim. Żył on na przełomie XVIII/XIX wieku.

Druga połowa XX wieku, nie tylko w naszym kraju, lecz także w całym świecie — to wielki rozwój znaku książkowego. Stało się to za przyczyną organizowania wielu imprez ekslibrisowych. W roku 1963 zorganizowano pierwsze międzynarodowe biennale ekslibrisu w Warszawie w ramach zjazdów w Malborku. W roku 1986 odbędzie się w Malborku wystawa XI Międzynarodowego Biennale Ekslibrisu Współczesnego, będąca światowym przeglądem sztuki graficznej w zakresie ekslibrisu. Także w 1986 roku organizowany jest XXII Międzynarodowy Kongres Ekslibrisu w Utrechcie w Holandii. Z tej okazji organizowanych jest wiele wystaw na wysokim poziomie artystycznym, gromadzących najlepsze prace grafików z całego świata.

W Polsce od lat obok imprez malborskich duże znaczenie mają także wystawy Biennale Małych Form Grafiki w Łodzi, wystawy polskiego ekslibrisu współczesnego w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie. Na szerokie międzynarodowe wody wypłynęły konkursy i wystawy ekslibrisu organizowane przez Dom Kultury w Rawiczu, w roku bieżącym będzie to już jedenasty konkurs. Od 1983 roku stolica polskiej miedzi — Lubin jest organizatorem Międzynarodowego Biennale Ekslibrisu i Małych Form Graficznych imienia Mikołaja Pruzio. W Lubinie preferowany jest szczególnie miedzioryt, co jest zrozumiałe z faktu umiejscowienia tej imprezy. Każdego roku w naszym kraju organizowanych jest kilkadziesiąt mniejszych i większych ekspozycji ekslibrisów, zarówno tematycznych, jak i monograficznych poszczególnych autorów polskich i obcych. Są to najczęściej ekspozycje ze zbiorów znanych kolekcjonerów znaku książkowego. Do wielu z tych ekspozycji wydawane są różnego rodzaju druki okolicznościowe — katalogi, często na wysokim poziomie edytorskim o charakterze bibliofilskim. Niektórzy graficy a także kolekcjonerzy własnym sumptem wydają bibliofilskie teki lub albumy ekslibrisów w nakładach od 13 do 100 egz.

Liczna rzesza polskich grafików zajmujących się twórczością ekslibrisową, a także kolekcjonerów do niedawna pozbawiona była możliwości zorganizowanego działania. W prawie wszystkich sąsiednich krajach socjalistycznych i na Zachodzie działają stowarzyszenia miłośników ekslibrisów. Istnieje Międzynarodowa Federacja Miłośników Ekslibrisów, będąca organizatorem kolejnych co dwa lata odbywających się Międzynarodowych Kongresów Ekslibrisu.

W Polsce ekslibrisem do tej pory nikt poważnie się nie zajmował. Oczywiście Biblioteka Narodowa, Biblioteka ZN Ossolińskich we Wrocławiu i wiele innych bibliotek uczelni wyższych czy publicznych oraz muzealnych gromadzą ekslibrisy. Niektóre z prywatnych kolekcji znalazły się w tych zbiorach, jak np. kolekcja Tadeusza Solskiego czy Zygmunta Klemensiewicza są w Ossolineum, kolekcja Stefana Kotarskiego w Bibliotece Narodowej, kolekcja Tadeusza Przypkowskiego w Muzeum im. Przypkowskich w Jędrzejowie, kolekcja Tadeusza Brosza w Bibliotece Jagiellońskiej, ale także znane są fakty, że piękne zbiory innych kolekcjonerów po ich śmierci giną bezpowrotnie dla kultury narodowej, jak to miało miejsce z kolekcją adwokata dra Stanisława Auilcha z Jeleniej Góry, czy też kilkoma innymi zbiorami. Stąd też w wolewództwie legnickim narodziła się myśl, aby w Lubinie powołać do życia Muzeum Ekslibrisu i Małej Grafiki.

Sprawy ekslibrisu mają stać się centrum uwagi powołanego do życia w grudniu 1985 roku Polskiego Towarzystwa Miłośników Ekslibrisów w Legnicy. Towarzystwo skupia już kilkudziesięciu grafików, kolekcjonerów i innych miłośników księgoznawstwa. W planie jest organizacja oddziałów PTME także w Łodzi, skąd jest czterech członków założycieli towarzystwa. Przewiduje się wydawanie własnego czasopisma o charakterze artystyczno-naukowo-kolekcjonerskim, organizację wystaw, galerii ekslibrisów, spotkań i wielu innych działań mających na celu upowszechnienie znaku książkowego wśród miłośników książek.

JÓZEF TADEUSZ CZOSNYKA



DR WIKTORA DZIULIKOWSKIEGO

Czesław Keims, cynkotypia, 1976 r.

ków z korzyścią dla wielu przedsiębiorców. Wyniki były zdumiewające. Kort został źle założony i nie można było na nim grać. Nogi grzęzły w jakimś czerwonym żwirku. Ze szparagarni nie zjedliśmy nigdy ani jednego szparaga. Drzewa karłowate, zamiast nas karcić owocami, stanowiły doskonały pokarm dla niezliczonych zajęcy, które zimę grasowały po ogrodzie i upodobały sobie właśnie owe kary. Wysoki parkan nie wytrzymał „wicherów północy”, kładł się pod ich naporem, a leżał długo, bo nie było komu go naprawić. W ogrodzie kwiatowym najmniej było kwiatów, a za to wiele wymyślnych krzewów, które rosty racontycznie”.

Poprzednio dom ten i ogród należał do zdymisjonowanego majora austriackiego. Miał on dwa konie dane mu przez wojsko austriackie, które miał karmić, korzystać z ich siły pociągowej i co jakiś czas stawić przed wojskowych weterynarzy na przegląd. Major dbał o konie, ale pod opieką Kirchmayerów straciły one na wadze i wojsko je im odebrało. Wtedy Kazimierz Kirchmayer kupił klacz „Hertę”. Był to koń narowisty, bardziej pod siodło niż do bryczki, parę razy poniósł, na szczęście bez większych wypadków.

Sam Kazimierz natomiast doznał za przyczyną tego konia trwałego kalectwa. Wybrał się pod Lwów po żonę. Mróz był srogi. Stangret powoził, ale w drodze powrotnej Kazimierz senior postanowił sam powozić, nie założył rekawiczek i już w połowie drogi trzeba było mu ręce rozcierać śniegiem. Dojechał do domu i odmroził palce obu rąk. Trzeba było amputować. Poza tym nabawił się choroby płuc. A przecież obok siedział stangret, specjalista od powożenia koniami nawet w mroź i przygotowany do powożenia w mroź.

Po Pasiekach Łyczakowskich był młyn w Krzesławicach pod Krakowem. Młyn ten otrzymał w spadku stryj Kanty, ale kierował nim nieudolnie i młyn zamiast zysków przynosił straty. Stryj Kanty przyjechał do Kazimierza Kirchmayera, wiedząc, że ten ma posadzę tońną i pełen kufer rubli, aby mu żyrować weksle. Żyrowano całe tony tych weksli, a gdy przyszło do playty w młynie, postanowiono go wykupić, aby ratować wzięte tam pieniądze. Był to najgorszy z możliwych pomysłów.

„Młyn zjadł wszystko — pisze Jerzy Kirchmayer — stał się istnym przekleństwem i du Kirchmayerów i zarazem najlepszym świadectwem ich nieporadności i nieprawdopodobnego optymizmu w sprawach materialnych, bo przecież już w ostatnim okresie życia dziadka młyn był deficytowy i takim pozostał nadal. Widać, że nikt nie miał siły, żeby radykalnie wyplątać się z tego fatalnego interesu”.

Władze austriackie popierały młynarzy węgierskich kosztem młynarzy galicyjskich. To była trudność, ale inne młyny pod Krakowem mimo tego dobrze funkcjonowały. Rzecz więc polegała nie na rządowych utrudnieniach, ale na tym, że młynem kierowali niefachowcy. „Ani stryj Kanty, ani mój ojciec nie mieli pojęcia o młynarstwie”. Byli tam jednak ludzie, którzy na krzesławickim młynie zrobili majątek. Był to kasjer Kaczorowski i Zyd krakowski Reinhold. Jakoś potentatów młynarskich nie zastanawiał fakt, że kasjer Kaczorowski, utrzymywany przez nich płacąco, nie zawsze regularnie pensją, kupuje... nagle od Kantege Kirchmayera majątek ziemski Anielówkę. Skąd on na to ma? — zapytano by dziś i słusznie. Z krzesławickiego młyna, mości panowie.

No, ale panowie Kirchmayerzy mieli znakomity pomysł. Do zarządzania młynem ściągali jeszcze Juliana Małtaszyńskiego, brata matki Jerzego. I teraz:

„Skomplikowana administracja młyna ułożyła się następująco:

- matka — faktyczna właścicielka bez prawa głosu,
- ojciec — dyrektor naczelny i spec od sanacji,
- wuj — dyrektor administracyjny i nie znający się na rzeczy mąż zaufania,
- Reinhold — doradca finansowy dyrektora naczelnego,
- Kaczorowski — skromny kasjer i właściciel „spiritus movens”.
- Holota — chłop z Krzesławic, słynny z urody i rozumu — tak zwany Obermüller, czyli dyrektor techniczny”.

Nic dziwnego, że przy takim skomplikowanym a niefachowym zarządzie musiało dojść do tego, do czego doszło. Stało się to w 1911 roku. Pani Kirchmayerowa wyjechała do Abbaży nad Adriatykiem na wakacje, a Kazimierz Kirchmayer senior wpadł na szalency pomysły rozbudowy i tak deficytowy młyn. Reforma młyna polegała na tym, że nie zmieniając niefachowego zarządu, postanowiono zmodyfikować młyn szesnasty i wybudować nowy młyn żyrny. Największy interes na tej reformie zrobiła bez wątpienia czeska firma Brazdy z Przerowa. Być może powiększyli swoje fortuny panowie Kaczorowski i Reinhold. Gdy właścicielka młyna wróciła z wakacji, w pełni wrzaska już robota nad modernizacją starego i budową nowego młyna. Mogła tylko załamać ręce w przeczcuciu nieszczęścia.

Młyn spalił się wiosną 1913 roku. Był to — jak pisze Jerzy Kirchmayer — „szczęśliwy wypadek, bo był nieźle ubezpieczony”. Ale pieniądze wystarczyło na spłacenie długów. Sprzedano resztki po młynie, co tam przecież zostało ze starego młyna. I tak zakończyła się historia byłej fortuny rodu Kirchmayerów.

Nie opowiedziałem tej historii, wyczytanej w „Pamiętnikach” Jerzego Kirchmayera, bez powodu. Otóż myślę, że warto się nad nią głębiej zastanowić. Można się pośmiać z nieudolności, przesteru ambicji nad możliwościami, nad zwyczajami panującymi w dawnej Galicji, nad życiem wypełnionym wspomnieniami o dawnej świetnej przeszłości. Ale myślę, że nie śmiech powinien towarzyszyć tej historii. Głęboka zaduma raczej. Bo pokazuje ona w krzywym zwierciadle dziejów jednego rodu nasze wady i przyrwy. Czyż my dziś częściej nie postępujemy podobnie? Pomyślmy nad tym!

WITOLD BOROWY

wskiej akademii i wydat drukiem jakieś lacińskie dzieło”. W Kościele Mariackim jest grobowiec Kirchmayerów z XVIII wieku. A w Pleszowie pod Mogiłą rodzinne groby z XIX wieku. Niedługo bowiem Pleszów należał do Kirchmayerów, ale to było gdzieś w połowie XIX wieku. Później pozostały tylko groby na pleszowskim cmentarzu, legenda i młyn w Krzesławicach.

W połowie XIX wieku żył też słynny bankier, stryjeczny dziadek Jerzego Kirchmayera, a więc brat ojca Kazimierza Kirchmayera. Był niebywale bogaty, jeden z założycieli i faktyczny właściciel słynnego krakowskiego „Czasu”. Jego klientami byli galicyjscy arystokraci, co zresztą wyszło mu później na złość. „Gdy wyśiadł ze wspaniałej „Victorii” — pisze nie bez ironii stryjeczny wnuk — lokaj wyścielał mu karmazynowym dywanikiem chodnik od stopnia pojazdu do progu kamienicy... ażeby jego bankierska jaśnie oświecona mość nie raczyła sobie zawałać obuwia gminnym burzem lub biotem”. Był to szczyt potęg rodziny Kirch-

mayerów. Ale — jak to zwykle bywa w życiu — jeśli coś dochodzi do szczytu, to następstwem tego musi być upadek. I nastąpił. Za przyczyną jednego hrabiego... kobiety.

Hrabia Potocki, rezydujący wówczas w Domu pod Baranami w Krakowie, złożył swoje walory w sejfach banku Kirchmayera. Aliści przyszedł taki czas, że hrabia musiał udać się do Paryża, aby pokazać się w tej światowej stolicy. W Krakowie miał ślicznotkę, piękność bajeczną, która darzyła go względami, a on ją finansami. Hrabia Potocki, wyjeżdżając do Paryża, pozostawił pod opieką bankiera nie tylko swoje finanse, ale i swoją ślicznotkę, dochodząc do nieluznego zresztą wniosku, że będzie to wszystko „miało pewne jak w banku”. I pomylił się. Pieniądzy bankier nie naruszył. Ślicznotkę i owszem. Pamiętajmy, że Kirchmayerowie byli przystojni, dobrze wychowani, czarujący, świetnie tańczyli, umieli bawić damy — słowem „czarusie”. Któżaś nudząca się piękność nie ulegnie takiemu „czarusiowi”. Ślicznotka uległa, o czym szybko dowiedzieli się hrabi powrócivszy z Paryża. Wpadł w szal i rozpacz. Ale doszedł do wniosku — bankiera nie można ukarać inaczej, jak tylko po bankiersku. Wycofał z Kirchmayerowskich sejfów wszystkie złożone tam bogactwa, a że w ogóle nadszedł w tym czasie kryzys finansowy w habsburskiej monarchii, to cios był tak śmiertelny, że ofiara wprawdzie przeżyła, ale fortuna upadła bezpowrotnie. Stracił bankier nie tylko ślicznotkę, ale bank „Czas”, kamieniec i Pleszów oraz „Victorie” z lokajem i karmazynowym dywanikiem. Musiał własnymi nogami deptać gminy kurz i błoto.

Tak więc, gdy 29 sierpnia 1895 roku przyszedł na świat w rodzinie Kazimierza Kirchmayera kolejny syn, Jerzy, po fortune Kirchmayerów pozostały już tylko wspomnienia, no i młyn w Krzesławicach. Ród Kirchmayerów, który niedługo trząsł Krakowem chylił się ku upadkowi.

„...gdy w XIX wieku zaczęli łączyć się z polską szlachtą — ocenia to Jerzy Kirchmayer — stali się stabi, beznadziejnie stabi, niepraktyczni, latwoimi, nieporadni w interesach, które prowadzili, i w życiu domowym. Gdy osiągnęli czasem powodzenie, dążyli się to przede wszystkim wskutek pomysłnego zbiegu okoliczności, gdy zaś te układały się niepomysłnie, zalamywali się łatwo i odchodzili, robiąc łatwo miejsce innym. Z dawnej siły pozostała im tylko troska o jej niektóre zewnętrzne znamiona. Dbali więc o piękne, nawet reprezentacyjne urządzenie mieszkania i wierzili, że gdy na ścianach wiszą dużo niezłych obrazów i szychów, podłogi są wystlane dywanami, a dywany zastawione antykami, gdy służba jest liczna, gdy jest gubernantka do dzieci i lokaj w libeii do gości, to życie zostało w zasadzie urządzone”.

A przecież były to tylko pozory świetności, wspomnienia dawnych lat, kamuflaż. Ale tak się wówczas żyło, takie panowały zwyczaje i nikt nie śmiał się z nich wyłamywać pod groźbą wykluczenia z rodziny. A zwyczaj ten nakazywał robić interesy, kupować majątki. Otóż Kazimierz Kirchmayer, prowadzący cieszącą się popularnością w Krakowie kancelarię adwokacką, postanowił nagle oddać ją w ręce brata Stefana, a samemu „z mejskim Rościszewskim” kupić majątek ziemski — Majdan Górny pod Nadworną w Galicji Wschodniej.

Interes miał być pewny — Był tam tartak i huta szkła oraz wielki las. Rzecz polegała miała na tym, że obaj panowie „chcieli wyciąć i sprzedać las i w ten sposób odbić sobie gotówkę wyłożoną na kupno”. Nie oni pierwsi to wymyślili, nie oni pierwsi się na tym nacięli. Rzecz całą można było przeprowadzić, ale trzeba było siedzieć w Majdanie Górnym, od świtu do nocy, łazić po lesie, pilnować drwali, kupców, interesów. Ale panowie chcieli mieć interes i bawili się gdzie się dało. Skończyło się plajtą.

Kirchmayerowie — wyjechali niedługo w triumfie i z pięknymi planami na podobój świata — bali się teraz wrócić do Krakowa już nie w blasku sławy, ale z piętnem klęski. Kupili więc dom z ogrodem na Pasiekach Łyczakowskich pod Lwowem. Był rok 1903. „Dom był duży. Ogród miał około 3 hektarów”. A Kazimierz Kirchmayer piękne plany. Oddajmy lepiej głos pamiętnikarzowi.

„Ogród kwiatowy doznał kosztownych upiększeń, przystąpiono do budowy kortu tenisowego, założono ogromnej szparagarni, nadzwyczajnych owocowych drzew karłowatych i oparkowania posesji. Pracowało wielu robotni-

Jerzy Kirchmayer jest nie tylko autorem znanej i cenionej książki „Powstanie warszawskie”. Od najmłodszych lat wykazywał duże zainteresowanie historią. Zaczął publikować już w 1928 roku, ale jego najważniejsze prace ukazały się po drugiej wojnie światowej. W 1962 roku „Książka i Wiedza” wydała obszerny tom „Pamiętników” Jerzego Kirchmayera. Lektura „Pamiętników” jest wręcz fascynująca. Kupilem je niedawno w antykwariacie. Ktoś widać nie docenił wartości tej książki. Dobrze, że trafiają się tacy ludzie.

Jerzy Kirchmayer urodził się w Krakowie 23 sierpnia 1895 roku w rodzinie niegdyś znanej i szanowanej, a już w tym czasie podupadającej. Była to rodzina spowinowacana ze znanymi rodami w Polsce. Stryj Jerzego Kirchmayera Stefan ożeniony był z panną Getlich, spokrewnioną z rodziną łódzkich fabrykantów, potomków Ludwika Geyera. Stryj Wincenty pojął za żonę posadną córkę mistrza Jana Ma-

Spadkobiercy spalonego młyna

tejki. Inni poženili się poza Galicją, szukając na Podolu czy pod Kijowem posadnych panów, jako że — co już się rzekło — majątki bogatych niegdyś Kirchmayerów były w stanie szczątkowym.

Ujął mnie Jerzy Kirchmayer krytycznym stonunkiem do swej rodzinnej przeszłości, bo jest to krytyka mądra, dostrzegająca nie tylko powierzchowne wady, ale klasowy ich mechanizm. „Nie dziwicie się, że krytykuję tak ostro — napisał — leż tego wspaniałego widzę w samym sobie!” Potrafił zobaczyć w dziejach swej licznej i wielce rozgałęzionej rodziny nie tylko tragedię poszczególnych jej członków, ale klasę klasę, pewnego sposobu myślenia i postępowania. Ślabość ludzi, którzy odarzeni niekiedy wielkimi talentami nie potrafili wyrwać się z zakletego kręgu schematów, konwenansów, nacisków, tradycji. A takich ludzi, którzy choć próbowali wyłamywać się ze schematów, to brakowało im siły, nie znajdowali uznania i poparcia i kończyli tragicznie.

Taki los spotkał starszego, przyrodniego brata Jerzego — Kazimierza. Był męczyzną wielce przystojnym. W ogóle Kirchmayerowie byli wysocy, zgrabni i przystojni. Kobiety za nimi szalały. Ale Kazimierz Kirchmayer był nie tylko przystojnym męczyzną, bohaterem kilku romansów głoszonych na cały Kraków i okolice, bo nawet Radom wchodził w grę, ale też człowiekiem wielce utalentowanym. „Grat pięknie na fortepianie — pisze o nim Jerzy Kirchmayer — a sztukę tę posiadał bez niczyjej pomocy, rzeźbił z talentem, mimo że nigdy się tego nie uczył, pisał przepiękne wiersze i między innymi pracował nad wierszowanym przekładem Fausta (o ile pamiętam, fragmenty przekładu Kazika uczywały się w druku w jakimś piśmie lwowskim lub krakowskim), posiadał gruntowną wiedzę o szycharstwie i zbierał z zapalem i z naukowcem szychy, pisał zajmujące sprawozdania z zawodów pilkarskich i gdzieś mniej więcej w tym czasie został sekretarzem słynnej Cracovii”.

I co zrobił ten utalentowany człowiek? Poszedł studiować prawo, bo... bo jego ojciec też ukończył prawo, a tradycja nakazywała, aby iść śladami ojca. Ojciec Jerzego, też Kazimierz, był nawet przez pewien czas wziętym adwokatem w Krakowie, miał kancelarię, ale zamarzył mu się interesy i... ziemiaństwo. Rzucił adwokaturę i wyjechał z Krakowa. Tyłko to było dużo wcześniej, kiedy Kazimierz junior był jeszcze małym psotnikiem.

Kazimierz junior dorósł, wybuchła wojna, poszedł do wojska, walczył na włoskim froncie, a gdy Austria się rozpadła, wrócił do Krakowa i wstąpił do wojska polskiego. Wtedy też przypomniał sobie, że kochał się niegdyś w bogatej córce krakowskiego relienta. Zaczął więc do niej chodzić, ale podano mu czarna polewkę. Był niegdyś w Polsce taki zwyczaj, że gdy chciano starać się o pannę iac kosa, czyli odmówić mu prawa starania się o jej rękę, podawano w czasie obiadu tylko jej jemu jednemu czerninę, zupę z kaczki krwi. Kazimierz junior załamany tym, że nie mógł spełnić swoich życiowych planów, nie miał siły na to, aby wbrew rodzinnej tradycji zostać artystą, teraz, po czarnej polewce, załamał się ostatecznie. Jerzy Kirchmayer tak opisuje jego wizytę u ciotki Kazi Battagliowej.

„Ciotka zauważyła, że robi się jakby nieobecny i wpatruje się uporczywie w sufit.

— Czego ty tam szukasz na suficie, Kaziku? — pyta ciotka.

— Wybieram sobie — odpowiada — hak, żeby się na nim powiesić...

— Ha, ha, ha... — śmieje się dobra ciotka, biorąc to za żart — wiesz, że gdybyś ja miała pozbawić się życia, to zrobiłabym to jak Petronusz.

Na drugi dzień rano matka moja leży w łóżku i czyta poranną gazetę. Wpada jej w oczy wiadomość z kroniki miejscowej, że w takiej to ładni publicznej odebrał sobie życie porucznik Kazimierz Kirchmayer”.

Zresztą matka Kazimierza, a pierwsza żona Kazimierza seniora, chora — jak to się wówczas mówiło — na nerwy, też popełniła samobójstwo.

Krakowscy Kirchmayerowie byli — jak pisze pamiętnikarz — potomkami „germańskich ritterów ze Styrii, czy też Tyrolu”. W XV wieku Kirchmayerus „był bodaj profesorem krako-



Olga Brzezińska



Wczoraj na brzegu morza dobrej nadziei znalazł mnie jednoróżec ze zwiniętym skrzydełkiem wśród krabów muszli i porostów kilka zmoczonych piór i dziewczęce stopy nieobecne nocą szpilką do włosów wpiął mnie w swój czas



mogę sprzedawać pocałunki na targowisku tańczyć raniąc stopy między maskami mogę w wielkim teatrze grać swoje życie a wieczorem jak burdel podniecać ramoli nocą, czytać Krishnamurthiego czy Tao Te King-Lao Tsy albo Stachurę potem spędzać godziny u psychoterapeuty łapiąc się na obojętności przetykanej lesem mogę jeszcze kochać cię jak Maga rozniecać ogień ogień miłości pożar cały i płakać na zgłiszczach tylko powiedz po co?



Jest we mnie pierwszy krzyk pierwsze słowo i słowo ostatnie jest jeszcze pierwszy ból ostatni pierwsza żalu kropelka i kropka ostatnia uśmiech spojrzenie zamkniętych oczu jest we mnie cień mężczyzny cień kobiety jest we mnie jeszcze

Andrzej Cezary Sawczenko

Zima

Nie wiem kiedy powrócę do tych miejsc gdzie mnie nie ma na chwilę która wiecznością jest i mgnieniem powieką gdy okruczeństwo zaproszę żenicę chce objąć tę pustkę którą zostawiłaś Kasztan tak znajomy Przeważnie we śnie co mi jest nie dany

próbuję zrobić krok w Twoje strony to jest wielka równina Jak stół wigilijny biała To jedno puste miejsce zajęłem dla siebie Jest tam też rzeka martwa Jak ciemność pamięci Jeszcze wiruje w ciszy bezgłośnie wolanie o pomoc

To tylko krzyk powietrza zranionego przelotem ptaków w ciepłe strony Nie wiem kiedy powrócę Jeszcze we mnie zima



Rys. Zenona Pionk

W ułożonym przez Władysława Kopczyńskiego „Słowniku młotów i tradycji kultury”, który stał się niekwestionowanym wydarzeniem edytorskim minionego roku, pod hasłem „myśliwy” znajdujemy między innymi fragment utworu Waspazjana Kochowskiego — przedstawił go barokowy sarmackiego — wynoszącego ponad wszystko urok myśliwstwa:

To byt na świecie, byt nieporównany, Być jednym z cechu Diany, I jeżeli nie myśliwy, To nie jest żywot na świecie szczęśliwy.

Słowa te z powodzeniem mogłyby stanowić motto zbioru opowiadań znanego prozaika Edwarda Kopczyńskiego, w którego książkach problematyka myśliwstwa zajmuje miejsce — kto wie czy nie najważniejsze.

Opowiadania Edwarda Kopczyńskiego — jakkolwiek łączy je temat — są zróżnicowane. Przeważają humoreski i facecje. Kopczyński prowokuje czytelnika do radosnego uśmiechu z urody życia, nie stroni od frywolności, pokazuje komizm sytuacji. Narrator opowiadał przypomniał barona Münchhausena, gdy ten w gniewie przyjaciół opowiadał o isieniu, którego trafił pestką wian między rogi, po latach zaś spotkał z pięknym drzewem w śnieżnym wyrosłym pośród poroża. Mówiąc o podobieństwie nie mam na myśli przesady, cechującej większość opowiadających o swych wycieczkach myśliwych i wędkarzy — chodzi o skłonność do relacjonowania przygód, nawet

tych najbardziej nieprawdopodobnych (np. „Kaczki powracają wiosną”). Dykteryjkę Kopczyńskiego są na ogół pogodnie, stanowią z jednej strony pochwałę przyrody, z drugiej zaś — ludzkiej powściągliwości w korzystaniu z jej darów. Wszelkie uchybienia piętnowane są zdecydowanie: tendencja satyryczno-dydaktyczna objawia się w tomie „Na tropach myśliwskiej przygody” najwyraźniej.

Charakterystyczne, że w zbliżony sposób Edward Kopczyński przedstawia ludzi i zwierzęta.

Sceny myśliwskie

Chodzi o to, iż zwierzęta od niepamiętnych czasów symbolizują również niektóre cechy charakteru ludzkiego. Dlatego autor opowiadań myśliwskich tworzy zazwyczaj paralelną konstrukcję, porównując zachowanie myśliwego i zwierzyńca. Myśliwy, zanim złoży się do strzału, kontempluje piękno i potęgę przyrody. Kontakt z przyrodą jest ożywczy. Dostarcza relaksu, ale również przeżył natury filozoficznej.

Myśliwstwo w utworach Edwarda Kopczyńskiego nie jest niszczeniem przyrody, wynika raczej — co zabrzmi paradoksalnie — z zaurzeczania przyrodą. Bohaterowie Kopczyńskiego mają w sobie coś z stawiz-

mu, tęsknią za pierwotnym, naturalnym środowiskiem człowieka. Niedzielna wyprawa do lasu staje się jakby symbolicznym powrotem na łono natury. Dopiero obcowanie z przyrodą stwarza prawdziwych ludzi — taki jest sens większości opowiadań.

Niektóre teksty Kopczyńskiego stają się żartobliwym poradnikiem dla adeptów myśliwstwa. Autor chętnie dzieli się swym długoletnim doświadczeniem. Powiada: „Doświadczenia łowicze. Ma się je, ma się ich dużo, można by się pokusić o jakąś filozoficzną kwintesencję. Przyjaciół wybieraj z namysłem, bez pośpiechu. Jeśli już wybrałeś, bądź tym przyjaźniom wierny, ale niepotrzebnie nie wystawiaj ich na próbę. Pamiętaj ponadto, że nie tytuł zdoła twego towarzysza łowów, ale jego serce, jego szlachetność. Na koniec westchnienie o nową przygodę, o nowe spotkanie w polu i kniei. Niech nam bór darzy najobficiej”. Potraktujmy tę liryczną puentę jako zachętę do lektury.

Książka Edwarda Kopczyńskiego wyraża pochwałę aktywnego życia. Czytelnikowi dostarcza godnej rozrywki, może też stać się okazją do głębszej refleksji.

TADEUSZ BŁĄZEJWSKI

Edward Kopczyński: „Na tropach myśliwskiej przygody”. Krajowa Agencja Wydawnicza, Łódź 1985, s. 198, nakład 49 650 + 350 egz., cena zł. 130.

licie wielkopańskie pałace, wyrażające przez architektoniczny historyzm pewne mitomańskie ciągoty do przeszłości. Zapelniały się one coraz to liczniej- szymi przedmiotami zbytku. Oczywiście nieuniknione było, że w tym tworzeniu tego co nazywamy właśnie „decorum” oprócz rzeczy artystycznie cennych nie brakło przypadkowych, ale bez wątpienia kosztownych.

Otóż z całego tego bogactwa — mebli, obrazów, rzeźb, wazonów, gobelinów, porcelany, z całej tej — oryginalnej bądź imitowanej — chińszczyzny iapońszczyzny czy innej modnej egzotyki niewiele do dziś wskutek wypadków dziejowych pozostało. Istotniejszym jednak powodem, żeby ocalić od ostatecznego przypadku i zniszczenia owe szatańskie czy niedobitki dawnej świetności fabrykanckich rodów — jest to, iż stanowią one de facto część zabytków kultury polskiej na podobnej zasadzie, co pałace i przedmioty wyposażenia siedzib magnackich i arystokratycznych, z których co nieco nam ocalało.

Najwyższa więc pora, żeby tu w Łodzi, najbardziej typowym centrum gwałtownego wzrostu środowiska fabrykanckiego, zgromadzić i zaprezentować społeczeństwu ocalałe ślady przeszłości, zapoczątkowując systematyczne badania tej problematyki. Kwerenda przeprowadzona w muzeach Łodzi, Pabianic i Zgierza i wśród obecnych użytkowników dawnych fabrykanckich siedzib, przyniosła już nadszperkowane cenny plan w postaci sporej liczby obiektów ruchomych od połowy XIX w. do ostatniej wojny. Tymczasowo zgromadzone je wprowadzić na stosunkowo niewielkiej przestrzeni wystawiennej, ale tak zakomponowano dla potrzeb wystawy, iż nie odczuwa się natłoku eksponatów.

W niedalekiej jednak przyszłości zbioru te, zapewne jeszcze pomnożone, stanowić będą wyposażenie ofabrykanckiej willi Edwarda Herbsta przy ul. Przędzalnianej, jako stała ekspozycja Muzeum Sztuki.

Jest to jedna z atrakcyjniejszych wystaw tak stale aktywnego Muzeum, jedyna w swoim rodzaju, a zaadresowana jest do ludzi o różnym poziomie zainteresowań i gustów. No, i nie brak na niej przedmiotów cennych o bezspornej wartości artystycznej.

JKW

Opracowanie wystawy i katalogu, mgr Wiesława Jordan, oprac. plastyczne Grzegorz Małecki.

Jak mieszkali fabrykanci



Grupa porcelanowa „Zabawa w ślepią babkę”, Miśnia, XIX/XX w., porcelana malowana naszkliwnie.

Słowo „decorum” czy też zwrot „dbać o decorum” były jeszcze w potocznym użyciu w kręgu ludzi wykształconych za młodzieńczej obecności starszego pokolenia. Dziś już się tych określeń nie spotyka, chyba więc nie zawadzi przypomnieć, że w swoim słownikowym znaczeniu „decorum” oznacza „porządek, przyzwoitość”. A z tego wynika, iż nazwa wystawy czynnej w Muzeum Sztuki po „Decorum łódzkiego fabrykanta” ma na celu zaznajomienie zwiedzających z tym, jakie kulturalne aspiracje przyświecały łódzkiemu środowisku fabrykanckiemu, a także jakie pozory stwarzało ono dla umocnienia swego prestiżu społecznego.

Stąd też w salach wystawowych przy ul. Wieżkowskiego pokazano zgromadzone dotychczas wyposażenie fabrykanckich siedzib w przedmioty o — rzeczywistej lub iluzorycznej — wartości artystycznej, przydające im posiadaczom splendoru. Zwykle pierwsze czy drugie pokolenie nowobogackich (ze średniej czy wielkiej burżuazji) zadawała się (jak to obserwowaliśmy i dzisiaj) samym posiadaniem dóbr materialnych i szczyt się tym bez zażenowania.

Później jednak, w miarę zdobywania przez kolejnych dziedziców wykształcenia i ogłady rodzą się snobizmy bądź też wzrastają rzeczywiste potrzeby kulturalno-artystyczne, a wraz z uprawianiem kolekcjonerstwa rozwija się nieraz prawdziwe znanstwo sztuki.

W Łodzi, wielkim centrum niezwykle bujnie rozrastającego się przemysłu, handlu i finansowego kapitału, rosły też i krzepły fabrykanckie fortuny, po większej części (co na tym gruncie typowe) należące do przybywców z innych krajów, opornych początkowo na asymilację w otoczeniu polskiej niewykształconej, często niepiśmiennej biedoty, ściągającej tu zewsząd w nadziei poprawy bytu. Wzorcem dla łódzkich i okolicznych, emancypujących się kulturalnie fabrykantów, nie mających pod ręką jak gdzieś indziej przykładów oświeconego patrycjatu miejskiego, stawali się w różnym stopniu bądź też zagraniczni kapitaliści, bądź też polskie rody magnackie i arystokratyczne.

Skończyło się ostatecznie na tym, że zaczęły w Łodzi rosnąć nakładem wielkich kosztów

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko-obyczajowa

JAK SIĘ ZAKŁADA BIBLIOTEKĘ

Mówi co najmniej sarkastycznie „książę poetów” Ignacy Krasicki:

Jeżeli kto bibliotekę jedynie dla ozdoby domu zakłada, takiemu to najbardziej zalecić należy, iżby miał księgi pod miarą, zapelniające dolne szaf przedzielenia foliantami, następnie w sto, wyższe in 8vo a na szczycie in 12mo i coraz mniejszych formatów.

Istotnie do okazałości potrzebna oprawa; niech więc złota i skóry, a choćby i safianowej nie żałują, bo to księdze dodaje ozdoby, a pańska wspaniałość oznacza.

Zdaje się, że i teraz biskup filozof znalazłby wielu wdzięcznych za radę czytelników, którzy kupują książki nie tyle dla ich treści, ile dla formy zewnętrznej. Mają w tym względzie poprzedników wśród których przedstawiciele wieku oświecenia, do których kierował swe „rady” Krasicki. A że nie było w tym przesady niech zaświadczy list L. N. Korsakowa, faworyta carycy Katarzyny II, któremu rozkochana władczyni podarowała 1821 rubli pod warunkiem, że całą kwotę kochanek przeznaczy na zakup książek. Książki, zgodnie z potrzebami intelektualnymi Korsakowa, miał dostarczyć do pałacu faworyta petersburski księgarz I. J. Weibrecht. Na pytanie Weibrechta jakie zczyłoby sobie książki Korsakow odpowiedział listownie: To pańska sprawa, mnie wszystko jedno. Proszę tylko postawić większe książki na niższych półkach, mniejsze — na wyższych. Słowem, niech będzie tak jak jest u cesarzowej. (Almanach bibliofila. T. 6. Moskwa 1979).

RECEPTA NA ZDROWIE

Skromnie i spokojnie żyć, Nigdy zmartwienia nie mieć, Wciąż w dobrym humorze żyć i lekarstwa nie zarywać Nie rozpaczać, gdy się zdało Losowi dotknąć boleśnie, Jeść niewiele i pić mało, Jak najczęściej ruch zachować, Do domu powracać wcześniej, Spać w nocy, a w dzień pracować.

„Kurier Warszawski” 1835 nr 1

KARCOŁOMNE POWINOWACTWO

Potulicka, dziedziczka na Pniewie i Jankowicach, była zrazu żoną Jana Opalińskiego (1581 — 1637), wojewody poznańskiego, wyszła potem za mąż za Jędrzeja Grudzińskiego, wojewodzica kaliskiego, swego wujecznego brata a zarazem siostrzeńca pierwszego męża; matka jego bowiem była rodzoną siostrą Jana Opalińskiego, matka zaś Potulickiej rodzoną siostrą Zygmunta Potulickiego, wojewody kaliskiego, ojca Jędrzeja. Z tego powodu ułożono na Potulicką współcześnie żółstwy paszkwil, odnotowany następnie w herbarzu Kaspra Niesieckiego: Wujenkom siostrą, żoną mojemu mężowi, Siostrzeńcą, synową zostawisz wujowi. Matki męża bratową, przez me stanowienie Wyuróciłam na nice samo przyrodzenie. Jeśli dziątek naradzę, to moi synowie Ojcu będą siostrzeńce, a mnie bratanek. On im ojcem i wujem, ja matką zostawisz, Będę przecież i ciotką, krew ze krwią zmieszasz.

BURZLIWE ŻYCIE

Bohaterami anegdoty są: przedstawiany już kilkakrotnie warszawski aktor i humorysta Alojzy Fortunat Żółkowski i jego przyjaciel Franciszek Salezy Dmochowski. Anegdota wydobytą z 367 numeru „Tygodnika Ilustrowanego” z 1866 r.

Na kilka dni przed zgonem, kiedy odwiedził go znajomy literat, który chciał mu dodać serca, upewniał, że będąc jeszcze w sile wieku, prędko przyjdzie do zdrowia:

— Panie Salezy — odpowiedział mu na to — ja jestem stary, bardzo stary, to już mi się niewiele należy na tym świecie.

— A wieleż lat pan sobie liczysz? — zapytał literat.

— Dziewięćdziesiąt — odpowiedział Żółkowski.

— Jak to?

— Dwa razy tyle używałem co drudzy, to moje czterdzieści pięć lat życia liczą się za dziewięćdziesiąt. Widzisz więc pan, że sztuka lekarska nic nie pomoże.

O ZŁOŻONYM URZĘDZIE

Zdziwił się Błażej, że po skończonym urzędzie Nie w takim już u wszystkich, jak pierwsze był względnie Gdzieś widział, Błażeju, aby pogładano Na drzewo, z którego już owoce obrano?

Walenty Gurski (1817)

TAKIE SOBIE SKIROŁAWKI. 3.

Hanka wciąż trwała w swej pożyty, hypnotyzując go tajemnym, wulkanicznym ogniem — szepiała, jak kot: „Kuzna, będzie ci palic, dobre?” i mieniąc przyciskala nagą pierś do zapadłej deski piersiowej Kuznoy.

c.d.n.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Egzamin z „gęby”

Wiedomo, że inni ludzie postrzegają i oceniają nas inaczej niż my sami siebie i widzimy nas na ogół w znacznie mniej korzystnym świetle, ale rzadko nadchodzi nas wątpliwość: kto ma rację — ja czy oni. Na tę wielopostaciowość naszego wizerunku, na tę równorzędność odmiennych ról, w których występujemy wobec innych zwrócić uwagę w polskiej literaturze bodaj pierwszy Witold Gombrowicz i uczynił z tego ważny motyw swojej twórczości.

Ma to zresztą u niego charakter niemal fatalistycznego uwikłania, polegającego na tym, że mniej lub bardziej podświadomie człowiek podporządkowuje cudzym oczekiwaniom swoje zachowanie, a w ślad za tym nawet odczuwanie, wplatając się w błędne koło bez wyjścia, bo coraz mu trudniej dokopać się własnego „ja” pod nawarstwieniami cudzych opinii i sądów. Wszystko w nas jest „gębą”, czyli poza narzuconą przez otoczenie.

Powieść „Ferdynand”, której tytuł nie jest znaczący, opowiada o daremnych usiłowaniach wyzwalania się bohaterów od takich psychologicznych presji i odzyskania własnej

„gęby”, a nade wszystko wyzwolenia się od infantylizmu, od „upupiania”, w które wpedza nas nieustannie wszelka działalność wychowawcza osób i instytucji. Gombrowiczowska „gęba” i „pupa” weszły na trwałe do polskiego obłędu literackiego.

Narrator Józio, w którego postawie można się doszukiwać pewnych cech osobowości autora, wraz ze swym szkolnym kolegą Mietusem usiłując wywołać się od narzuconej im „gęby” wcielają się w różne role życiowe dokonując przy tym fałszywych wyborów, stąd też ich flakos. Pozostają skazani na nieautentyczność, będącą owocem zakłamanej cywilizacji, skostniałej w rytuale, pełnej pozorów.

Jakimi sposobami ten wczesny Gombrowicz został przez Bogdana Hussakowskiego zaadaptowany na scenę i wyreżyserowany w Teatrze im. Jaracza? Powieściowy oryginał utkany jest gestem z materii psychologicznej, przepieciony wątkami podświadomości, co wymagało zachowania funkcji narratorskiej; pełni ją Józio w głośnym monologu wewnętrznym, kiedy nie prowadzi dialogu. Jednak sukces odniósł

inscenizator i reżyser w jednej osobie, wydał mi się, głównie dzięki temu, że nie zmarnował scenicznego waloru sytuacyjnych nieprawdopodobieństw powieści, bardzo wymownych scenicznie przez swoją metaforykę (np. w scenie „gwałcenia przez uszy”). Nie zważał się też skorzystał obficie z obsesyjności wypowiedzi bohaterów, polegającej na powtarzaniu słów i zwrotów, nawet całych zdań, które organicznie przenikają się z wspomnianymi nieprawdopodobieństwami sytuacji, w czym zresztą „cały” Gombrowicz.

Z tych słownych obsesji uczynił autor świadomie stosowaną metodę, której „wzrost” dał w dwu rozdziałach „Filidora dzieckiem podziwiałego” i jeśli z czegoś należało w tym dość w sumie długim przedstawieniu zrezygnować (bo czym wrócić do domu, jeśli się nie ma własnego pojazdu?), to właśnie z owego dwurodziałowego wtrętu, nie tłumaczącego się dość jasno i nie uzasadniającego (wbrew deklaracjom autora) swojej funkcji dla całości dzieła, choć straciłobyśmy wówczas kawał barwnego widowiska z wyróżniającą się rolą BOGUSŁAWA SOCHNACKIEGO — Filidora.

Główna zaleta przedstawienia jest jego, by tak rzec, teatralność, a przy tym reżyser nie celebruje wydarzeń, ujmowanych zresztą w nawias umowności, wydobywa też różne odmiennie gombrowiczowskie humoru, czasem nawet (trzymając się książki) donosi ryzyko „przetłuma-

czenia” opisu słownego na doświadczenia doznania wizualnego i balansuje na krawędzi dobrego smaku, jak w „walcu uczniów na miny”, gdzie można by się spierać, czy nie dałoby się mniej naturalistycznie przekazać nieapetyczności gestów Mietusa. Ale to są drobiazgi, dyskusyjne, bo zależne od subiektywnych odczuć.

Wiele scen pozostanie, jak sądzę, w trwałej pamięci widzów, wspomniani pojedynek zła-chetnego w patetyczno-romantycznych pozach Syfona (MARIUSZ WOJCIECHOWSKI) i wulgarnie obmierzłym w swym cynizmie Mietusem (GRZEGORZ HERONIMSKI), no i święta gromada wyrośniętych chłopaczysków; nieopisany komizm młoczącej kotłownianki ciał na podłożu w mieszkaniu Młodziaków, przy tej okazji przypominajmy złożoną rolę profesora Pimki (JAN HENCZ), trywialno-komiczną postać inżyniera Młodziaka (MACIEJ MAŁEK) i „nowoczesną” mieszczkę ZOFII TOMASZEWSKIEJ (Młodziakowa). Trudno nas wspomnieć o scenie ucieczki nasypanych bohaterów z miasta w poszukiwaniu „parobka” i spoiłkania z ujadającymi chłopami, którzy w swoim pomieniu życiowym biorą na siebie rolę psów.

Na specjalną uwagę zasługuje pobyt uciekinierów w dworze, będącym jakby repliką Nawłoci z „Przedwiośnia”. Obezwładniająca i sennie urokliwa jest atmosfera ziemlańskiej siedziby, skansenu szla-

checkiego obyczaju. Postaci go-podary przedstawiono ze znakomita znajomością środowiska — od Ciołki (HALINA DOBRUCHA) przez szlagoną bywałego w świecie Wujka Konstantego (WŁADYSŁAW DEWOYNO) aż po Zygmunta niby to przelatego w stolicy a na miłą na chnącego zaściankiem (LEON CHAREWICZ), świetny jest Kamerdyner starej daty czerniący dumę ze swego upokarzającego fagasostwa (RYSZARD KOTYS).

Bezbłędnie przeniesiono na scenę tak wnikliwie roztrząsane przez Gombrowicza w książce wzajemne stosunki państwa i dworskiej służby, ich jakby uzupełnianie się w anachronicznym już układzie społecznym, gdzie obie strony odgrywają wobec siebie rolę według wielowiekowego rytuału, i na tym tle niezwykle wyraziście rysuje się destrukcyjne oddziaływanie Mietusa, usiłującego „dobratać się” z parobkiem. Doskonała w swej karykaturalnej rodzajowości jest scena wydziewiania parobka i dziewczki dworskiej nad niewydarzonosć i śmiešnościami jasnie państwa, w nieco przebrzmiałej konwencji, ale z maestrią odgrzebane przez MARIUSZA SANTIERNIKA i BOŻENĘ ROGALSKĄ.

Główną rolę Józio kreował z powodzeniem ZBIGNIEW BIELSKI, który zmienne stany psychiczne tej złożonej postaci przekazywał konsekwentnie, z wewnętrzną prawdą.

Prześmieszna opowiadanie o Filiberce przedstawiono doborowo towarzystwo Muz i Pisarzy, wśród których wystąpił pozytywny ostatnio BRONISŁAW WROCLAWSKI.

Dużo inwencji wykazał scenograf, wyposażając wnętrza miejsc akcji trzykrotnie — od zgrzebnej klasy szkolnej, przez „sterylną” chłodną nowoczesność mieszkanka Młodziaków, po mroczno-przytulny salon zabobnego dworu szlacheckiego.

Kto lubi i ceni tę znakomitą powieść Witolda Gombrowicza, ten dozna w Teatrze im. S. Jaracza całkowitej satysfakcji, nie to wszakże jest główną zaletą przedstawienia, lecz zupełnie samoistne, jak sadzę, funkcjonowanie tej sztuki, i to w wyjątkowo czystym teatralnym kształcie. Nie wahałbym się uznać tej „Ferdynanda” za najciekawsze dotychczas z oglądanych przez mnie lódzkie przedstawień tego sezonu. Ale sezon jeszcze się nie kończy i niemy nadzieje, że sztuka napotka jeszcze na swojej drodze rywalki. Oby!

JERZY KWIECIŃSKI

Witold Gombrowicz: „Ferdynand”. Adaptacja i reżyseria Bogdan Hussakowski, scenografia — Janusz Sosnowski, muzyka — Janusza Stokłosa. Premiera w Teatrze im. Jaracza, 1 lutego 1986 r.

Posłuchajcie ballady...

„Ballady o Ostatnich” — dyplom IV roku Wydział Aktorskiego Łódzkiej PWSFTiIT to przedstawienie osobliwe. Zrealizowane zostało wg „Ostatnich” Maksyma Gorkiego.

Określenie „wg” nie powinno nas w błąd wprowadzać, bowiem nie odnosi się ono w tym wypadku do formalnych założeń, jakimi są wszelkie, zwykle daleko posunięte reżyserkie ingerencje w tekst dramatu. Nie jest to owo cienie tekstu, przedstawienie, wyrzucanie całych jego partii itp., które kojarzy się nam z realizacjami Grotowskiego. Szajny czy Grzegorzewskiego. Jak zatem w przedstawieniu Korina wyraża się akt „niewierności” wobec autora (bo przecież każde „według” umieszczone obok tytułu o takiej „niewierności” zaświadcza)? Na to pytanie spróbuję odpowiedzieć pośrednio w dalszym ciągu recenzji.

W większości dramatów Gorkiego obsesyjnie powtarza się temat kresu dotychczasowego kształtu świata. Tacy są „Mieszczanie”, „Waszka Zeleznowa”, „Jegor Bulyczow”, podobni są „Ostatni”. Podobni i inni zarazem, tak jak reszta dramatów ukazują schyłek epoki, dewaluację światonogów i dotychczasowych świętych wartości z patriarchalną rodziną na czele, ale ten świat dusi się tu we własnym sosie. Nie ma tu, jak w „Jegorze Bulyczowie” otwartego okna, przez które wpada orzeźwiający powiew przyszłości, nie ma, jak w „Mieszczanach” czy w „Waszce” nowego człowieka. Słowem „rak tego przedstawienia starości i młodości, młodość najprościej, brak perspektywy na nadcho-

dzące nowe. Bo też nie o przełomie jest to dramat, a o agonii. Zaś agonii to nie tylko konanie, ale i wg pierwotnego greckiego znaczenia — walka.

„Ostatni” nie są więc opowieścią o śmierci, lecz o szamotaninie w obliczu zagłady, o rozpaczliwej i beznadziejnej walce o życie, o prawo do życia. Bezwolne konanie jest u Czechowa, w jego dramatach jest choroba śmiertelna, sprawiła ją wrażliwość, że trwać może bez końca ciągnąc się coraz cieńszą i cieńszą nicią. Powolne obumieranie. W „Ostatnich” natomiast Gorki zamknął w czterech ścianach mieszczańskiego salonu świat Czechowa i Ostrowskiego z całym jego szczerakowym piękniem i wybujałym brudem. Wywłóki wszystkie cechy byle epoki i byłych ludzi.

Ci ostatni nie tyle są osobowościami, indywidualnościami, co raczej nosicielami grzechów starego świata. Ostatni — okrzyki skupiające w sobie wszystkie atrybuty przeszłości. Ostatni — w naturze, kalecy spotyniali. Kotłujący się i flamszujący, skazani na wspólny kres, przeżyjący spazm i skurcz jakis przedśmiertny. Na tym wrzawym kotłem z nieczyściami wyraźnie wyczuwalna obecność autora — sędzię, osoby z wymierzonym oskarżycielsko palcem.

Przy realizacji „Ostatnich” w dzisiejszym teatrze czyha na reżysera dość duże niebezpieczeństwo. Dramat Gorkiego jest mocno osadzony w historii, choć brak w nim ściślejszych danych co do czasu akcji, to przecież jasno wy-

nika, że to lata po rewolucji 1905 r., bohaterem jest urzędniczo-mieszcząńska rodzina, jej status społeczny, jej mentalność i jej moralność. Mamy tu do czynienia z utworem reagującym na określone warunki historyczne. Dość łatwo w takim wypadku zrobić przedstawienie „muzealne” pokazujące jak to ongiś w Rosji gineła epoka i związani z nią ludzie i choć przy tej okazji wydobędzie się cała tragedia ich losu, wszystkie nimi powodujące namiętności. Powstanie wtedy może spektakl wzruszający, ale obojętny, bo mówiący o sprawach obcych, dawno minionych. Korin w tę pułapkę złapać się nie dał. Od początku do końca logicznie i konsekwentnie podporządkował spektakl interesującej koncepcji. Pozostawił niemal nieknięty tekst Gorkiego. Ale wszystkie relacje między postaciami dramatu pełne zduszonego napięcia, doprowadził do granic hysterii; emocja sięgnęła najwyższych rejestrów. Niezwykła, coraz rzadsza na naszej scenie owładniętej niemrawą filozoficzną refleksyjnością, intensywność gry nieodparcie przywodząca na myśl konwencję ekspresjonistycznej „menschliche regie”.

Konwencja — słowo w wypadku tego spektaklu najistotniejsze. Części przedstawienia o partię o tekst Gorkiego są w tej własnej ekspresjonistycznej konwencji, lecz pojętej nie jako maniera czy prosta stylizacja. Mówiliam o bohaterach „Ostatnich”, ludziach działających w skurczu, przedśmiertnym spałm. W przedstawieniu Korina spazm wewnętrzny Gorkiego zyskuje sceniczny wyraz w gwałtownej, nie opowanej, konwulsyjnej formie gry aktorskiej. Z pełnym zaangażowaniem, z pasją przerażającą (w formie) pasję i żarliwość autora, bezgraniczną ufnością (w potrzebie bebechowatości — na gruncie idei, wobec reżysera — na gruncie teatralnej roboty) aktorzy brną aż do przerażającego, a chwilami świadomie komicznego, fortissimo.

To jedna konwencja, ale jest i druga, wobec tej nadrzędnej — konwencja ballady organizująca reżyserski komentarz i całość spektaklu. Pieśni Okudawy otwierające i zamykające przedstawienie, przerywające akcję przynoszą znaczenia z płaszczyzny historycznej na uniwersalną, filozoficzną. Ujmują dramat Gorkiego jako opowieść o ludzkim losie. Wprawdzie w tej konwencji gubi się drapieżny, oskarżycielski ton utworu, ale spojrzenie z dystansu jest koniecznością. Nie prostego dystansu, czyli oddinania się, lecz dystansu medra odstepującego kilka kroków, by zobaczyć więcej i głębiej. Kłody finałowy chaos, kompletna beznadziejność działań i słów osiąga apogeum, kiedy rodzi się wrażliwość, że ten świat za chwilę wybuchnie z potwornym hukiem, kiedy zagubione w ogólnej wrzawie słowa ojca o ocaleniu rodziny pachną ironią, gasną światła, brzmi ballada Okudawy, a za oszklonymi drzwiami kręca się, jak w błędnym kole biały widma, cienie postaci.

„Dopóki ziemia kręci się...”
Minione i przyszłe, ostatni i pierwsi w jednym obracającym się kręgu świata. Strugi deszczu spływają po sztach. My w środku, gdzie ciepło i przytulnie, słuchamy ballady o ludzi dalekich a bliskich, a wyczarowane przez barjara ich duchy przesuwały się za oknami.
Piękne, mądre i szlachetne przedstawienie.

EWA WESOŁOWSKA

Teatr Studyjny '83: „Ballady o Ostatnich” wg „Ostatnich” Maksyma Gorkiego. Reżyseria: Eugeniusz Korin. Scenografia: Wiesław Oiko.

„Zabijanie Ameryki?”

Wydarzeniami na małym ekranie — i to w przeciągu zaledwie tygodnia — były dwie pozycje zaprezentowane w piątkowe wieczory: dokumentalny film montażowy „Zabijanie Ameryki” oraz inauguracyjny przegląd twórczości Woody Allena film „Bierz forsę i w nogi”. Rzecz ciekawa, że te dwa filmy — tak przecież różnie i powstałe w 14-letnim odstępie czasu, znakomicie się z sobą wiążą, nawzajem uzupełniają i komentują. Dają też ciekawy materiał do rozważań nad Ameryką i jej społeczeństwem, a także — nad różnymi sposobami kształtowania obrazu rzeczywistości w środkach masowego przekazu.

Amerykańsko japoński film „Zabijanie Ameryki” zrealizowany jest w dość konwencjonalnej formule dokumentu montażowego. Jest to formuła raczej kontrowersyjna, acz nadal uprawiana. Autentycznie, dokumentalne zdjęcia montuje się w pewien określony iakąś tezę czy ideę, albo po prostu chronologiczny ciąg, opatrując je o komentarz z offu. Zdjęcia te oblańają „choć formuła ta posługuje się wszystkimi dziennymi telewizyjnymi czy kroniki filmowe wzbudza ona

w bardziej świadomych widzach opory. Owszem, zdjęcia nie kłamią są świadectwem na ogół oczywistym. Ale montaż, ich zestawienie a także towarzyszące obrazowi słowo lektora, może narzucić znaczenia, których same w sobie zdjęcia poszczególne nigdy by nie posiadały. Przykład stanowić może właśnie film „Zabijanie Ameryki”.

Nie neguję postawionej przez autorów tezy, że przestępczość w USA jest zbyt przerażającą, że stała się „zabijaniem” kraju. Obraz ten komponuje się nam dość zgodnie z przekazami dostarczonymi nam choćby przez kino — np z „Taksówkarzem” Scorsese’a z „Pieśnią kate” wg Mailera czy wreszcie z filmem Woody Allena „Rzecz jednak w tym, że „Zabijanie Ameryki” nie może wzbudzić zaufania odbiorcy. Używał dokumentalnych (rzeczywiście wstrząsających) zdjęć zbudował autorzy wywód, który po wnikliwym rozpatrzeniu wydaje się po prostu niesolidny.

Pierwszą część filmu zajmują przestępstwa władz politycznych. Ogładamy wier kolejno zamachy na braci Kennedych na Martina Luthera Kinga, na

Wallace’a i wreszcie Reagana. Jednak film przepłatając sekwencje zamachów scenami z sądów, z więzień, rozmów z zamachowcami, ukazuje konteksty, w których zbrodnie te nie są zbrodniami tylko i wyłącznie (w niektórych przypadkach zaś w ogóle) politycznymi. Zaczyna się wyłaniać obraz kraju, w którym łatwość dostępu do broni palnej stwarza potencjalnie nieprawdopodobnie wielkie zagrożenie dla każdego (zwłaszcza „na świeczniku”) ze strony każdego. Stąd logiczne przejście do drugiej części filmu — zbrodni szaleńców strzelających bez przyczyny do ludzi na ulicy. Szaleńców? Alóż nie, przelętnych Amerykanów owładniętych wielkim mitem self-made-mana, człowieka sukcesu albo przynajmniej człowieka sławno-gwiazdy choćby jednego dnia w nagłówkach wszystkich gazet. Niektórzy sławę tę mogą zdobyć jedynie dzięki przestępstwu.

W tej pierwszej swojej części film wydaje się naprawdę przekonywujący. Mit sławnego przestępcy wytworzony bodaj w latach prohibicji i krwawymy gdy królowali Dillinger i Al Capone, nadal funkcjonuje w

społeczeństwie amerykańskim. Zresztą nawet kino uromantycznilo i zmitologizowało gangstera (vide: „Bonnie and Clyde”, „Ojciec chrzestny”). Przyjrzyjmy się więc filmowi Woody Allena „Bierz forsę i w nogi”, także opartemu na tym micie. Ale jednocześnie mit ten kompromituje.

Kompromitacja ta odbywa się w sposób bodaj najbardziej katartyczny: przez śmiech. „Z czego się śmiejecie? Z siebie samych się śmiejecie”. — słynna kwestia z „Rewizora” mogłaby być mottem filmu. Virgil, bohater filmu, jest tak nieudolny, że nie może stać się przestępcą „sam z siebie”, nawet gdy uwzględni jego warunkowania (rzecz ciekawa, że Allen podaje podobną genezę przestępcy, co autorzy „Zabijania Ameryki”). Owprze- stępca pochodzi z „nizin”, ze środowiska niezasyfionego i jest sfrustrowany, bo nie ma talentów, choć ma ambicje, a wokół wszędzie można zdobyć broń. Ostrze satyry wymierzono jest nie w Virgila, lecz w społeczeństwo, które wytworzyło jego „Jaż odzwierciedloną” — mityczny wizerunek. W kapitalnej scenie wywiadu z dziewczyną, która na wieść, że znany jej Virgil jest słynnym gangsterem, wpada w euforie, Allen pokazuje, że to społeczeństwo, w którym zaistniały precedensy błyskawicznych karier „Kopciuszki”, przekształcając owe kariery w mit, stworzyło karmionego iluzjami przestępcę. Przestępcę, którego

bol się, i którego hołubi zarazem. Nie negując ekonomicznej i środowiskowej bazy kryminalnej, Woody Allen mierzy w sedno — w etos.

Film „Zabijanie Ameryki” wydaje się w swej pierwszej części zmierzać do podobnej konkluzji. Jednak od owładniętych żądzą sławy snajperów autorzy przechodzą do przerażających wydarzeń stricte kryminalnych. Na ekranie pojawia się korowód dusicieli, gwałci-cieli, sadystów, z których każdy ma na swym koncie co najmniej kilkanaście ofiar. A przecież zbrodnie tych ludzi nie są związane ani ze społecznym etosem, ani z powszechną do- stęnością broni, ani wreszcie z ich sytuacją bytową. Bodaj najbardziej przerażający morderca wielu chłopców, homo- seksualista był człowiekiem zamożnym, właścicielem warsztatu, a sadystyczny zabójca studentek należał do politycznej elity w swym stanie. Te przypadki indywidualnej psychopatologii — wypętłające olbrzymia, drugą część filmu — nie mogą służyć autorom za argumenty dowodowe o stanie patologii życia społecznego. Są po prostu „z innej beczki” i wydarzyć mogłyby się w każdym innym kraju. W dniu emisji filmu telewizja i prasa doniosły o przerażającym fakcie w Łodzi — zabiła siekiera i podwłartowania człowieka. A i nie tak dawno odbyły się ponure procesy śląskiego „wampira” czy gdańskiego „Skorpion”.

Tak ujawniła się tendencyjność autorów filmu i niezręczność ich argumentacji. Przerazony i wstrząśnięty historiami dusicieli i zbrońców, widz zupełnie zapomina o pierwszej części filmu, próbującej od- stonąć rzeczywistość genezę publicznego zła. Zmieszcza się na autorach formuła montażowe- go dokumentu z komentarzem. Obrazy zamachów politycznych i wyczynów snajperów z pierwszej części filmu z sekwencjami ponurych dokonań psychopatów łączą logicznie jedynie komentarz słowny, nadużywający metaforycznego określenia „zabijanie Ameryki” dla wydobycia, niezbyt trafnie, wspólnego mianownika dla zupełnie różnych faktów.

Pokazana w TV tydzień później komedia z roku 1968 obnażyła miłośność „dokumentalnego” wywodu z roku 1983. Woody Allen poprzez użycie w swym filmie tej samej formuły, formułę tę ośmieszył i ostrzegł nas przed jej metodami (w „Bierz forsę i w nogi” komentarz jawnie odbiegał od obrazu). A co ważniejsze, w swej „tylko” komedii i „tylko” parodii trafnie postawił diagnozę, podczas gdy „kronikarski” zapis wydarzeń wydawał się jedynie epatować przerażającymi zdjęciami i faktami.

TOMASZ KŁYS

Jesieniami czerwieniły liście — muszę tu zanotować że strasznie banalna rzecz. Bo właśnie może ona była jedną z mniej banalnych. Spod czerwonych liści, szumiących pod nogami jedną z najpiękniejszych melodii wczesnego dzieciństwa, bo wtedy szumiały identycznie i dobrze, że się to wgrzyło w pamięć, w tę niekontrolowaną, nieartykułowaną, że się scementowało w warstwie, która miała być fundamentem gigantycznej budowli całego życia, a guzik, została oszukańcza zapowiedź, spod tych liści i spod tej melodii wyrzucił niekiedy — mój Boże! — kasztan!!! Sama śliczność. Wyrzucił — i już było tak blisko, tylko chwycił, tylko chwycił tę chwiejną białą nitkę — mówiło się: babie lato, czego też się już dziś ani nie mówi, ani nie widzi — może by się ta nitka przywiązała oba brzegi, podjęło dawną sprawę, zawieszoną którejś niedobrej nocy na nieokreślony czas, i ten czas ucieka, raz wolno i smętnie, raz z tegim tu-potem, z piskiem opon na wirażach, z widokami uciekającymi i w tył, i w przód, i na dalekie, blade horyzonty.

Podnosiłem taki kasztan oglądając się czy nikt nie widzi. Pieściłem go w kieszeni palcami czując nie tylko kształt, gładkość, jędrność, ale i kolor, i tę białą plamkę na pysznej brązowej skorce i nawet pobłysk światła na stronie najbardziej wypukłej, napiętej. Z lekkim skrzyknięciem bólu w plecach schylałem się płaty i dziesiąty raz, goniąc oczami za chlo-

się ukonił. Paweł miał szczerą niemiecką dłoń, fartuch był za krótki, czyli pierwszy lepszy, taki jak dają odwiedzającym w szpitalach. Widać było, że jest formalnością, odfajkowaniem czyjegoś nakazu czy regulaminu, że nikt nie wierzy, aby czegoś naprawdę służył. Za krótki, nie dopięty, ledwie że zawieszony na młodszym asystencie, który tymczasem czekał aż rozejrzą się po pokoju i zaczną cokolwiek mówić. Oddawał mi głos, więc musiałem.

— To pan tu wyładował, no proszę! Dawno pan tu jest?

— Przeszło pół roku, wystarczy żeby się przyjrzeć.

— Cóż, naukowa praca. To chyba ciekawe?

— Jak się tak przyjrzeć... — powtórzył. — Myślałem, że będzie fajnie — instytut, nie?

— Pan jest na praktyce podyplomowej?

— Właściwie to mi mają zaliczyć na staż, ale mam też angaż, czyli już teraz wiem, że mogę tu zostać. Jako asystent Zginia.

— Jako co?

— Na razie młodszy, potem starszy, a potem stary.

— A co on robi?

— Zginio? Mierzy odporność tworzywa na zginanie. Tu się wkłada — widzi pan — wy-cinek płyty albo jakiś badany element i on go zgina w lewo, w prawo, w lewo, w prawo. I liczy. Ile tysięcy razy tak można, zanim coś zacznie pękać, łuszczyć się i tak dalej. A pan magister siedzi i patrzy — zaśmiał się siada-

— Ale pytał o mnie? — podjąłem przerwany wątek. — Mówił, że będzie w Łodzi?

— Właśnie. Jak powiedział, że musi się z panem spotkać, to zaraz zapytałem czy będzie w Łodzi. A on tak: — „Tak, tak, naturalnie”. Więc ja nie wiem, czy temu wierzyć. Jakby myślał o czymś innym i tak sobie bąknął to, co wypadło, nie? Więc ja nie wiem... Najlepiej żeby pan zaraz napisał i konkretnie, szczegółowo umówił się. Bo znów zmieni adres jak wtedy. Tak myślę, nie?

— A jeszcze lepiej nie pisać, tylko jechać i już — powiedziałem nagle i uśmiechnąłem się, że oto decyzja podjęta. Dość tej zabawy. Skoro wzmieniłem sobie, że spotkanie z Brudasem jest mi do czegoś potrzebne, to idźmy za ciosem.

— Pewnie, że najlepiej. Ale — na przykład — jechać i nie zastać?

— Tak samo jak pisać i otrzymać zwrot listu. Zresztą zobaczmy — poczułem z zaniepokojeniem, że zaczynam się wycofywać. Nie, nie wycofam się. Przeciwnie. Pojadę tam i będę czekał.

— Będę tam siedział prawie miesiąc, więc wreszcie musi chyba się pokazać.

— A, chyba że tak. Zalatwi pan kurację? Nie tak łatwo i nie tak szybko.

— Zobaczymy. A co u państwa w domu?

— Mama prowadzi swoją stołówkę jak prowadziła. Wnuka niańczy.

— O! To pan...

— Nie ja. Siostra.

— Ewunia? No proszę, taka dziewczyneczka, a tu już mężatka.

— Właśnie. Wszystko tak idzie. Wcale nie mężatka. Ale dziecko jest. Już ma prawie dwa lata. Fajne, nie? Rozmawialiśmy z mamą o panu, mógłby pan może wpaść? Z dzieckiem naturalnie urwanie głowy!

Może-mógłbym wpaść? Zaczynają się pokazywać ludzkie twarze, tymczasem jak gdyby zza szyb, wyraźniej, mają imiona. Kiedyś było ich tak dużo, całe tłumy, niekiedy pokazywały się jeszcze na chwilę, ale nawet przez tę chwilę wiadomo, że to cienie, kilka cieni dookoła, jak na biurowym korytarzu. Jak pytać, żeby było nowoczesnie i delikatnie, o to pytać i po co, skoro wyjdę stąd z jednym tylko Rudasiem w pamięci? Jeszcze raz o mamę, czy wciąż ma zgrabne łydki, czy mówi tylko o Wacku, a koniak wyjmuję z szafki za późno, po tej pierwszej obowiązującej odzywie: „muszę już iść”, kiedy właśnie wcale się nie chce nigdzie odchodzić?

— A prawda, pamiętam, że wybierała się do jakiejś szkoły hotelowej. I co — nie zmieniła zamiarów?

— Nie zmieniła. Jest na Wybrzeżu, pracuje w hotelu no i mieszka też prawie w hotelu, z takimi dwiema siksami. Stereotyp. Mówię panu, bo byłem tam i widziałem wszystko tak, jak wiedziałem. Stereotyp i statystyka. To bardzo uspokaja i wyłącza różne tam psychodramy, no nie? Trochę zimno.

— Zimno? Tu jest raczej dusznowo.

— Oczywiście. Duszno i zimno — zaśmiał się Paweł z odrobiną złośliwości. — Ja wiem, że plotę, to mi się zdarza. W naszym bloku mieszka już jeszcze dwie samotne matki. Od jednej już syn się wyprowadził, bo dorosły, więc ona dopiero teraz jest samotna, a ja myślę, że nawet dopiero teraz stała się odpowiadająca, przynajmniej za siebie samą. Już żadne matki, żadne ciotki i żadne alimenty. Wesoło, nie? Druga ma oczywiście matkę, a dziecko tak kocha, tak kocha, jak w bajkach o Aniele Stróżu i o matczynym sercu. Serca ma mnóstwo, czasu mniej, Ewka też nie ma czasu. Statystyka. No tak, bo jeśli dwie takie w bloku są, to trzecia musiała się znaleźć pod wskaznik. Co można poradzić?

— To mały już ma dwa lata? — Nie bardzo wiedziałem co mówić.

— No. Będzie koło trzech, jak przywiozła narzeczonego. Dysiek — mówiła do niego, więc niech pan zgadnie jak miał na imię, bo ja nie wiem. Więc jakiś czas później kiedy przyjechała taka gruba, a wcale o tym nie pisała, nie uprzedziła, skąd! Taka gruba i z piącem, ale też od razu ze złością, tak jakby się złościła, że musi płakać czy na odwrót. Więc wtedy zaczęliśmy rozpytywać o Dyśka, a Ewa jak nożem uciął: — Dysiek tu nie ma nic do gadania, z nim dawno skończyłem, nie szukajcie go aby na Boga bo ja przecież najlepiej wiem, że to nie on. A kto? To moja rzecz. Nikt. Najlepiej wystawcie sobie, że nikt, ot — nie było dziecka, będzie dziecko. I plaćcie mi to z żalu, ni to ze złości. Ja to bym ani pomyślał, aby o coś pytać. Co to mnie? Matka musiała. No pewnie, że musiała. Ona wiedziała, że wszystko spadnie na nią, i tak też jest. Teraz pan wie.

— Już wtedy myślałem, czy aby na pewno warto kończyć studia.

— Nie to, co miało być?

— Och, wie pan. Mnie by chyba każdy przedmiot wlewnął, to przyjemnie czuć się coraz swobodniej pomiędzy sprawami, co były jak ostre kanty w ciemnym pokoju. Człowiek wchodzi i coraz szerzej otwiera oczy, nie? Przyjemnie. Ale ja mówię nie o studiach, tylko o ich końcu. Widocznie przeczuwałem, że przejście z uczelni na etat, to gorzej niż przejście na świat. Może to jest nawet odcienie z jakiegoś świata, o! wie pan: już wiem! To opuszcza się swój prawdziwy świat na rzecz wielkiej, poprzeraśanej budły umowy.

— Jak pan powiedział? Pan to zdaje się świetnie powiedział. Jak, jak?

Paweł machnął ręką i nie awansował mi mimowolnej uwagi, rzuconej w trakcie takiej sobie zdawkowej rozmowy, do roli złotej myśli. Właściwie to nawet nie wiem, skąd się biorą złote myśli w swoich przyciężkach, na wyrost krojonych szkatułach. Facet siadał, ostrzył gęsie pióro, wkładał je między szczerbate zęby i postanawiał: teraz napiszę parę złotych myśli? Odrzucił więc tę sprawę — postanowiłem sobie jako zadanie na kwadrans przed zaśnięciem. A tymczasem wypadło odpowiedzieć na pytanie tego sympatycznego młodego człowieka.

— Na przykład pan: wciąż w tym samym biurze? — zapytał.

— Nawet przy tym samym biurku. Ale pokój inny — zaśmiałem się z nagłym politowaniem nad samym sobą.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Przed spotkaniem

paczkami w krótkich spodkach mimo październikowego chłodu, w czapce z daszkiem, którą musiał w biegu przytrzymać ręką, za dwoma takimi chłopcami nawołującymi się co chwilę: — o mami! O jeszcze jeden!

Mówiliśmy o tym z Brudasem, to znaczy nie wiem, czy z nim; wiem, że ja mówiłem i on mówił, że temat był chyba ten sam. Bo przecież jednak spotkałem Brudasia, byłem u niego, wszystko opowiedziałem. Jeszcze tylko chcę wspomnieć o tamtych paru latach, jesieniach i zimąch. Wiosny też były, podobne do pozostałych pół roku, bo przecież tak samo wstawalo się o szóstej, jeśli nie było wyjazdu, a jak w delegację to różnie, o czwartej, piątej, albo w pełni nocy. Z teczką ciężką już bez zawartości, bo skórzana, obciążona plikiem zesmaconych papierzyk — tylko te które sam wpinałem w segregatory były — zawsze gładkie, czyste i równo zszyte. Głupia urzędnicza pedanteria. Jak się jest urzędnikiem to powinno się mieć urzędnicze cechy, zwłaszcza dodatnia. Przy dziesiątkach biurów siedzieli faceli, którzy nie mieli żadnych cech urzędniczych, a urzędniczych też nie; nie znizali się po prostu do żadnych czynności porządkowych i nie zależało im na elementarnej estetyce dokoła siebie. Smutne jest przebywanie pośród takich ludzi.

Wiosna przechodziła w lato. Już stały na rogach wózki z wodą sodową, z sokiem lub bez, sprzedawca w białym fartuchu siedzi na wysokim stołku i wydaje reszty mokrymi monetami. W biurze otwieramy okna, kiedy przejeżdża tramwaj trzeba przerwać rozmowę telefoniczną i odczekać. Pomiędzy jedną międzymiastową a drugą zdążył wskoczyć telefon od Pawła.

— Pamięta mnie pan? Paweł Celiński. Dzień dobry.

— Oo, to — pan. Pamiętam, już wiem. Tak, no właśnie: ten cały pan Rudaś wcale się nie odezwał, a adres był nieaktualny. Nie udało się Slucham? Co pan mówi?

Mówił, że właśnie wczoraj spotkał go u siebie w instytucie — bo ja teraz siedzę w CIUTSZU — powiedział z niejaką dumą, tak mi się zdawało, taki sobie dopisałem podtekst, nie wiedziałem co to za słowo — co, co? Gdzie pan siedzi?

— W Centralnym Instytucie Utwardzania Tworzyw Sztucznych, na stażu. Pan Rudaś był tu służbowo, bardzo się śpieszył, mówił że bardzo by chciał z panem się spotkać i dał mi adres, i że będzie niedługo w Łodzi.

— Będzie w Łodzi? A zna swój telefon?

— Nawet próbowałem, ale te biura gadają a gadają, wciąż było zajęte. Na niego czekał samochód i musiał lecieć, zostawił adres. Podać panu?

— Slucham, już notuję.

Zanotowałem: Świerczyn Zdrój. Poprzedni adres też był ze Zdroju ale innego.

— A co u pana słychać? — pytałem jeszcze. — Mama zdrowa? A telefonu nie podała?

— Mama w porządku. Telefony nie podała, on nie wierzy w telefony. Ja też nie. Właściwie to chciałbym z panem porozmawiać, a tak to się nie da.

— To umówmy się na kawę!

— Jakby pan mógł, to wolalibyśmy nie w żadnej kawiarni, w kawiarni się nie rozmawia, bo ja wiem... Najlepiej żeby pan mógł wpaść tutaj...

— Do pańskiego Instytutu?

— No. Tu jest spokojnie i cicho, wie pan (podał nazwę i numer ulicy). Północne skrzydło, w oficynie. Bo tu jest parę zakładów. Jestem na stażu...

jąc za biurkiem. Było szerokie, z zapadnięą na kartotekę, z obudowanym telefonem i całą klawiaturą różnokolorowych przycisków. Fotel Pawła obracał się i wychylał, można było nie wstając sięgnąć za siebie do szafy, można było w ogóle nie wstawać, huścić się, obracać, gadać każdej chwili z szefem, z centralką i nie wiem z kim jeszcze.

— Nowocześnie! Wszystkie wygody! — powiedziałem tak, jakby to wszystko było jego dziełem. Dodałem też trochę zazdrości, raz że by mu sprawić przyjemność, a po drugie to dlatego, że porównałem ten jego pokój z naszym biurom zawsze brudnym, z moim krzesłem tym samym od dwudziestu lat, z nadużywanym i poplamionym biurkiem i z segregatorami pamiętającymi Drugą Rzeczpospolitą. Zazdrość więc nie była wyłącznie konwencjonalna.

— Nowocześnie tu jest — powiedział bez entuzjazmu. — Siedzimy tu sobie przepisowych sześć godzin...

— Sześć?

— W regulaminie, stoi osiem, ale mało kto wytrzyma. Pan by wytrzymał? On to się chociaż kiwa i przytaka, a ja? Niechby wreszcie to draństwo się zarysowało, niechby z tego tworzywa sos zaczął lecieć, albo co, żeby coś... no, żeby trzeba było coś zrobić. Bo tu tygodniami nic nie trzeba. Nie potrzeba człowieka.

— To znaczy, że pan nie bardzo zadowolony z pracy?

— Z jakiej pracy? — nie pozwolił sobie przerwać młodszy asystent. — To Zginio pracuje, a ja mu patrzę w cyferblat i raz na dzień notuję. Ile było do wczoraj zgjęt i że zmian się nie obserwuje. Tylko tyle, ale w siedemdziesięciu rubrykach. Tego nikt nigdy nie będzie czytał. Wiem, bo przecież orientuję się, że nie trzeba tego czytać, że nic z tego nie wynika. Cały dzień czekam na ten szczęśliwy moment, żeby musieć coś zrobić, musieć wziąć do ręki długopis, ułożyć przed sobą formularz, to się da rozłożyć na sto czynności pomniejszych, jeszcze strzeżnąć pyłek, jeszcze wy-równać. Cholernie celebrowana rzecz do wy-rzucenia od zaraz. Psu na budę. Program. Dostałem temat kiedy program był już wlewnięty. Pan rozumie: plan, program, temat. Hierarchia i celebra. Aha, jeszcze harmonogram. Trzy lata. Ledwie zaczęłam coś notować, już kierownik niespokojny, nieswój jakiś, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie przy dorastających paniach. Aż powiedział: szanuj pan pracę, panie Pawełku. Za pośpiechem u nas premii nie dają, niech się śpieszy kto łapie pobły. Świętyni kawał. Najważniejszy kawał w instytucie. Niedługo już w ogóle zapomnę, co to był za temat...

— A czego tu szukał pan Rudaś? — uznałem za stosowne wreszcie poruszyć sprawę, która mnie głównie przywiodła do instytutu.

— On tu szukał centrali zaopatrzona, tej co jest po drugiej stronie podwórza. Strasznie się śpieszył, mówiłem już panu. Wcale się nie zmienił, tylko że ja się zmieniłem.

— Wtedy był pan chłopcem, a dziś...

— Może to mi zostało, może śmiech, ale wie pan: wciąż wolę czytać o wojnie niż różne tam kryminały, komiks, romans. To mi zostało, a przecież pan Rudaś to był prawdziwy partyzant, uciekał, walczył. Patrzyłem na niego z dołu, takim brodem podnosił!

— Nie można powiedzieć, żeby pan był niskiego wzrostu!

— Ale tak mówię. Jakbym na piramidę patrzył, słowo daję. Wtedy, za pierwszym razem. A teraz zobaczyłem w nim coś takiego, że jakby zmalał. Bardzo krótko rozmawialiśmy, ale i tak był...

— Rostargniony?

— Może też. Ale w ogóle był zwyczajnym urzędnikiem. Już naprawdę można szalu dostać. Same urzędniki, same takie... Szalu dostać...

Pomilczeliśmy chwilę, żeby opadły niepotrzebne emocje. W Łazienkach kiedyś wiatr podnosił mi z tego ni z owego kilkadziesiąt liści — dlaczego akurat te a nie inne? — i one po chwili opadały po malutku w zupełnie regularne półkole. To było zdumiewające. Skąd nagle nakaz ułożenia się w półkole?

W KLUBIE „Pod witrażem” Stowarzyszenia Twórców Kultury odbyła się kolejna impreza filmowa: twórczość Andrzeja Mellina prezentowała Maria Koronówka.

Odbyło się również, анонсowane już w tej rubryce, spotkanie z redakcją miesięcznika „Dialog”. Udział wzięli: Konstanty Fuzyra, Elżbieta Wysocka i Jerzy Koenig. Za miesiąc, 14 marca spotkanie z redakcją „Wiezi”.

W najbliższy piątek natomiast (21.II) o godzinie 19.00 w sali klubowej STK odbędzie się impreza pod nazwą „New York — street art” (Nowy Jork — sztuka ulic). Przeprowadzą — Tomasz Sikorski, współpraca przy realizacji dźwięku — Tadeusz Sudnik.

WYSTAWĘ instalacji Andrzeja Paruzela zorganizowało łódzkie Biuro Wystaw Artystycznych w Ośrodku Propagandy Sztuki w Łodzi, park im. H. Sienkiewicza.

WIDZEWSKI Dom Kultury i Klub Miłośników Kultury Dalekiego Wschodu zaaplikowały jordanianom sporą dawkę „chińskiego” kulturalnej. Swój festiwal rozpoczął się otwarciem wystawy malarza Ci-Pai-szy w galerii „Miraż”. Wśród prac m.in. malowidła na jedwabiu. O języku i mitologii Państwa Środka wygłosił odczyt prof. M. Kirsten.

Kilkoro studentów chińskich, uczących się w Łodzi, demonstrowało popularne w Chinach ćwiczenia ciała zwane Tai-Ji-Quan. W widzejskim kinie „Pekój” odbyły się seanse, na których pokazywano filmowe rejestracje spektakli teatru chińskiego.

Nie zabrakło pokazu (i degustacji) kuchni chińskiej...

WARSZAWSKI Teatr Rozmałości ucecił setną rocznicę urodzin Jerzego Szaniawskiego wystawiając jego zapomnianą komedię „Ewa”, nie zrealizowaną na naszych scenach od 1938 r. (Notabene ta ostatnia realizacja miała miejsce w Reducie Juliusza Osterwy).

Nowa „Ewa” reżyserował nowy dyrektor teatru Ignacy Gogolewski, scenografia jest dziełem Jerzego Gorazdowskiego, a występują m.in. Irena Laskowska, Hanna Mikuć, Monika Orłoś, Ignacy Gogolewski, Tadeusz Grabowski, Jerzy Januszewicz, Zygmunt Malanowicz, Sylwester Pawłowski i Edward Wichura.

Wspólnie z Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza teatr zorganizował z okazji premiery skromną wystawę poświęconą twórczości Jerzego Szaniawskiego.

W REDAKCJI „Szpilek” wręczono tegoroczną nagrodę tego tygodnika. Jury, pod kierownictwem Bryka Lipińskiego, przyznało w dziale karykatury społeczno-politycznej „Ziata Szpilek” Ireneuszowi Parzyszkowi, „Srebrną” otrzymał Edward Lutczyn, a „Brazową” Józef Jurczyszyn.

W dziale rysunku humorystycznego „Ziata Szpilek” otrzymał Zbigniew Ziomecki, „Srebrną” Szczepan Sadurski, „Brazową” Jerzy Flisak.

TEATR im. Stefana Jaracza w Łodzi wystąpi w stolicy, w ramach Teatru Rzeczypospolitej, w dniach 28 marca i 1 lutego br., Łódzki teatr zaprezentuje warszawskiej publiczności „Adrienne Lecouvreur” w reżyserii Bogdana Hussakowskiego ze scenografią Jacka Ukłel, a także „Dziennik uwodźcizna” — adaptację tekstu Soerena Kierkegarda. Przekład — Jarosław Iwaszkiewicz, adaptacja i reżyseria — Maciej Prus i scenografia — Ewa Żylińska.

W obydwu spektaklach wystąpi popularni aktorzy łódzcy, m.in. Bożena Rogalska, Ewa Mirowska, Ewa Isajewicz-Telega, Bogusław Sochnacki, Bogumil Antezak, Mariusz Wojciechowski, Dariusz Siatkowski.

ROZBUDOWA i budowa obiektów kultury w Krakowie była przedmiotem wizyty w tym mieście wicepremiera Zbigniewa Gertycha. Efektem tej wizyty (a raczej wizytacji) było przyspieszenie decyzji dotyczących rozbudowy Muzeum Narodowego i Biblioteki Jagiellońskiej. Zaakceptowano też budowę teatru muzycznego. Omawiano szereg innych spraw, m.in. zakończenie budowy Domu Prasy i generalny remont Teatru im. Juliusza Słowackiego. Bardzo nas interesuje, czy w planie tego typu wizyt wicepremiera figuruje także pozycja „Łódź”...

DWIE ostatnio wydane płyty zasługują niewątpliwie na uwagę melomanów: Polska Orkiestra Kameralna i jej szef, Jerzy Maksymiuk wystąpił na płycie wytwórni „Savitor”. Nagrali... swoje najcześnie bisy, czyli to, co publiczność najbardziej lubi. Na płycie znajdziemy suitę h-moll Bacha, Concerto grosso d-moll Haendla, Koncert wiolonczelowy A-dur Karola Filipa Emanuela Bacha i in.

Wytwórcia „Melodia” wypuściła na rynek (polski również) VI Symfonię Dymitra Szostakowicza. Nie jest tak znana, jak Pierwsza, Piąta czy Siódma, „Leninogradska”.

Nagrania dokonała Orkiestra Ministerstwa Kultury ZSRR pod batutą Gennadija Rożdżewskiego.

(fragment powieści „Trzyście spotkań”, złożonej w Wydawnictwie Łódzkim).

Polemiki • Listy • Opinie

CO DALEJ Z REFORMĄ W SZKOLE?

Zespoły nauczycielskie szkół średnich wszystkich typów od kilku tygodni zbierają materiały i przygotowują się do dyskusji, bądź już dyskutują na temat planowanego wprowadzenia reformy programowej od nowego roku szkolnego. Dyskusja winna przynieść obiektywne wyważenie wszystkich „za” i „przeciw” reformie, aby przypadkiem nie wylać dziecka z kąpielą.

Zdecydowałem się zabrać głos na łamach prasy pod wpływem lektury obszernego i bogato udokumentowanego faktami artykułu, jaki ukazał się w „Życiu Literackim” nr 1 i 2 z 1986 roku, pod prowokującym do dyskusji tytułem „Czy wstrzymać reformę w szkole średniej?”

Uważam, że tak — należy wstrzymać i to z zasadniczego powodu, że nie zostały osiągnięte warunki umożliwiające skuteczne jej wprowadzenie. Nie stać nas na ciągłe kultywowanie średniactwa i bylekości, a taka sytuacja niewątpliwie się zrodzi, gdy przyjdzie wprowadzać reformę w atmosferze tymczasowości; roboczych poprawek, uzupełnień organizacyjnych, a także w potoku lnych poprawek, które przyniesie codzienność szkolna.

Otóż reforma oświaty miała swój początek 1 stycznia 1973 r. kiedy to nie licząc się zupełnie z realiami polskiej oświaty, powołano do życia pierwszą setkę zbiorczych szkół gminnych i w ten sposób rozpoczęto niejako pierwszy etap reformy strukturalnej. Urzędowy optymizm był tak gromki, że zagłuszał wszelkie głosy rozsądku i niepokoju, jakże dochodziły z terenu, że miast tworzyć nowe i lepsze, po prostu rujnujemy, że brak specjalistów do nauczania wielu przedmiotów, że brak mieszkań dla nauczycieli pracujących na wsiach, środków transportu na dowóz dzieci, dobrej nawierzchni dróg etc. Sądzę, że gdyby decydenci oświatowi tamtych czasów zdecydowali się na wnikliwe zapoznanie się z „Raportem o stanie oświaty”, przedstawionym przez Komitet Ekspertów, uniknęlibyśmy sytuacji z 26 stycznia 1982 r., kiedy to Sejm, nie widząc możliwości wprowadzenia dziesięciolatki, musiał uchylić swą wcześniejszą decyzję. Reformę programową pozostawiono, ale w moim odczuciu, przez cztery lata nie uczyniono prawie nic, aby stworzyć odpowiednie warunki do jej „bezbolesnego” wprowadzenia w szkołach średnich.

Oczywistym jest stwierdzenie, że szkoły średnie funkcjonują na podbudowie szkół podstawowych, a poziom nauczania i wyniki w nauce zależą między innymi od kwalifikacji i pedagogicznego przygotowania nauczycieli. Ogólnie mówiąc, sytuacja kadrowa w oświacie, nie skłania do radosnych refleksji.

Musimy być realistami i obiektywnie stwierdzić, że nie ma aktualnie żadnych przesłanek, aby liczyć na rychłą poprawę kwalifikacji i poziomu wykształcenia nauczycieli, gdyż praktycznie nie istnieje u nas system ich kształcenia. Mimo pewnych starań resortu i ogniw związkowych, nie ma odpowiednich bodźców materialnego zainteresowania, aby liczyć na pozyskanie nauczycieli, którzy odeszli do pracy w innych zawodach.

Zapowiada się reforma programowa bez programów. Brak programów do nauki języków obcych (angielskiego, niemieckiego, francuskiego i łacińskiego), a także nauki o społeczeństwie i muzyki. Programy do nauczania historii, biologii, chemii i fizyki mają być opublikowane w „najbliższym czasie”. W najlepszej sytuacji wydają się być nauczyciele języka polskiego, geografii i matematyki, gdyż programy nauczania tych przedmiotów zostały opublikowane w stosownych czasopiśmie i nauczyciele języka rosyjskiego i fizyki, którzy mają nadal uczyć według programu dotąd obowiązującego. Gdzie wobec tego czas na merytoryczne konsultacje, czy treści programowe są na miarę uczniowskich możliwości? A jest o co się niepokoić, gdyż z połączonych przeglądów tych programów, które są już dostępne, wynika, że są one mozo przetelektualizowane, nie uwzględniają treści dla młodzieży o średnich zdolnościach i możliwościach. Odpowiedź więc wymaga pytanie, kogo naprawdę pragniemy wykształcić? Czy tylko i wyłącznie przyszłych studentów?

Bądźmy przez chwilę optymistami i założmy, że programy dotrą na czas do szkół i zdązą się z nimi zapoznać zainteresowani nauczyciele, a tu wyłania się następny problem, zaopatrzenie młodzieży w podręczniki.

Nie wspominałem dotąd ani słowem o pieniądzach. Świadomi jednak jesteśmy, że tej reformy bez poniesienia określonych (czyt. wysokich) kosztów wprowadzić się nie da. Należałoby więc skierować zasadnicze pytanie do pani minister, jakimi środkami dysponuje na prawidłowe wprowadzenie reformy programowej, bo siły Narodowego Czynu Pomocy Szkole, czy działania nakazowo-zakazowe, mogą okazać się w praktyce kroplą w morzu potrzeb. Ponadto należy rozważyć, czy w sytuacji, gdy brak programów i podręczników, stać nas na rozrzutność i tak bardzo skąpych środków budżetowych na oświacie.

O swoje upomina się również młodzież, a więc ci, którzy są zainteresowani reformą i winni być w centrum uwagi tych, którzy za powodzenie reformy są odpowiedzialni. W czym rzecz?

Otóż nowa siatka godzin przewiduje, że uczeń będzie miał w tygodniu 35 godzin lekcyjnych, co daje w każdym z pięciu dni nauki — 7 lekcji. Jeżeli dodamy do tego 3,5—4 godziny dziennie przeznaczone na odrabianie prac domowych, to w ogólnym bilansie okaże się, że uczeń w tygodniu pracuje około 55 godzin, co w przeliczeniu na 1 dzień (z wyjątkiem „wolnych” sobót) da liczbę 11 godzin!!! Nieśmiało wspomnę w tym miejscu, że czas pracy ludzi dorosłych w gospodarce społecznej wynosi „aż” 42 godziny. A przecież nie samą nauką młodzież żyje.

Jak w tych warunkach znaleźć czas i chęć na pracę w organizacjach młodzieżowych i kołach zainteresowań? Gdzie czas na sport, relaks w towarzystwie dziewczyny czy chłopaka, kino, teatr, koncert itd.... Przypatrzmy się uważnie rosnącemu zastępowi „okularników”, spojrzmy na ich wybladłe twarze i smutne oczy. Popytajmy lekarzy, w jakim tempie wzrastają u młodzieży nerwice spowodowane nawalem obowiązków czy niepowodzeniami szkolnymi.

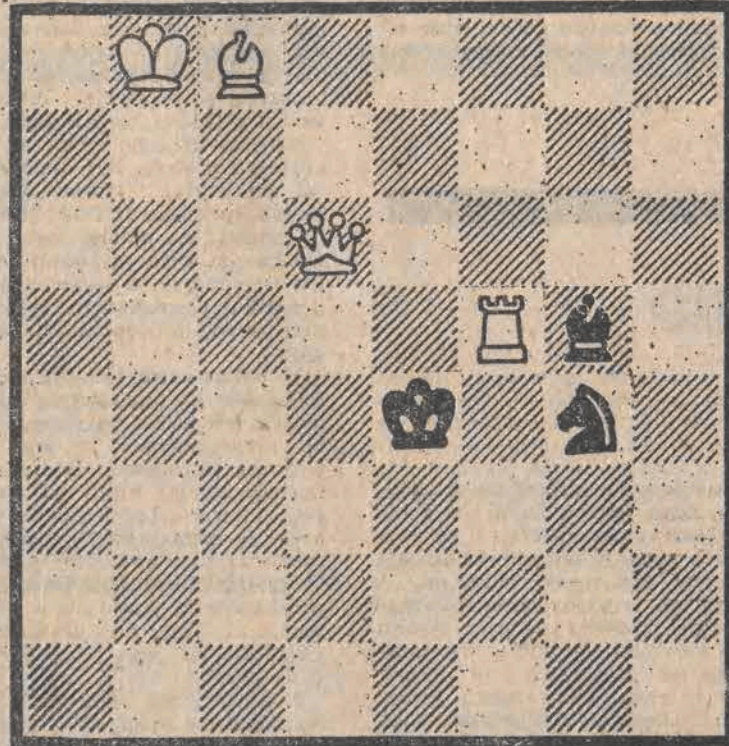
Co dalej z reformą programową, która „dotarła” przecież już do klasy ósmej? Uważam, że do czasu rzetelnego załatwienia wszystkich spraw organizacyjnych, należy ją wstrzymać i to bez obaw, że młodzież tylko na tym straci. Moim zdaniem zyska, gdyż powtórzenie pewnych partii materiału, pozwoli jednocześnie na jego gruntowne utrwalenie, a także na wyrobienie sobie poglądu, jak dalece ten nowy program w szkołach podstawowych został przez uczniów zrozumiany i przyswojony. Pozwoli uczynić naukę ciekawszą i przyjemniejszą. Pozwoli uniknąć bałaganu organizacyjnego i atmosfery tymczasowości.

Powinniśmy się zająć w szkołach średnich doskonaleniem zajęć fakultatywnych i procesów dydaktycznych, aby stworzyć warunki zapobiegające „gubieniu” po drodze młodzieży wybitnie zdolnej i utalentowanej. Należy dążyć do stworzenia tym uczniom optymalnych możliwości kształcenia, rozwijania swoich umiejętności i zainteresowań. Problem bazy i pomocy naukowych dyskretnie przemilczę, gdyż nie mam w tych kwestiach jakiejś sensownej koncepcji ich rozwiązania.

STANISŁAW SOWIŃSKI

KORESPONDENCYJNIE W SZACHY

Rozpoczynają się III masowe mistrzostwa Polski w rozwiązywaniu zadań szachowych, organizowane przez miesięcznik „Szachy” i Komisję Kompozycji PZSzach. Są one, podobnie, jak poprzednio, imprezą czterodniową. I etap polega na rozwiązywaniu podanej poniżej dwuchodówki.



Mat w dwóch posunięciach.

Zadania II etapu zamieszczone będą w kwietniowym numerze „Szachów”, który ukaże się na przełomie kwietnia i maja. Kto nie będzie miał dostępu do tego numeru, może otrzymać zadania II etapu po wysłaniu w okresie 15—31 maja 1986 r. (prosimy o niewysyłanie wcześniej!) pod podany niżej adres zaadresowanej do siebie koperty z naklejonym znaczkiem — jednak, dopiero po wyczerpaniu wszystkich możliwości zdobycia nr 4 „Szachów”. Informujemy, że nie ma limitów na prenumeratę „Szachów” i każdy może — w taki sam sposób, jak inne pisma — zaprenumerować ten miesięcznik w urzędzie pocztowym właściwym dla miejsca zamieszkania, używając blankietu wpłaty na rachunek miejscowego oddziału RSW „Prasa—Książka—Ruch”, a w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW — w urzędach pocztowych lub u doręczycieli (termin prenumeraty na II kwartał mija 28 lutego, cena 150 zł). Miesięcznik publikuje m. in. informacje o wydawanych od półtora roku Biuletynach, w których zamieszczane są najnowsze partie rozegrane w turniejach krajowych i zagranicznych oraz inne materiały szkoleniowe, zaś w bieżącym roku redakcja zamierza rozpocząć także wydawanie podręczników szachowych.

Zadania III etapu zostaną wysłane bezpośrednio do tych, którzy zakwalifikują się do niego. Finał planowany jest na początku następnego roku. Zawodnicy, którzy zajmą czołowe lokaty w finale, oprócz wartościowych nagród otrzymają prawo startu w międzynarodowych zawodach w rozwiązywaniu zadań szachowych.

W rozwiązywaniu dwuchodówki I etapu wystarczy podać pierwsze posunięcie białych i nazwę naszego pisma (dzieci proszone są także o podanie wieku). Prawidłowe rozwiązanie tego etapu wezmą udział w losowaniu książek szachowych. Rozwiązania wyłącznie na kartkach pocztowych prosimy nadsyłać w ciągu miesiąca od ukazania się niniejszego komunikatu pod adresem:

MISTRZOSTWA POLSKI — I ETAP, PRZEGRODKA POCZTOWA NR 8, 00-850 WARSZAWA.

Do udziału w mistrzostwach zachęcamy nie tylko tych, którzy mają ambicje sportowe i chcieliby sięgnąć po laury zwycięzców. Każdy Czytelnik, rozwiązawszy jakieś zadanie, robi — choćby niewielki — krok na drodze do poznania szachów! Zaś im więcej będzie startujących, tym lepsza może stać się pozycja szachów w naszym kraju. Uczestnictwo w mistrzostwach każdego, kto umie grać w szachy, to jego wygrana i zarazem wygrana szachów!

STRASZNY WYCZYN (AUTORA REPORTAŻU) NA TLE „STRASZNEGO DWORU”

Jestem zbudowany faktem, że Tadeusz Chrościelewski, wśród mnogosci swoich prac i obowiązków, znalazł czas i ochotę na to, aby podzielić się z Czytelnikami „Odgłosy” swymi uwagami na temat tego tekstu o Kalinowej („Odgłosy” nr 4 z br.).

Jakie to są uwagi? Mówię delikatnie — uszczypnięte (co autor reportaży jako inteligent parafrazując się dziennikarstwem i literaturą wiedzieć powinien), ale, mój Boże, każdy z nas, nawet praktykujący katolik, ma w sobie coś ze szczypawki. Zaś w kwestii merytorycznej? Uwagi operujące się na niepojętym dla mnie (jako inteligenta) nieporozumieniu. Tekst mój nosi tytuł „Czy dwór w Kalinowej był prototypem „Strasznego dworu”? Jest ten znak zapytania? Jest. W swym raporcie mówię wyraźnie o tym, że idzie tu o legendę związaną z kalinowskim dworem (legendę Moniuszkowską) i że (cytuje), „nie ma, niestety, żadnych pisanych dowodów, które by potwierdzały ten fakt, ale tak utrzymują do dzisiaj starzy miejscowi mieszkańcy”. Dotychczas sądzim, że podanie, legenda, anegdota rządzi się swoimi prawami i nie wypada ich kwestionować. Teraz widzę, że muszą zweryfikować swój sąd. Co nie oznacza, że będę zweryfikował legendy, na których Tadeusz Chrościelewski opiera znaczną część swej twórczości.

Jak to się stało, że autor korespondencji potraktował rzecz tak bardzo poważnie i tak obszernie pisze o genezie „Strasznego dworu”? Dalibóg, nie wiem. Chyba, że chciał wszem wobec udowodnić swoją erudycję. Trudzi się niepotrzebnie, wszyscy go z erudycji znają. A także z mentorskiego tonu, którym zwykły pouczać innych. Z czego mianowicie składa się opera, że z muzyki i libretta (czego ja jako inteligent nie rozróżniam), że kompozytor, przygotowując się do napisania opery, bądź zamawia

tekst u zaprzyjaźnionego poety, bądź korzysta z libretta gotowego, napisanego poprzednio. Bardzo odkrywcze stwierdzenia. Czy jednak to, że Moniuszko przebywając w Kalinowej (nocując tam, jak dowcipnie pisze Tadeusz Chrościelewski) i słuchając opowieści o tamtejszym „strasznym dworze” mógł sobie pewne wątki pokochać, że mogło to mieć wpływ na wybór tematu, charakter i aurę jego kompozycji — nie wchodzi w ogóle w rachubę? Chyba że miałem na myśli, pisząc o mieszkańcach Kalinowej, iż „są oni bardzo dumni z tego, że legenda związana z Kalinową zainspirowała Moniuszkę do skomponowania opery” (podkreśl. T.G.). A więc napisania muzyki, nie libretta. Jest takie łacińskie określenie: relata refero. Ja tej „legendy Moniuszkowskiej” nie wymyśliłem, opowiedział mi ją sieradzanie, nie zamierzałem jej badać ani korygować, ona mi się po prostu spodobała i dlatego o niej napisałem. Nie rozumiem, dlaczego to wzburzyło mego adwersarza, i to do tego stopnia, że z poety stał się satyrykiem. Może więc będę miał jakąś zasługę dla literatury.

Pisze Tadeusz Chrościelewski, że autor reportaży i jego rozmówcy „nolens volens kierują uwagę i patriotyzm regionalny na jeden z tysięcy dworów dewastowanych przez bezmyślność i troglodytizm ludzi wpływu zaraz po wyzwoleniu i niejednokrotnie (mówiąc enigmatycznie) jeszcze do wczoraj”. Hm, nolens volens. A mnie się zdawało, że robię to chęć to zrobić, że posłużyłem się anegdotą dla tego właśnie celu i dla zapoznania Czytelników także z innymi obiektami zabytkowymi Kalinowej, z zajmującymi się nimi ludźmi, z dziejami tej miejscowości oraz (znowu!) z legendami i podaniami. Wystarczy zwrócić uwagę na proporcję w tekście między „legendą Moniuszkowską” a tymi właśnie sprawami.

A tak na marginesie: bardzo podoba mi się w „Odgłosach” kolumna „Polemiki — Listy — Opinie”, nawiązująca do dobrych tradycji pism literackich, choć „Odgłosy” są tygodnikiem społeczno-kulturalnym i stąd m. in. moje wyrazy poważania.

TADEUSZ GUGIER

STUDENCI WOBEC OPOZYCJI

Dyrektor Centrum Badania Opinii Społecznej, plk doc. dr hab. Stanisław Kwiatkowski, opublikował w „Polityce” (nr 5 z 1986 r.) bardzo ciekawe dane obrazujące wpływ opozycji politycznej w naszym społeczeństwie. Wynika z nich, że 46 proc. respondentów odrzuca opozycję, jedna piąta przyznaje jej nieco sympatii (zdecydowanie tylko 6 proc.), a jedna trzecia nie ma wyrobionego zdania. Są to rezultaty reprezentatywnego sondażu przeprowadzonego w grudniu 1985 roku.

Redakcja nasza dysponuje natomiast wynikami badań, które przeprowadzono w styczniu 1986 roku wśród 300 studentów kierunków humanistycznych i ścisłych Uniwersytetu Łódzkiego. W ankiecie znalazło się m. in. następujące pytanie: „Czy masz zaufanie do działającej nielegalnie opozycji politycznej związanej z KSS «KOR» i TKK NSZZ «Solidarność»?” Uzyskane rozkłady odpowiedzi z podziałem na mężczyzn i kobiety zawiera zamieszczona niżej tabelka (dane w procentach).

Kategoria odpowiedzi	Ogółem	Mężczyźni	Kobiety
a) zdecydowanie tak	4	4	4
b) raczej tak	14	21	11
c) raczej nie	29	33	28
d) zdecydowanie nie	26	26	26
e) nie wiem	27	16	31
Razem	100	100	100

Trudno jest porównywać wyniki zebrane różnymi metodami i przy pomocy odmiennych narzędzi badawczych. Niemniej jednak można stwierdzić, że wpływ opozycji wśród studentów UE kształtują się podobnie jak w ogólnopolskiej próbie ludności dorosłej. Ma zaufanie do opozycji związanej z KSS „KOR” i TKK NSZZ „Solidarność” 18 proc. respondentów (co czwarty mężczyzna i co 6—7 kobieta). Nie ma zaś zaufania do tej grupy 55 proc. badanych. Przy czym, co czwarta osoba — tyle samo w zbiorze mężczyzn, co kobiet — deklaruje zdecydowany brak zaufania.

Następne pytanie ankietowe dotyczyło kwestii zaufania do Lecha Wałęsy. W tym przypadku dezaprobatę wyraziło 49 proc. kobiet oraz 32 proc. mężczyzn, zaś odpowiedzi twierdzące udzieliło 23 proc. studentek oraz 47 proc. studentów. Pozostali respondenci nie zajęli wyraźnego stanowiska.

Pytano również studentów Uniwersytetu o to, jak oceniają politykę prowadzoną przez Ronalda Reagana? I okazało się, że pozytywnie ocenia ją 24 proc. (zdecydowanie tylko 4 proc.), natomiast negatywnie aż 59 proc. (zdecydowanie jedna czwarta). Reszta nie potrafiła ocenić, czyli nie zastanawiała się nad tym. Polityka obecnego prezydenta USA potępiana jest więc przez ogromną większość młodzieży uniwersyteckiej w Łodzi, a w szczególności przez kobiety (prawie dwie trzecie).

Przed ostatnimi wyborami do Sejmu PRL rozmaite sondaże wykazywały, że większość studentów nie weźmie udziału w głosowaniu. Okazało się jednak, że 13 października 1985 r. uczestniczyło w wyborach 56 proc. badanych osób. W zbiorze mężczyzn głosowało 48 proc., a wśród kobiet 59 proc. indagowanych.

Badania nie potwierdziły spotykanej niekiedy opinii o postępującej „iranizacji” i klerykalizacji politycznej środowiska akademickiego. Na pytanie — „Czy chciał(a)byś, żeby w Polsce kierowniczą rolę w państwie sprawował Kościół (rymskokatolicki) jako przedstawiciel większości narodu?” — uzyskano następujący rozkład odpowiedzi: zdecydowanie tak — 3 proc., raczej tak — 6 proc., raczej nie — 24 proc., zdecydowanie nie — 50 proc., nie mam zdania — 17 proc. Należy podkreślić, że choć młodzież ta jest bardzo religijna (80 proc. wierzy w Boga osobowego, 74 proc. w boskość Jezusa, 37 proc. uczestniczy w każdej niedzielę w mszy świętej), to jednak nie postrzega ona Kościoła jako siły politycznej i nie życzy sobie uprawiania polityki w kościołach. Aż dwie trzecie respondentów uważa, że księża i biskupi nie powinni podejmować w kazaniach zagadnień politycznych.

Wyniki omawianego sondażu wskazują na pewne uspokojenie nastrojów w grupie młodzieży studenckiej. Odpowiedzi są jakby bardziej wyważone i racjonalne, a mniej podsykane uprzedzeniami i emocjami. Do wyników tych wrócimy jeszcze na łamach „Odgłosów”.

E.L.

1.

Nikaragua jest krajem dwóch wielkich jezior i pięćdziesięciu wulkanów. Ma 128 tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni oraz trzy i pół miliona mieszkańców, z których trzy miliony żyje po stronie Oceanu Spokojnego, a reszta na Wybrzeżu Atlantyckim. Dziewięćdziesiąt sześć procent populacji to Metysi, potomkowie Indian i Hiszpanów, którzy zaczęli kolonizować ten kraj już w XVI wieku, z tym, że interesował ich przede wszystkim Pacyfik, podczas gdy kolonizatorzy angielscy zajęli się Atlantykami.

Nikaragua uwolniła się od Hiszpanii w 1821 roku, lecz natychmiast, podobnie jak to było później z Kubą, trafiła pod opiekę Stanów Zjednoczonych. Była przedmiotem nadzwyczajnej uwagi i troski, gdyż miała wszelkie naturalne dane, aby doczekać się, jak Panama, kanału łączącego obydwie oceany dzięki dużej rze-

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Augusto César Sandino

(Korespondencja z Nikaragui)

ce San Juan i wielkiemu jezioru Nikaragua. Pierwsza zbrojna interwencja Stanów Zjednoczonych w Nikaragui miała miejsce w 1855 roku. William Walker, nieznany na arenie politycznej awanturnik, zajął ze swoim oddziałem stolicę i mianował się prezydentem. Wprowadził nakaz używania na terenie całego kraju angielszczyzny jako języka urzędowego. USA uznały jego samozwańczy gabinet, lecz państwa Ameryki Centralnej połączyły wysiłki, aby go obalić.

W roku 1912 zaatakowała Nikaraguę Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych. Tym razem chodziło o wywarcie presji na liberalnym rządzie nikaraguańskim, żeby odstąpił od rokowań z Anglią, ewentualnie Japonią, w celu zbudowania kanału łączącego Atlantyk z Pacyfikiem, bowiem byłby on zbyt silną konkurencją dla dzierżawionego przez Amerykanów Kanału Panamskiego.

Marines opuścili Nikaraguę w 1926 roku, po czterech latach okupacji, ale w rok później powrócili, gdyż narzucony przez nich narodowi rząd znalazł nieoczekiwanie groźnego wroga. Oto pojawił się na scenie generał Armii Wyzwoleńczej Augusto César Sandino.

2.

Urodził się 18 maja 1895 roku w Niquinohomo. Pochodził z rodziny chłopskiej; jako dziecko pracował na roli. W wieku młodzieńczym, podobnie jak wielu Nikaraguańczyków, emigrował w poszukiwaniu zajęcia. Zwiedził kilka krajów środkowoamerykańskich, poznał Stany Zjednoczone i Meksyk, gdzie był jakiś czas mechanikiem w należącym do USA towarzystwie naftowym. Wkrótce jednak stracił uprawnienia wykwalifikowanego robotnika i postanowił wrócić do Nikaragui.

Wyłądował w Bluefields na Wybrzeżu Atlantyckim, w rejonie, który był już objęty powstaniem: siły patriotyczne wystąpiły zbrojnie przeciwko popieranemu przez Amerykanów reżimowi Adolfo Díaza.

W październiku 1926 roku Sandino wraz z grupą robotników podłożył ładunki wybuchowe pod północnoamerykańskie przedsiębiorstwo eksploatujące pokłady złota San Albino i rozpoczął otwartą walkę z wojskami narodowymi. W Guazapo na północy kraju organizuje oboz powstańczy; w listopadzie 1926 roku stacza pierwszą bitwę z wrogiem. Stoi wówczas na czele niewielkiego oddziału partyzantów i jest praktycznie bez broni, co zmusza go do odwrotu na stronę Puerto Cabezas. W owym porcie nad Atlantykami udaje mu się zdobyć trochę karabinów i amunicji porzuconej przez tak zwane wojsko liberałów, która również występowała przeciwko oddziałom rządowym, ale z innych pozycji. Rewolucyjne idee Sandina, proletariusa, budziły nieufność w dowództwie liberałów, które odmawiało mu pomocy.

W marcu 1927 roku Sandino wraca ze swoimi towarzyszami do Guazapo i podejmuje stamtąd ofensywę w kierunku centralnych rejonów Nikaragui. Amerykanie biorą już wtedy jawną udział w tłumieniu powstania. Kontrolują drogi i rzeki, dostarczają reżimowi 3000 strzelb, 200 ciężkich karabinów maszynowych i 3 miliony pocisków. A jednak Sandino, dowodzący teraz grupą osmiuset partyzantów, odnosi sukcesy. Zdobywa miasto Jinotega, a następnie San Ramón, w Departamencie Matagalpa, po czym łączy się z liberałami, aby wesprzeć ich w decydującej batalii przeciwko siłom konserwatywnym.

Dokumenty stwierdzają, iż 1600 liberałów stoczyło zwycięską bitwę z 3400 żołnierzami wojsk rządowych. Sandino i jego kawaleria przyczynili się do tego sukcesu w stopniu najwyższym.

3.

Amerykanie nie rezygnują z utrzymania swoich wpływów w Nikaragui. Przybywa Henry L. Stimpson, specjalny wysłannik prezydenta Coolidge'a — nawiąssem mówiąc, postać o bogatej biografii. Po wykonaniu swojej misji w Managuie sprawował urząd gubernatora Filipin, był sekretarzem stanu w rządzie Hoovera i ministrem obrony w czasie bombardowania Hiroszimy i Nagasaki.

4 maja 1927 roku Stimpson spotyka się w El Espino Negro de Tipitapa z José Marią Moncadą, jednym z przywódców liberałnych. Amerykanin okazał się zręcznym dyplomatą, skłonił bowiem Moncadę do zdrady. Broń

powstańców zostaje przekazana Stimpsonowi. Liberal otrzymuje dziesięć dolarów premii za każdą sztukę.

Sandino potępia zdradę. Nie oddaje broni i wycofuje się do miejscowości Jinotega z niewielkim oddziałem powstańców. 12 maja składa swoje głośne oświadczenie:

— *Wolę umrzeć z karabinem w ręku jak powstańcem, niż żyć jak niewolnik.*

Zawiera związek małżeński z młodą dziewczyną, segowianką, Blancą Arauz, ale wkrótce po ceremonii ślubnej odchodzi ze swoim oddziałem w góry, skąd rozsyła szereg patriotycznych manifestów. Z dumą wspomina, że jest robotnikiem i że w jego żyłach płynie indiańska krew. W jego odezwach nie brak akcentów międzynarodowych: ma świadomość, iż jego walka służy sprawie innych krajów Ameryki Środkowej. Odrzuca wszelkie propozycje zawieszenia broni. W Ocotal jego sześćdziesięciosobowe wojsko stawia ponad piętnaście godzin opór siłom rządowym wspieranym przez amerykańskie samoloty.

Skupia wokół siebie coraz więcej nieuzbrojonych wieśniaków, także kobiet. Dzieli się z nimi żywnością, lekarstwami, odzieżą, a na zwolonych terenach próbuje parcelować majątki obszarników, aby dać ziemię chłopom.

Ludność pomaga mu w zdobywaniu informacji o ruchach wroga. Rozwija się cały system łączności między wioskami — punkty obserwacyjne, usytuowane na wzgórzach i w lasach potrafią przesłać w ciągu kilku minut ważną wiadomość na ogromną odległość. Kto jednak zaniebał tę misję albo nie spełnił jej rzetelnie (powiedzmy: zasnął na czatach) był karany przez sandinistów śmiercią.

Jak stwierdzają źródła historyczne i starzy ludzie, pamiętający jeszcze tamte czasy, żołnierze Sandina (wrog określał ich mianem bandoleros — rozbójników) odziani byli w podarte szmaty albo w fartuchy z bananowych liści, które chroniły ich przed zimnem w segowiańskich górach. Byli bosi bądź mieli podwiązane



do stóp kawałki surowej skóry. Często, w chwilach głodu, odżywiali się robakami, ślimakami i pędami roślin, a z braku lekarzy i medykamentów kurowały ich ziołami podażące za oddziałem żony chłopów.

Dysponowali bronią zdobyczą, strzelbami typu Krang, Infumo, Winchester, Springfield, karabinami maszynowymi typu Lewis, Thompson i Browning oraz niewielką armatką, którą przeważa „La Chula” (urodziwa dziewczyna z ludu). Oprócz tego sami produkowali bomby, petardy i granaty z dynamitu pozyskanego w ośrodkach górniczych.

Szydli, podobnie jak robią to dzisiaj, z przewagi militarnej nieprzyjaciela. W El Chipote na przykład ustawili na drodze kukły, które padły łupem lotnictwa amerykańskiego, podczas gdy partyzanci wycofywali się w przeciwnym kierunku.

Tworzyli obozy szkolenia rekrutów. Strefa wojny partyzanckiej rozprzestrzeniła się z wolna na cały kraj. W 1932 roku biegnie od Wybrzeża Atlantyckiego aż po wielkie jeziora, dochodzi niemal do Pacyfiku. Trwają walki w Chontales, Matagalpa, Jinotega, Nueva Segovia, Esteli, Managua, Chinandega i Leon. Generał Sandino wyrasta na prawdziwego bohatera i wspaniałego dowódcę. Jeden partyzant w górach czy w buszu jest teraz tyle wart, co kilkunastu rządowych żołnierzy. Sandinistom udaje się nawet zestrzelić szereg amerykańskich samolotów bombardujących obiekty cywilne. Wojna osiąga stan niebywałego okrucieństwa. Wrog bierze odwet na niewinnej ludności.

4.

22 grudnia 1927 roku, a więc kilka lat wcześniej, powstaje z inicjatywy Amerykanów (przy aprobacie liberałów i konserwatystów nikaraguańskich) najemna Gwardia Narodowa, którego naczelnym celem jest eksterminacja sandinistów.

4 listopada 1928 roku prezydentem Nikaragui zostaje liberał José María Moncada (ten sam, który w maju 1927 roku przekazał powstańca

broń Henry'emu L. Stimpsonowi, wysłannikowi USA, biorąc dziesięć dolarów za każdy karabin i strzelbę).

Tuż po elekcji, kontrolowanej zresztą przy stołach wyborczych przez pięćdziesięciu funkcjonariuszy amerykańskich z generałem Frankiem Ross MacCoyem na czele, José María Moncada oraz dwaj konserwatyści: Emiliano Chamorro i Adolfo Díaz spotykają się na pokładzie statku „Mary Land” z prezydentem Stanów Zjednoczonych Hooverem. Zapadają decyzje.

Prezydent José María Moncada sięga wówczas po usługi niejakiego Anastasia Somozy przydzielając mu początkowo kilka drugorzędnych funkcji w rządzie. Pod koniec 1932 roku ów Anastasio Somoza García zostaje mianowany szefem Gwardii Narodowej.

W tym samym czasie wielu dowódców wojskowych, polityków, a także intelektualistów (Sofonias Salvatierra, Salvador Calderón Ramírez) apeluje do Sandina, aby w imię pokoju i dla dobra jedności narodowej zaprzestał walki i wszczął pertraktacje z rządem, któremu przewodził wówczas Juan B. Sacasa.

Generał Sandino żywił słabość do intelektualistów i pisarzy. Był samoukiem, ale dokształcał się, czytał marksistów, jego ulubioną książką pozostawał Don Kichote, z którego potrafił cytować na pamięć całe fragmenty. Może właśnie to było powodem, iż odpowiedział na list Salvatierry, a nawet spotkał się z nim na początku trzydziestego trzeciego roku, aby przedstawić intelektualistom swój „protokół pokoju”.

W dokumencie tym zarzuca rządowi Juana B. Sacasy, iż ten akceptował dalsze uzależnienie się Nikaragui od obcego kapitału. Objawiał też nieprzejednane uczucia wobec najemnej Gwardii Narodowej. Domagał się oczyszczenia imienia swojej armii od wszelkich zbrodni pomówień i uznania jej za wojsko, które walczyło o niepodległość narodową. Żądał zniszczenia tajnego archiwum policyjnego w obawie, iż niektóre dokumenty staną się przyczyną prześladowań. Apelowo o całkowite uzależnienie się kraju od Stanów Zjednoczonych. Oświadczył, iż jego partyzanci nie oddadzą na razie broni.

2 lutego 1933 roku Sandino przybywa do Managuie na rozmowy z rządem Sacasa. Ludność stolicy wiwatuje na cześć bohatera. Podpisane zostają pierwsze porozumienia. Sandino godzi się na stopniowe rozbrajanie swoich oddziałów w miarę jak będą spełnione przez rząd wyłożone w „protokole pokoju” postulaty.

Nikaragua ma być wolna, sprawiedliwa, całkowicie niezależna politycznie i ekonomicznie. Co do Gwardii Narodowej, jest to, jak pisał Sandino do swojego towarzysza broni, Francisco Estrady „instytucja całkowicie sprzeczna z prawami i Konstytucją Republiki, utworzona przez partię Liberalną i Konserwatywną na życzenie Stanów Zjednoczonych”.

5.

Szef owej instytucji, Anastasio Somoza, okazał się nie ładągraczem. 19 sierpnia 1933 roku prowokuje groźną eksplozję w Campo de Marte. Jest to pretekstem do mobilizacji wojsk (eksplozji dokonały rzekomo elementy wyrotowe), aby pokazać, że tylko władze militarne kontrolowane przez Gwardię Narodową mogą zapewnić spokój w kraju. Somoza urasta do rangi głowy państwa, aczkolwiek oficjalnie urząd prezydenta obejmuje dopiero w styczniu 1937 roku.

Sandino ponownie przybywa do Managuie na przełomie lat 1933—34 z zamiarem utworzenia nowej partii politycznej, która miałaby decydujący wpływ na losy kraju. Sława, jaką cieszył się rewolucyjny generał i poparcie, jakim darzyło go społeczeństwo, przerażały konserwatywnych przywódców.

Dalsze wypadki potoczyły się szybko. Kraj w owym czasie jest w zasadzie wolny od obecności wojsk amerykańskich. Stany Zjednoczone czują się zagrożone w swoich nikaraguańskich interesach. Następuje wymiana not między Blissem Lanem, ambasadorem USA w Managuie, a jego zwierzchnikami w Waszyngtonie. Somoza zostaje postawiony w stan gotowości. Sandino przebywa chwilowo poza Managuą, ale 9 lutego 1934 roku Juan B. Sacasa wysłał do niego telegram i zaprasza generała na rozmowę. Ten przystaje, aczkolwiek uważa podróż za niepotrzebną. Mają nastąpić kolejne pertraktacje z rządem.

Mija jeszcze kilka dni, ale morderstwo jest przygotowane. Sandino, jak twierdzą znawcy przedmiotu, uwiarył w szczerą intencję przeciwnika. Dał się ziowić w pułapkę i rozbroić. Biograf Augusta Césara Sandino, komendant Carlos Fonseca, wódz ludowej rewolucji sandinistycznej (a także twórca i założyciel rządzącej dzisiaj partii Frente Sandinista de Liberación Nacional), na którego bogatych materiałach opiera się mój artykuł, krótko wspomina ostatnie chwile nikaraguańskiego bohatera. Otóż:

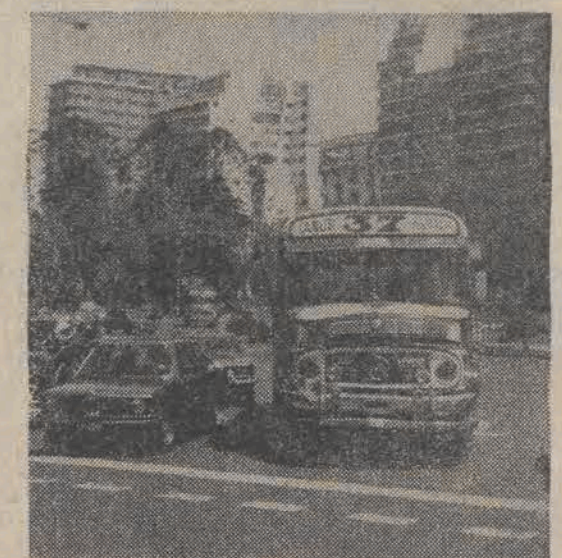
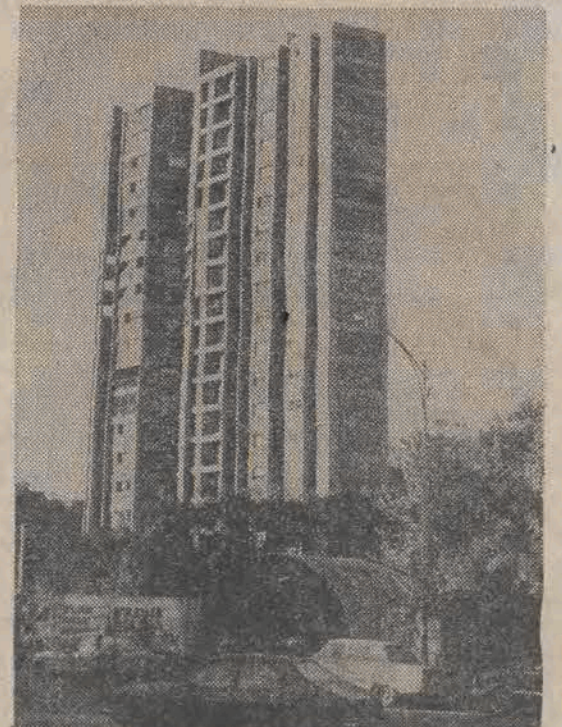
„21 lutego 1934 ambasador USA Bliss Lane kontaktuje się dwukrotnie (osobiście) z Somozą, składa również wizytę José Marii Moncadzie. Zbrodnia rozgrywa się o północy. Augusto César Sandino i jego towarzysze broni: Francisco Estrada, Juan Pablo Umanzor i Sócrates Sandino — zostają zamordowani”.

Nie wiadomo do dzisiaj, gdzie pogrzebano jeszcze tej samej nocy ich ciała. Niektórzy twierdzą, że bezimienny i niewidoczny grób znajduje się w okolicach portu lotniczego noszącego obecnie imię Sandina.

Był ów niezmierny człowiek jednym z największych herosów Ameryki Łacińskiej. Czczony jest w Nikaragui tak, jak José Martí na Kubie. Obydwoj ułorowali swoim krajom drogę do całkowitej niepodległości. Sandino zginął, lecz utworzony w 1961 roku przez Carlosa Fonsecę Sandinistyczny Front Wyzwolenia Narodowego podjął walkę z dyktaturą Somozy i po 18 latach ciężkich zmagani, 19 czerwca 1979 roku, na murach i w gazetach pojawiły się napisy: *Nica Libre!*

Argentyna

GRZEGORZ WALENDA



Dzień był mroźny, na polach i na młodniku sosenno-
wym leżał śnieg. Dwa my-
śliwi Eugeniusz G.
i Leon S. przelali przesłankę i
rozglądając się uważnie skie-
rowali się w głąb zarosli. Co
prawda nie było niedziele świe-
żych śladów, lecz niewykluczo-
ne, że tutaj gdzieś w pobli-
żu dąki lub przemykała za-
jace. Odeszli jakiegoś osiemdzie-
siat może sto kroków, kiedy
usłyszeli głosy.

Eugeniusz G. położył palec
na ustach: — Uwaga! Pewnie
klusownicy zakładają sidła.

Z bronia kotowa do strzału
zaczeli skradać się w stronę
skąd dochodziły głosy. Weszli
na małą polankę, właściwie
kawałek nie zadrzewionej prze-
strzeni nie większej niż klepisko
w stodole. Na białym śniegu
wyraźnie rysował się ciemny
prostokąt wazu prowadzą-
cego do ukrytej pod ziemią
kryjówki. Głosy stały się wy-
raźniejsze, choć słów nie róż-
niło się rozróżnić.

Myśliwi stanęli po obu stro-
nach wazu.

— Wychodź! — krzyknął
Leon S. — I bez kawałów!

— Ręce wysoko! — dodał
Eugeniusz G. — Wszystko os-
tawić na miejscu.

Głosy umilkły. Przez chwilę
trwała cisza i tylko wiatr szumiał
w niskich gałęziach igla-
stego młodnika. Potem dało się
słyszyc szuranie, jakieś ruchy i
w otworze ukazała się kobieta
a za nią mężczyzna.

— Szybkiej, szybkiej! — po-
naglił myśliwi. — Szybkiej się
zachęca, co? Stawiajcie winy-
ki czy macie flintę?

Zatrzymani zaczęli zaprze-
czać, mówić coś chaotycznie
jedno przez drugiego wskazu-
jąc na ziemiankę.

— Dobrze, dobrze, wyjaśni-
my to gdzie trzeba — powie-
dzieli myśliwi i przez śnieg,
przez zawiane pola poprowa-
dzili parę do najbliższej lesni-
czówki znajdującej się w mie-
scowości Tarnów Bycki gminy
Bwton Odrzański. Było wczesne
popołudnie, chłodno a nawet
mroźno dmuchał lekki wiatr.
O godzinie 15.10 na wezwanie
telefoniczne lesniczego wy-
jechał samochód milicjny z No-
wej Sól. Był to piątek 31 sty-
cznia 1986 roku.

W taki oto sposób zostali za-
trzymani Stanisław M. i Ma-
ria M. oszukiwani listami kon-
czynami za dokonane morderstwo
na poborcy skarbowym w Ło-
dzi.

ZŁOTY SYGNET

17 stycznia 1986 r. do szefa
Rejonowego Urzędu Spraw We-
wnętrznych Łódź-Sródmieście
wpłynęło pismo z Drugiego
Urzędu Skarbowego, w którym
prosi się o wszczęcie poszuki-
wań ich poborcy skarbowego,
który 15 stycznia 1986 r. wy-
szedł z biura i udał się w re-
jon alei Adama Mickiewicza,
by pełnić tam swoją służbę.
Powinien był zakończyć pracę
około godziny 17.00. Niestety
tego dnia nie powrócił do do-
mu. Nie zgłosił się także na-
zajutrz do pracy. Urząd sode-
je w piśmie, że poborca miał
przy sobie zainkasowaną go-
tówkę kwitującą o numeracji
seria AU nr 349701—349800
oraz inne dokumenty służbowe.

Urząd Skarbowy zaliczył do
pisma wykaz adresów, pod
które tego dnia miał dotrzeć
poborca. Jednocześnie informo-
wano, że pracownicy Urzędu
wedrowali po śladach ich kole-
gi, ale niczego istotnego nie
stwierdzili.

Również 17 stycznia 1986 r.
córka poborcy zgłosiła zaginie-
cie ojca.

Tego samego dnia, tj. 17
stycznia 1986 r. około godziny
14.00 przy ulicy Piotrkowskiej
i Andrzeja Struga zatrzymano
nieletniego Konrada R., rocznik
1970 ucznia VIII kl. szkoły
podstawowej, usiłującego sprze-
dać złoty sygnet męski z owalnym
okiem, w środku którego
były wywzorowane inicjały
„SZ”. Zachodziło podejrzenie
że sygnet pochodzi z przestęp-
stwa. Konrad R. niewiele
mógł powiedzieć o sygnecie.
Nie jest jego, otrzymał go od
kolegi Jacka M.

Było to tak: tego dnia obaj
spotkali się po ósmej przed
szkołą i wówczas Jacek M. za-
proponował Konradowi R., by
ten pomógł mu sprzedać złoty
sygnet. Konrad R. zgodził się.
Ale najpierw poszli na śniada-
nie do baru, potem do kina
„Gdynia” i dopiero potem u-
dali się do lubiera na Piotrkow-
ską 107. Tam już oczeki-
wano na kogoś, kto zjawił się
właśnie ze złotym sygnetem.
Nie przypuszczano tylko, że
będą to dwaj chłopcy. Kiedy
ich prowadził Piotrkowska,
Jacek M. zbiegł. Niestety Kon-
rad M. nie znał jego adresu.

JAKUB ŁASKI

Zbrodnia

Dopiero nazajutrz milicjan-
ci dotarli do mieszkania Jac-
ka M., ale drzwi były zam-
knięte.

20 stycznia 1986 r. w łódz-
kich „Wiadomościach” nadano
komunikat o zaginięciu pobor-
cy podatkowego.

WALIZKI NA TORACH

21 stycznia 1986 r. Godzina
9.00 rano. Trasa kolejowa Lip-
ce Reymontowskie — Pływla.
W budce przejazdowej w Wo-
li Drzewieckiej Henryka W.
dzwoni telefon. Dyżurny stacji
PKP w Pływi wydaje polecenie
by Henryk W. udał się na
84.100 kilometr i zabrał waliz-
kę leżącą na międzytorzu.

Dróżnik opuszcza zabory na
przejeździe i idzie po torach
w stronę Lipiec Reymontow-
skich. Na wysokości domu ko-
lejowego, gdzie kiedyś mieszkał
Władysław Reymont, to jest
na 84.020 kilometrze, między
torami nr 1 i nr 2 widzi le-
żącą walizkę. Nie jest ciężka.
Pewnie jakieś ciuchy — myśli
dróżnik i trzymając za uchwyt
niesie do swojej budki. Kła-
dzie na ławce obok pomieszcze-
nia silnikowego i dzwoni do
dyżurnego w Pływi.

— Mam ją — mówi. — Co
teraz?

— Co jest w środku?

— Nie zaglądałem.

— To zajrzyj pan, czekam
przy słuchawce.

Dróżnik Henryk W. otwiera
i natychmiast zatrząskuje wie-
ko: w walizce leży ludzka re-
ka!

— Co się pan gwałdzi —
niecierpliwie się dyżurny. —
Otworzył pan?

Dróżnik Henryk W. przez
ściśnięte gardło wydusił, że
wewnątrz jest ludzka reka, i
że on więcej nie chce nie wie-
dzieć ani widzieć, i że pan dy-
żurny musi natychmiast po-
wiadomić milicję.

Zanim dróżnik ochłonął pod
jego budkę podjechała drezyna
wraz z dyżurnym zawiadowcą
M. H. i zawiadowcą P. H. W
milczeniu obejrzeliz zawartość
walizki i skontaktowali się z
dyżurnym PKP w Pływi
poinformowali go, że w waliz-
ce znajdują się ludzkie zwłoki.

Natychmiast uruchomione zo-
stają specjalne służby milicyj-
ne. Cała linia kolejowa (przez
Lipce Reymontowskie przebie-
ga bardzo ruchliwa linia kole-
jowa z Warszawy przez Skie-
rniewice do Kozuszek, a stam-
ąd w kierunku Łodzi) zostaje
poddana szczegółowej penetra-
cji. Jeden z maszynistów pro-
wadzący pociąg w godzinach
rannych zameldował że przy-
torze na szlaku Skierniewice —

Łódź Fabryczna leży jakaś wa-
lizka. Milicjanci wsiadają do
pociągu. Na 78.200 km znajdu-
ją leżącą kurtkę. O godzinie
14.15 jadąc z Łodzi Fabrycznej
w kierunku Skierniewic po
minięciu przystanku PKP Wa-
gry a przed Rogowem dostrze-
gają po prawej stronie torów
leżącą walizkę. Pociąg zatrzy-
muje się. Jakies dwieście me-
trów dalej jest przejazd kole-
jowy i droga w kierunku
Brzezina. Tam właśnie leży bra-
zowa walizka. Ma uszkodzony
jeden bok i urwany zawias.
Obok — na ziemi leży prawa
ludzka stopa.

PIERWSZE USTALENIA

W obu znalezionej waliz-
kach znajdowały się ręce, nogi
oraz ludzka głowa.

JAK TO WIDZIAŁ JACEK M.

MAKABRA

Wspominałem, że 17 stycznia
1986 r. został zatrzymany nie-
letni Konrad R. w chwili gdy
usiłował sprzedać złoty sygnet.
Konrad R., jako właściciela sy-
gnetu podał Jacka M., mieszka-
jącego w domu przy ul. Wo-
lczańskiej 144. Tylko że Kon-
rad R. nie znał miejsca za-
mieszkania swojego kolegi i
adres milicjanci musieli usta-
lić, co zajęło im sporo czasu.
Kiedy nazajutrz zjawili się w
mieszkanie Jacka M. nikt im nie
otworzył, a za drzwiami pano-
wała cisza.

Teraz, po znalezieniu szczt-
ków ludzkich (sygnet zidenty-
fikowano jako własność zag-
niętego poborcy skarbowego)
należało jak najszybciej do-
trzeć do lokatorów mieszkania
nr 25 mieszczącego się przy Wo-
lczańskiej nr 144. Rano 22 sty-
cznia 1986 r. milicjanci pono-
wie zjawiali się przed drzwia-
mi mieszkania nr 25. Otwiera
je Jacek M. Jest sam.

Aby niczego nie pominąć w
tej wstrząsającej historii trze-
ba parę zdań opisu poświęcić
samemu mieszkaniu, w którym
przebywały cztery osoby i gdzie
rozegrała się tragedia. Miesz-
kała tu Maria M., ze swoim
dziewięcioletnim synem Dar-
kiem, Stanisław M. oraz jego
syn Jacek, lat piętnaście. Na
pierwszy rzut oka mieszkanie
robi niezwykłe wrażenie. Mo-
żna byłoby zarzykować twier-
dzenie, że chłew w porówna-
niu z nim jest salonom. Otta-
ni raz sufit był białuchny zape-
wne zaraz po wojnie, teraz
jest szarociemny, ściany w po-
dobnym odcieniu obwieszono
świętymi obrazkami i reklama-
mi zespołów takich jak „Repu-
blika”, „Maanam”, „Mech” oraz
plakaty klubów sportowych.
Pomieszczenie jest małe, rap-
tem jakieś 25 m kwadrato-
wych a w nim: trzy tapczany,
kredens pokojowy, kredens ku-
chenny, czterodrzwiowa szafa
fotel, stół, stolik pod telewizor
i telewizor „Taurus-23”. Na pó-
łkach trochę książek, w wie-
kszości kryminały. Wszędzie
butelki po wypitej wódce i
winie. Sporo butelek po dro-
gich zagranych winach
które napełnione wodą, sta-
nowią ozdobę tego niezwykłego
mieszkania. Na brudnej pod-
łodze brązowe plamy, które po-
zostały po krwi. Zwiniała i le-
żąca na środku wykładzina
także poplamiona. I brud, nie-
samowity brud panujący nie-
podzielnie na meblach, sprzę-
tach kuchennych, ubraniach
porzucanych w nieładzie.
W powietrzu ostry, drażniący
zapach nieczystości, zleżałego
tłuszcza, gnijących resztek je-
dzenia.

Milicjanci z trudem prze-
cinali się przez wąskie przejście
prowadzące od drzwi ku śro-
dowi pokoju. Jacek M. i dzie-
więcioletni Darek M. siedzieli
przy stoliku. Na pytanie gdzie
są rodzice, nie potrafili odpo-
wiedzieć, natomiast wskazał

na spory toból leżący pod wer-
salką. Był to tułów mężczyzny
bez głowy i kończyn, owinię-
ty w dywanowa wykładzina i
szary papier pakowy.

W taki oto sposób została
wyjaśniona zagadka zniknięcia
poborcy skarbowego, choć wie-
le pytań nadal pozostawało
bez odpowiedzi.

24 stycznia 1986 r. we wszy-
stkich łódzkich gazetach a tak-
że w telewizji pojawia się list
gończy za zbiegłym morderca-
ni. W całym kraju odpowie-
dnie służby przystępują do pe-

JAK TO WIDZIAŁ JACEK M.

Piętnastoletni Jacek M. mó-
wi dużo, opowiada ze szczegó-
łami, co robił zarówno w dzień
poprzedzający owe tragiczne
wydarzenie, jak i w dni pozo-
stałe. Jego relacja jest bezna-
miętna, spokojna i dlatego tak
bardzo przejmująca. Nie ma
potrzeby przytaczać jej w ca-
łości, mimo iż jego zeznania
mają dużą wartość poznawczą
dla całego zdarzenia. Ograniczę
się jedynie do najważniejszych
faktów. Jacek M. mówi:

„Chcę jeszcze raz mówić o
wydarzeniach z dnia 14.01
1986 r. Otóż w dniu tym rano
ojciec pojechał odwiedzić mo-
jego brata Piotra, który był u
nas w domu na ferjach i r-
ciec z nim wyjechał we wto-
rek rano do Łask. (Dla wy-
jaśnienia: młodszy syn Stani-
sława M., a brat Jacka jest
dzieckiem niewidomym i prze-
bywał w specjalnym zakładzie
w Łaskach). Około godziny 14
przyszedł do mieszkania pani
M., ten facet z Izby Skarbo-
wej i zaczął mówić o tym, że
jest nie zapłaconą grzywną z
kolegium, i że będzie musiał
zapisać telewizor. Ciocia pro-
siła go, żeby nie zapisywał te-
lewizora, ten facet zgodził się,
że zapisze radio i wtedy cio-
cia mówiła, że grzywna została
zapłaconą z pensji jej przyja-
ciela, mojego ojca. Ten facet
mówił, że nie ma nigdzie za-
notowane, że jest już zapła-
coną ta grzywna, i że ona może
zapłacić za swoją pensję, ale
dopiero po piętnastym i facet ten
powiedział, że przyjdzie po 15.
Ale później rozmawiali jesz-
cze ze sobą i ciocia
mówiła, że zamiast płacić je-
szcze raz, to wolalaby wypić
za te pieniądze wódkę. Później
rozmawiali ze sobą o mom-
oju, że pojechał poza Łódź i
w sumie facet ten siedział w
mieszkanie prawie trzy godzi-
ny czasu...”

W dniu 15.01.86 r. było to
środa tydzień temu, ojciec wy-
szedł rano po pensję do pracy
cioci, a w mieszkaniu byłam
ja i ciocia. Około godziny 14.30
przyszedł do mieszkania cioci
ten facet z Izby Skarbowej, u-
siadł przy stole i zaczął roz-
mawiać, że sprawdził, że nie
były wpłacone pieniądze za
grzywnę. Ciocia powiedziała,
że mój ojciec właśnie poszedł
po pensję do jej zakładu i po
15 minutach ojciec wrócił, tj.
po 15 minutach jak był w

mieszkanu ten facet z Izby
Skarbowej i zaraz wyszedł wa-
żąc z mną z mieszkania, bo
nieśliśmy do odebrania płaszcza
z pralni...”

Do domu wróciłem około
godziny 20.00. Wtedy w mie-
szkanu zobaczyłem, że mie-
szkanie jest pełne krwi, krew
była na podłodze, wersalce,
wsiąknięta w różne poszwy. Na
wersalce leżała ciocia i była
pijana, coś bełkotowała, ale nie
z jej bełkotu nie mogłem zro-
zumieć. W mieszkaniu był tak-
że ojciec, był pijany i jak ja
uszedłem, to ojciec zaraz wy-
szedł z mieszkania. Syn pani
M., spał na łóżku-wersalce.
Nie widziałem żadnego ciała,
zwłok. Przez moment myśla-
łem, że ojciec mógł zabić kota,
bo go nie było w mieszkaniu.
Widząc tyle krwi zaczęłam
sprzątać. Jednocześnie jak
sprzątałem to znaczy wyciera-
łem krew z podłogi, zwinęłam
koltrę, sprzątnęłam potłucz-
ne szklanki ze stołu, stół był
przewrócony, zmiotłem szkło z
podłogi i wtedy też szukałem
po mieszkaniu, czy gdzieś nie
leży kot lub ciało, bo domy-
ślałem się, że tyle krwi nie
może być z kota. Wtedy w
mieszkanu oglądałem przed-
mioty, w tym i siekierkę, jaka
była w mieszkaniu, lecz była
ona czysta. Zwinęłam też kol-
trę, która przeciekała krwią i
najpierw położyłam ją przy
kredensie, bo chciałem ją wy-
rzucić, a później przeniostem
ją w kąt za pralkę. To sprzą-
tanie zajęło mi około dwóch
godzin czasu i później próbo-
wałem położyć się spać, lecz
nie mogłem usnąć. Około go-
dziny 23 wrócił ojciec. Był pi-
jany i zaraz położył się spać
na łóżku i usnął. Około półno-
cy ciocia kazała mi podnieść
wersalkę, ponieważ tam leży
facet, ten co był w mieszkaniu.
Ja już wcześniej domyślałem
się i nie chciałem podnieść się
z łóżka i spałem. Rano obu-
dziłem się jeszcze przed ojcem i
ciocią i wtedy na kredensie w
kubku znalazłem sygnet ze
złota...”

Cała czwórka, po pozbyciu się
walizek, przenocowała w Rad-
mju w hotelu i dopiero w o-
niedzialek wieczorem autobu-
sem powrócił do Łodzi. Byli
zmęczeni, więc poszli spać. Ra-
no rodzice udali się do lekarza
po kolejne zwolnienie z pracy,
a chłopcy zostali w mieszkaniu.
Wtedy zjawili się właśnie mi-
licja.

Niestety, Stanisław M. i Ma-
ria M. nie wrócili. Na podwo-
zku ktoś życzyliwi powiedział
im, że w domu jest milicja i
lepiej będzie jak sobie poszu-
kają innego lokum. Rada ży-
czyliwego kumpła sprawiła, że
przez kilka kolejnych dni w
całej Polsce trwała akcja po-
szukiwawcza, zakończona w mio-
dniku sosnowym na terenie ob-
wodu leśnego należącego do le-
śnictwa w Tarnów Bycki w
województwie zielonogórskim.

Czytelników interesuje zape-
wne co powiedzieli oficerom
milicji zatrzymanym Stanisław M.
i Maria M. Powiedzieli sporo
nie zapierając się, nie usiłując
zrzucić winy jedno na drugie.
Stanisław M. dość dokładnie
relacjonuje, jak doszło do za-
bójstwa, choć swój czyn tłum-
czy nadmiernym upojeniem al-
koholowym, które sprawiło, iż
nie bardzo wiedział, co czyni i
dlaczego. Maria M. z kolei
twierdzi, że nic nie widziała i
nie słyszała, bo była w stanie
całkowitego zamroczenia po wy-
pieniu sporej ilości wódki. Wód-
ka — w ich relacjach — jest
abrybutem przewijającym się
przez całe ich życie. Stanowi o-
na dla nich artykuł pierwszej
potrzeby na równi z chlebem i
wodą.

NIE WYPIERAJĄ SIĘ

Jedyna rozbieżność — jak do-
tąd — odnosi się do chwiro-
wania zwłok poborcy skarbo-
wego. Stanisław M. twierdzi,
że dokonana tego Maria M., na-
tomiaś Maria M. utrzymuje, że
robił to Stanisław M. Na po-
parcie swoich słów Maria M.
przytacza fakt, iż w przeszło-
ści Stanisław M. pracował jako
prosektor w jednym z łódzkich
szpitali, więc posiadał pewną
biegłość w tego rodzaju czyn-
nościach.

Poborca skarbowy miał przy
sobie sporo gotówki, bowiem
tego dnia odwiedził kilku płat-
ników. Trwa ustalenie, ile tego
było. Może 60 tysięcy, może 80,
a może jeszcze więcej. W chwi-
li zatrzymania Stanisława M. i
Marii M. mieli oni przy sobie
zaledwie 1.238 zł. A w ziemi-
ance dwa i pół bochenka chleba,
około 3 kg cebuli, jedno jabł-
ko i paczke „popularnych”.

Podczas przesłuchania Stani-
sław M. powiedział m.in.:

— Przebywaliśmy w Krako-
wie, Zakopanem, Katowicach,
Wrocławiu i Nowej Sól. Była
myśl, aby uciekać za granicę,
ale było to nierealne, zwłaszcza
zimno... i w końcu chciałem, a-
by Marylka jechała do domu,
a ja miałem z sobą skończyć...”

Tak, w ogromnym skrócie,
przedstawia się ta makabrycz-
na historia, wymagająca wielu
jeszcze uzupełnień, ustaleń,
uściśleń. Zapewne z czasem por-
tret morderców będzie klarow-
ny i pełny. Jak pełna okaże się
prawda dotycząca zbrodni. Nim
sprawiedliwość rzuci na szalę
swojej wagi ich czyny, przy-
jdzie jakiś czas poczekać. Ale
będzie to już inna relacja.

Nie, nie mam zamiaru opi-
sywać szczegółów tego, co ro-
zegrało się w mieszkaniu przy
ulicy Wolczańskiej 144. Jednak-
że dla lepszego scharakteryzo-
wania dwójki dorosłych któ-
rzy dokonali bestialskiego mor-
du, trzeba powiedzieć że ja-
kos im nie przyszło do głowy,
że ich poczynania są obserwo-
wane przez dwóch nieletnich
chłopców. Co prawda w czasie
chwirowania zwłok, kazali im
wyjść do „kuchni” ale to w
niczym nie zmienia faktu, że
obaj chłopcy byli tuż obok i
przynajmniej słyszeli odgłosy
uderzeń siekiera. Zresztą poję-
cie „kuchnia” w tym szczegó-
lnym przypadku jest umowne,
bowiem jest to kąt wydziel-
ony

Wędrowiec przyszedł do osady wieczorem w dniu Urodzaju. Chodził od domu do domu, szukając schronienia i znalazł je u cieśli Walentego. Log dowiedział się o Wędrowcu kiedy już się ściemniło i nie dało się już wyjść: matka kazala mu kolyśać malców, sama krzątając się po kuchni. Log denerwował się — w ciągu swych niedługich siedemnastu lat ani razu nie rozmawiał z Wędrowcem, takim właśnie, który dopiero co przyszedł, pachnącym dalekimi polami i wędrowkami. Stary, schorowany, nikomu niepotrzebny Lepir, od którego Log usłyszał mnóstwo historii, zaskakujących jak susza jesienią, też był kiedyś Wędrowcem. Przyszedł do osady na długo przed urodzeniem się Loga i jego opowieści, słyszane setki razy, obrósły wymyślnymi szczegółami, a Logowi potrzebna była prawda.

Kiedy malcy usnęli, Log położył się w swoim kącie i zaczął wyciekiwać ranka. Wiedział, że nie zdoła usnąć. Podniecenie narastało, nawet po sprzeczce z Leną — nie był tak wzburzony, Wędrowiec. Oto człowiek naprawdę odważny. Jak długo sięgał pamięcią nikt w osadzie nie odważył się tak po prostu wyjść pewnego razu z domu bez liny asekuracyjnej i pójść w mgłę, dokąd nogi poniosą, zdawszy się na los. Kiedyś — Log miał wtedy dwa lata — poszedł i nie wrócił jego ojciec. Potem matka przyprowadziła ojczyma, urodzili się chłopcy. Ojczym był człowiekiem spokojnym, odchodził nie zamierzając, żył dla matki, dla dzieci, dla domu. Cały szkopał w tym, że żył niedługo. Całkiem niedawno, wiosną, z dachu spadła belka i — ojczyma zabrakło.

Wędrowcy byli dla Loga ideałem człowieka. Z tego powodu pokłócił się z Leną. Zwykle spotykali się przy opuszczonym domu, stojącym na skraju osady. Nikt tam nie mieszkał. Dom cieszył się złą sławą — jakoby nawiedzany go duchy. Nikt ich oczywiście nie widział, ale słyszało wielu, w nocnej mgłę słychać bardzo dobrze.

— Wyobrażasz sobie, — powiedział Log tamtego wieczoru, — znalazłem nową osadę, nowych ludzi, poznałem nowe pola. Nowe głosy, niezrozumiałe, tajemnicze. I zapachy. W czasie dobrej pogody można wspinać się na drzewo i zobać liście. Kiedy byłem mały...

— Ty i teraz łazisz po drzewach — obcy głosem powiedziała Lena. — Ja przecież wiem, i inni też wiedzą, i kiedyś ukarzą cię. Nie chcę, żebyś skręcił sobie kark, jasne?

— Ależ kochana — czule powiedział Log. — Nie spadnę z drzewa nawet najczarniejszą nocą. Zobacz, jakie mam chwytne palce.

Lena odepchnęła go i odeszła, błyskawicznie zniknąwszy we mgłę. Log usłyszał jak idzie do swojego domu i rzucił się za nią, wyciągnąwszy z przyzwyczajenia ręce, żeby nie wpaść na coś.

— Lena, kochanie — mówił — nigdy więcej nie będę laził po drzewach, słyszysz?

Lena zatrzymała się i Log usłyszał:

— I nie będziesz plątał sznurka, żeby cię nie znalazłono gdy wychodzisz z osady?

Log zamarł: „Nie. — pomyślał — Naprawdę wie? I powie? Co będzie jeśli powie?”

Lena odeszła, a on stał, zastanawiając się co robić dalej. Od tego wieczoru nie widzieli się. Lena albo obraziła się, albo oziębiły jej uczucia, a on nie szukał okazji do spotkań, chociaż na początku ogromnie tęsknił. Bał się, że się wygada. Nikt nie powinien był wiedzieć o tym, że Log, wychodząc z osady w pole, celowo płacze swoją linkę asekuracyjną. Zeby trudno było go znaleźć, żeby nikt nie widział dokąd on chodzi i co robi. Nikt. Nawet Lena.

Wędrowiec nosił długą brodę, jego ubranie było stare, lata na łacie, sakwa miała tyle kieszonek, że wydawało się, iż składa się tylko z nich.

Log natknął się na Wędrowca, kiedy, zastukawszy, otworzył drzwi i wszedł do ciemnego przedpokoju cieśli Walentego. Rankiem mgła przeczekała się troszkę, chociaż oczywiście daleko jej było do wczorajszej przezroczystości. Ale podszedłszy bardzo blisko, Log zdołał mimo wszystko przyjrzeć się Wędrowcowi. Dobrze, że cieśla nie mógł zobaczyć tego spojrzenia, inaczej na pewno pobiegłby do starosty. A Wędrowiec zobaczył i zrozumiał. Cofnąwszy się od progu, milczącym gestem zaprosił Loga do środka. Cieśla postąpił za nimi, ale oczekiwano go w warsztacie, więc odszedł namrucząc coś, na co Log nie zwrócił uwagi, a Wędrowiec nie dosłyszał.

Wędrowiec zsunął z ramion sakwę i usiadł obok Loga na szerokiej ławie. Rzeczywiście pachniał czymś nieznanym, dalekim, kuszącym. Log umiał rozróżniać tysiące zapachów, ale ten nie był zwykły i nie można go było porównać z niczym.

— Nazywam się Log — zaczął chłopak nieśmiało.

— A ja — Petrin — wolno powiedział Wędrowiec. — Mam mało czasu, chcę przejść jak najwięcej zanim się ściemni.

— Ty... Wy... — Log zdumiał się. To, co usłyszał nie mieściło się w jego świadomości.

— Tak — uśmiechnął się Wędrowiec. — Odchodzę. Nigdy nie zatrzymuję się w jednej osadzie więcej niż dwa, trzy dni. A wasza osada jest niewielka, więc tylko przenocowałem.

Wędrowiec bardzo poprawnie wymawiał słowa i budował zdania jak domy ze szczerlnie dopasowanych bierwion Logowi clarki przeszły po plecach, gdy wyobraził sobie, jak Wędrowiec każdego ranka zarzuca na ramię sakwę i idzie w mgłę, w szare nic, nie wiedząc nie tylko czy będzie nocować pod dachem, czy też w polu, ale nie wiedząc nawet, czy dobrze kiedykolwiek do siedzib ludzkich, czy też dzień ten będzie dla niego pechowy i zabiłszy ostatecznie we mgłę, zostanie na zawsze pośród drzew lub stert zboża, będzie błąkać się i krzyżać, przeklinać los, dopóki nie umrze z głodu, a potem, po wielu dniach, ktoś z najbliższej osady, przy zbiorze plonów, przypadkiem, nastąpi na jego pobielale kości i nagle przeraził się tak, jak przeraził się Log, namacawszy kiedyś nogą coś twardego, okrągłego. Kucnął i zobaczył czaszkę. Wzpełił się wtedy mocno w

linkę asekuracyjną i pociągnął, upewniając się, że jest ona ciągle pewnie przywiązana do jednego z licznych słupków bezpieczeństwa na skraju osady.

Nikt — Log był tego pewien! — nie Jecydował się na wędrowkę dwukrotnie. Maksimum na co mógł liczyć człowiek to przejście od jednej osady do drugiej, przypadkowo napotkanej na szlaku. Ale ta sama droga, która mogła ciągnąć się jeden dzień albo długie tygodnie tak pozabawiała sił każdego, że Wędrowiec na zawsze zostawał w tej osadzie, do której dostał się z takim trudem. Jakże iść, kiedy nie wiesz dokąd, jeśli nie widzisz drogi, jeśli cały czas cofasz się błędząc we mgłę, kiedy chłód przenika aż do serca, bo im dalej odchodzisz, tym bardziej przeraża cię świadomość, że nie ma żadnej nadziei na dośięcie dokądkolwiek. Ale odeszł znowu, już osiągnąwszy cel, to... Trzeba być szaleńcem...

— Nie patrz tak na mnie, chłopcze, — powiedział Wędrowiec, uśmiechając się życzliwie. — Wyszędłem z domu dwa lata temu. Byłem w jedenastu osadach, wasza jest dwunastą (Log

PAWEŁ AMNUEL

Ponad góry, ponad chmury, ponad niebo...

cały pochylił się ku Wędrowcowi i chłonał każde jego słowo). Kilka razy myślałem, że to koniec, że zabiłbym ostatecznie. Ale szedłem i zawsze dochodziłem. Kiedyś nie jadłem prawie tydzień, skończyły się zapasy. Ale doszedłem. W tamtej osadzie spędziłem miesiąc i omal nie zostałem na zawsze, ale potem coś wezwowało mnie i odszedłem znowu... Każdy człowiek po coś żyje, chłopcze. Log, prawda? Każdy człowiek, Log, żyje po coś. Kobiety po to by nie zginał ród, żeby w domu było ciepło i spokój. A mężczyźni — żeby jutro ludzie żyli lepiej niż wczoraj, a potem jeszcze lepiej. Zeby pytania nie pozostawały bez odpowiedzi. Zeby nikt niczego się nie bał.

Wędrowiec umilkł i Log nagle zapragnął powiedzieć mu o wszystkim. Wędrowiec odeszł dzień, on po prostu nie zdążył donieść na Loga, zresztą nie robi tego, przecież jest taki sam i on jeden może zrozumieć.

— Petrin — powiedział Log. Dźwięki obcego imienia wydawały mu się tak samo niezwykłe jak i sam Wędrowiec. — Pani... nie boicie się Głosu Nieba?

— Boję się wszystkiego, czego nie znam. A właśnie nie wiem, co to jest Głos. Tak jak nie wiem i ty. I nikt. Boję się Głosu Nieba tylko dlatego, chociaż wiem, że jeszcze nikt i nigdy z jego powodu nie ucierpiał.

— Dlaczego? — Log zaczął mówić szybko. Poczuł się pewniej — o tym wszyscy słyszeli codziennie w domu modlitwy. — Głos może być dobry i wtedy rodzą się obfite plony. Głos może być zły i wtedy w osadzie ktoś umiera. Niedawno Głos wezwał Antora, piekarza, a on nie był jeszcze taki stary.

Wędrowiec nieoczekiwanie roześmiał się. — Powiedz Log, ile razy w roku słyszysz Głos Nieba?

— No... dwadzieścia.

— A plony mamy dwa razy do roku i ludzie umierają też nie tak często. To znaczy, że w większości wypadków Głos odzywa się na próżno? I jeszcze jedno: przecież ludzie nie umierają zaraz jak tylko rozlegnie się Głos. Albo przed, albo po tym, a zdarza się, że bar-

dzo długo po tym. Ale zawsze winien jest Głos...

Log chciał zaprotestować, ale zaskrzypiały otwierane drzwi i umilkł. Wrócił cieśla.

— Na mnie już czas — powiedział Wędrowiec, podnosząc z podłogi ciężką sakwę. — Walenty odprowadzi mnie do ostatniego domu. Dalej już pójść sam. Zegnaj chłopcze. Cieszę się, że pogadałimy sobie.

Wędrowiec szybkim ruchem przygarnął Loga do siebie i szepnął mu do ucha, łaskocząc twardymi włosami:

— Czy widziałeś kiedyś błękitną mgłę z żółtymi żyłkami? Mieni się wszystkimi odcieniami i wydaje się, że znalazłeś się w ogromnej zabawce... A żółta mgła? Ta pachnie nieprzyjemnie, boli od niej głowa i drżą nogi. Strzeż się żółtej mgły. A pomarańczowa? Czy widziałeś kiedyś pomarańczową mgłę?

Log potrząsał głową. Nie widział, a nie śmiał przyznać się teraz, gdy cieśla stał nie opodal i łowił każde słowo, że to właśnie jest jego marzeniem, sensem życia — zobaczyć pomarańczową mgłę, i żółtą, i niebieską. Jaką-

kolwiek, byleby nie była tego codziennego, smętnego, szarego koloru. Log trzymał Wędrowca za łokieć i nie chciał puścić. Gdyby tylko mógł, to odszedłby razem z nim. Ale nie mógł. On, Log wybrał inną drogę, ale i do tego nie śmiał się teraz przyznać.

— A czy ty wiesz — szepnął żarliwie Petrin — czym mgła różni się od powietrza?

— Niczym. — zdziwił się Log.

— Dlaczego więc istnieją dwa słowa, a nie jedno?

— A bo to rzadkość? — Log wzruszył ramionami. Jedne słowa często powtarzają znaczenie innych. Kłamstwo i oszustwo.

— Pomyśl chłopcze, a i ty usłyszysz w tych słowach różnicę. Kłamstwo może być nieumyślne, oszustwo zawsze jest z góry zamierzone. A jak jest z mgłą i powietrzem? Jeśli są różne słowa, to ktoś kto je wymyślał, nadawał im różne znaczenie, nieprawdaż?

— Nie wiem — powiedział Log zaskoczony, nie mogąc pojąć o co chodził Wędrowcowi. — No, szybciej — zaskrzeczał cieśla, który stojąc o dwa kroki z pewnością przysłuchiwał się ich szepotom. — Chodźmy Petrin. A ty, Log, idź w pole.

Wędrowiec lekko odsunął Loga i poszedł za głosem. Kroki rozległy się na ulicy i wszystko ucichło. Log przysiadł na skraju ławy. „Jak wspaniale — myślał. — Od osady do osady. Przez mgłę. Nie widzieli niczego przed sobą, nie wiedzieli co czeka cię za chwilę, a mimo wszystko iść. Rzykując, dobrać do nowej osady, ale nie zatrzymać się, tylko iść dalej!”

Od dzieciństwa, kiedy Logowi powiedziano o odejściu ojca, często myślał, gdzie on teraz jest. I rodziło się marzenie: zobaczyć inną mgłę. Pomarańczową. Z jakiegoś powodu ten właśnie kolor Log przedkładał nad inne, być może dlatego, że Lena lubiła wszystko pomarańczowe. Być może pomarańczowa mgła jest bardziej przezroczysta od szarej i jeśli tutaj, w osadzie, w najlepsze nawet dni widać nie dalej niż na trzy — cztery łokcie, to tam... Być może, tam, rozmawiając z człowiekiem zawsze widzisz jego twarz i nie tylko po to-

nie głosu domyślasz się jego nastroju. Ale stary Lepir, jedyny w osadzie, który przyszedł z daleka, nie widział żadnej pomarańczowej mgły. No, ale i przyszedł najprawdopodobniej z najbliższej osady, i choć według jego słów zbłądził się niemamo i omal nie zginał, to zbłądził mógł przecież w miejscu — taka jest właściwość mgły, takie jest Prawo. To, co odchodząc powiedział Wędrowiec Petrinowi nie mieściło się w głowie. Nie — mieściło się, jeszcze jak się mieściło. To pierwsze potwierdzenie tego, że marzenie może się spełnić. On, Log, jeszcze wiele może dowiedzieć się o świecie, w którym żyje. On jeszcze zobaczy takie piękno, jakiego nie widział nikt...

Log wydosłwał się na ulicę, namacał linkę prowadzącą w pole, różniła się od innych, ciągnących się wzdłuż drogi grubością, i szybko poszedł przepuszczając ją między palcami. Znalazłby drogę i tak, chodził w pole codziennie już dwa lata, od czasu jak starszyzna ogłosiła go pełnoletnim. Ale teraz nie chciał iść na chybił trafił. Czy bał się? Tak, bał się też dlatego, że zaawitał cel. Nie należy ryzykować przez głupstwa.

Do wieczora Log ścinał sprężyste łądygi i składał wzdłuż grzędy w równe pasma, żeby idący za nim chłopcy mogli zebrać je w sterty. Praca była monotonna i nie przeszkadzała myśleć, a nawet rozmawiać z sąsiadami, których on oczywiście nie widział, ale doskonale słyszał i znał.

Kiedy głucho zabrzmiał dźwięk gongu — koniec pracy, ściemniło się już Log zmęczony i zgłodził pomyślał, że w tym stanie nie może zrobić tego co na dziś sobie zaplanował. Pójdzie tylko i sprawdzi czy wszystko jest całe, czy ktoś przypadkiem nie znalazł tego polećka. W domu czekał na niego obiad, malcy zawili mu u rąk, a matka, niewidoczna we mgłę i wieczornej szarówce, powiedziała:

— Log, starosta prosi, żebyś zaszedł do niego.

Serce zalomotało. Prosił, żeby przyjść. Kazał — to już lepiej. Ostatni raz starosta wezwał Loga trzy lata temu, kiedy to z dziećmi chodzili rzucać kamieniami w nawiedzany przez duchy dom. Domowi nic się nie stało, ale chłopców i Loga ukarano.

Zjadłszy coś na chybicką, Log wyskoczył z domu i, drogą znaną tylko jemu jednemu, po ledwo zauważalnych znakach — nacięciach, które odnajdował palcami zanim jeszcze zdążył je zobaczyć, doszedł do skraju osady i kucnąwszy, długo szukał końca zastawionej wczoraj linki. Znalazł ją nieco z boku od miejsca, gdzie oczekiwał i pospieszył w gęstniejący mrok, przekonany, że na poletku nie nie znajdzie i, że wezwanie do starosty związane jest właśnie z tym strasznym wydarzeniem, przekreślającym wszystkie jego nadzieje i plany. Tak się spieszył, że skaleczył sobie o coś nogę, ale na poletku wszystko było w porządku, wszystko, tak jak zostawił wczoraj, nie nie ruszone z miejsca, nie nie zginęło.

Odsapnąwszy Log pospieszył z powrotem, aby zastać starostę na nogach — starosta kładł się wcześniej spać — bo inaczej nie uniknąby nowych kar. O powódzie wezwania więcej nie myślał. Najważniejsze, że nikt nie znalazł polećka. Reszta to drobiazgi.

Pod drzwiami starosty nastukiwał chwilke, było cicho, gdzieś w głębi pokoju paliły się oliwne kaganki, rozpraszając mrok żółtawym światłem — trzy okrągłe plamy na szarym płótnie. Starosta mieszkał sam i jeśli nie modlił się w domu modlitwy to leżał zazwyczaj na łożku, odpoczywając po dniu pracy. Starosta nigdy nie miał lekkich dni. Człowiekiem był już niemłodym, a kłopotów było niemamo.

— Podejdz Log, — powiedział starosta, poznawszy kroki. — Nie bój się, wezwalem cię nie po to aby karać, chociaż na karę zasługujesz.

Log namacał ławę przy stole i usiadł. Słoma pod starostą zaszeleściła, nie wstał. I bez tego doskonale wiedział, co wyrażała twarz Loga. Boi się kary. Wszyscy boją się kary.

— Wędrowiec zadziwił cię — powiedział starosta — a ja chcę cię przestrzec. Jesteś Log lasy na wszystko co niezwykłe, masz to we krwi. Ciągnie cię do domu z duchami, to do Wędrowca. I nie zauważasz, że on jest głupi.

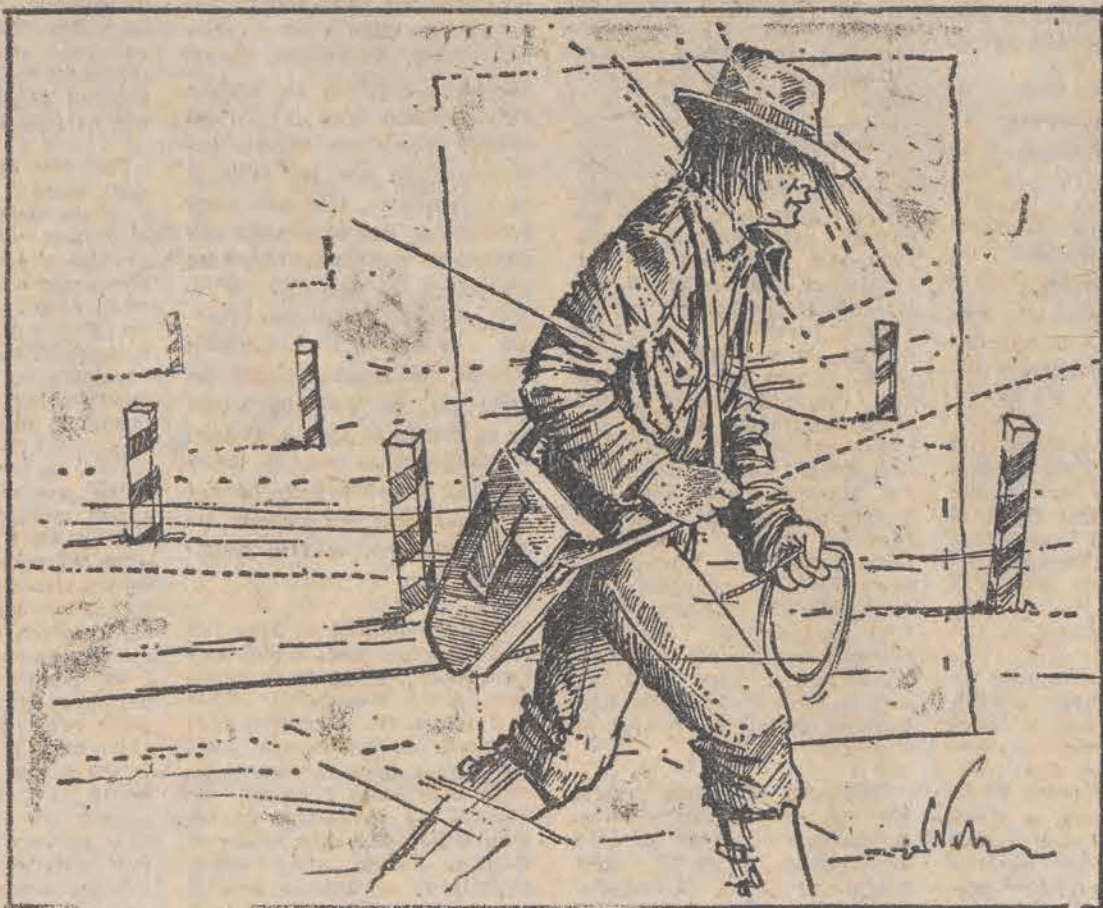
Log szarpnął się i omal nie zrzucił ze stołu kubka z wodą.

— Tak, głupi — starosta podniósł głos. — Mądry człowiek nie będzie się włóczył od osady do osady, kiedy wszędzie życie jest ciężkie i wszędzie jednakowe. Czy nie tego uczy Prawo? Czyż nie po to, by służyć Prawu człowiek żyje? Ty przecież sam dobrze o tym wiesz, starszyzna uważała cię za swego najlepszego ucznia. Czy daleko może sięgnąć wzrok? Na odległość wyciągniętej ręki. Czy daleko może słyszeć ucho? Nie dalej niż do sąsiednich domów. Oto i wszystko. Trzeba żyć tym co cię otacza. Błękitna mgła... Jeśli nawet taka jest, szukanie jej — to niegodziwa herezja. Zeby żyć trzeba pracować i jeszcze raz pracować. I myśleć o bliskich: o matce, o dzieciach, o tym, że dach domu niszczy się i trzeba go naprawić. To jest życie. Ty Log jesteś mądry, a Petrin głupi i umrze gdzieś w polu z głodu i wilgoci. O tobie będą pamiętać, a jego zapomną. Ty zdążyłś dokonać wiele dobrego, a on nawet nic złego nie zrobił. Rozumiesz Log?... Starszyzna chce cię ukarać, ale ja na razie nie będę. Pomyśl Log o tym, co powiedziałem. A teraz idź...

„To znaczy, że starosta dowiedział się o ostatnich słowach Wędrowca” — pomyślał Log, wychodząc z domu. — „Czyżby cieśla Walenty wszystko słyszał?”. Pouczenia starosty były Logowi znane, to były kanony Prawa i na pewno były dobre, ale nie dla niego.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA DĘBSKA



Rys. Janusz Szymbalski-Giano

1

Nagle zastępstwo

Baby Doc i Tuhaj-bej

Koniec karnawału obfitował w fście karnawałowe wydarzenia z dziedziny polityki międzynarodowej. Oto na Filipinach zakończyły się wybory i nikt — na dobrą sprawę — nie wie, kto je wygrał! Do wygranej przynajmniej się zarówno przywódczyni opozycji, pani Corazon Aquino jak i urzędujący prezydent, Ferdinand Marcos. Obydwójce świętują triumf, z tym, że prezydent jakby mniej — przemysłowa pono, żeby wybory unieważnić, co wydaje się dawne nieco w zestawieniu z niezachwianą pewnością, że wybory wygrał. Obydwójce strona zarzucają sobie fałszerstwa wyborcze, co jest pewną osobliwością...

Któryś już z kolei obalony dyktator ma kłopoty z uzyskaniem stałego zameldowania. Baby Doc, czyli Jean Claude Douvalier opuścił swój kraj pozostawiając w neutralnym żalu ukochany naród i blask się biedaczek. Nawet gościnną Francją, w której znalazł schronienie również rozrywkowy facet, cesarz Bokassa, jakos nie kwapi się przyjąć Baby Doc'a z rodziną i (bagatelka) trzydziestopięcioletnią grupką najwierniejszych przyjaciół. Stanowisko rządu francuskiego jest też nieco dziwne. W końcu Douvalier ma w Nicei posiadłość! U nas jak kto ma własnościowe mieszkanie to nie do pomyslenia jest, żeby w nim nie mógł zamieszkać. Najwyżej czynsz mu dawała zwiększony i już...

Jeśli jednak rząd Miłtterranda będzie trwał w niezrozumiałym uporze, to mam pewną propozycję: mamy otóż pewne zobowiązania wobec narodu Haiti. Zobowiązania sięgają początków ubiegłego wieku, kiedy wyspa nazywała się Sainte Dominique. Co tu ukrywać nie wspominają nas tam najlepiej. Otóż możemy zwrócić historyczny dług przysługując biednego, bezdomnego dyktatora i jego przyjaciół. Oprócz dożgonnej wdzięczności Haitańczyków możemy mieć z tego pewne korzyści. Ani Baby Doc, ani ten z jego przyjaciół nie należą do biednych, którzy uciekli boso i w ostatniej koszuli. Ponadto były dyktator jest facet z gustem, zabawici się lubi i trzeba mu tylko stworzyć warunki, a także zostawić w naszym banku niezły szmal. Proponuję zaofiarować mu hotel „Victoria”, może go zresztą nie tylko wynająć, ale nawet kupić na własność. Wtedy nie musimy zajmować się obsługą playboya i jego kumpli. Dołożymy tylko powiększony czynsz za nadmাত্র i z tytułu posiadania lokalu własnościowego. Za parę lat spłacimy znaczną część naszego dewizowego długu, a Baby Doc będzie niewypłacalny, wykwaterujemy drania, damy lokal zastępczy, kartki, robotę w sektorze państwowym i pensję w granicach średniej krajowej...

Tymczasem karnawał w Łodzi, przynajmniej dwie ostatnie soboty, przebiegał pod znakiem Miss Ziemi Łódzkiej. Byłem, widziałem dałem wyraz swemu zachwytowi w poprzednim numerze „Odgłosów”. Tymczasem nie wszystkim żurnalistom impresza się podobała. Choćby na przykład memu redakcyjnemu koleźce, a także reporterowi „Głosu Robotniczego”. Reporter ów skwitował organizację wyborów słowem „balagan”, co jako żywo jest co najmniej przesada. Toteż Express Ilustrowany” główny organizator impre-

zy zareplikował. Nie tylko zresztą. Otóż nasz kolega z „GR” powodowany — być może — zawodową solidarnością, nie wymienił z imienia „EI” jako organizatora wyborów, a kolega z „Expressu”, niejaki (bej) śmiało mu to wytknął, z odkrytą przybicia biorąc na siebie pełną odpowiedzialność za organizatorskie usterki. Kolega (bej) jest odważny jak sam Tuhaj-bej, wszak każde dziecko w Łodzi wie, że wyborami miss zajmuje się ulubiona ponocudniówka łodzian.

Tak to bywa w karnawale...
ANDRZEJ KAROL

Pilny i uważny czytelnik, niestety anonimowy, wytknął mi poważny błąd w publikowanym miesiąc temu felietonie o dopłatach do cen samochodów. Czytelnik ów zauważył, że popełniłem błąd merytoryczny, a także polityczny pisząc o talonach na samochody. Talony — zdaniem czytelnika — były wytworem błędów i wypaczeń poprzedniego etapu. Zostały służnie skrytykowane i zaprzestano ich wydawania komukolwiek.

Natomiast obecnie istnieje słuszną i społecznie akceptowaną formą sprzedaży samochodów na asygnaty. A to jest zasadnicza różnica — stwierdza mój czytelnik.

Sprawdziłem w słowniku Władysława Kopalińskiego (wyd. z roku 1967). Hasło „asygnata” znajduje się na stronie 75, natomiast hasło „talon” na stronie 744. Przysługuję rację czytelnikowi, wycofuję się z błęd. Różnica jest rzeczywiście zasadnicza — 669 stron.

A. K.

2

Czarna chmura nad przyszłością

Wysłuchałem w radiu wiadomości, że kometa Halleya minęła najbliższy punkt koło Słońca i pedzi z powrotem w odległe rejony kosmosu, aby po 76 latach znów powrócić w pobliże Słońca. Za 76 lat, No, to ja już tego nie doczekam. Większość z nas już tego nie doczeka. A co na Ziemi, tej najbliższej planecie Układu Słonecznego, zastanie kometa Halleya, gdy powróci za 76 lat? Ba, gdybym ja to wiedział, to zbiłbym na tym wielki majątek, gdyż mógłbym ludziom przyszłość przepowiedzieć. A tak mogę się tylko przyznać, że nie wiem. Ale pomyśleć, pogadawać — mogę.

Zakładam, oczywiście, że ludzie na tyle zmadrzeją i nie wytluką się nawzajem bombami atomowymi, wodorowymi i neutronowymi oraz tym wszystkim, co jeszcze wymyślą. Czyli zakładam, że póki dla świata zostanie uratowany. To już wiele. Ale czy zostanie uratowana woda, powietrze i zieleni?

Człowiek stół nieustannie przed konfliktem z przyrodą, której jest nieodłączną częścią. Nie potrafił sobie jednak tego uświadomić. Człowiek chce opanować nad przyrodą, a może jedynie wśród przyrody żyć. Coraz więcej miast wstępuje się na listę bezwodnych. Coraz więcej rzekami płynę ścieków. Nie wspomnę już o Nerze czy Bzurze. Gazety przynoszą jednak coraz więcej wiadomości o zanieczyszonych wodach. Oto pod Lublinem jest Zalew Zembrzycki, o powierzchni 300 ha. Ter sztuczny zbiornik wybudowano z myślą

o odpoczynku mieszkańców Lublina, ale nie mogą oni kąpać się w tej wodzie, gdyż jej zanieczyszcie brzożca III klasy. Czy jedyny to przykład?

Myślmy często w partykularnych kategoriach. My, tu w Łodzi mamy wodę, która może już nie zawsze dociera do najwyższych pięter, ale jest, nie będziemy się więc martwić ani o Kraków, ani o inne miasta, które wody już nie mają. Łódź wszakże też wody może za braknąć, w planach jest przewidziana druga nitka wodociągowa Sulejów — Łódź. Tylko że potrzeba na to pieniędzy mocy produkcyjnych, stali, betonu i tak dalej. A tego nie ma tyle, żeby jednocześnie wszystkim starczyło. Możliwość są u nas ciągle mniejsze od potrzeb.

Człowiek chce żyć coraz lepiej, a to jego potrzeba mu coraz więcej stali, żelaza, miedzi, cyny, srebra, szkła, cementu, węgla i innych surowców, których nasza matka ziemia nagromadziła wielkie ilości. Potrzeba mu też węgla i ropy. Wszakże bogactwa naturalna są ograniczone i któregoś pięknego dnia mogą się skończyć. Trzeba o nie dbać. Otóż pojęcie bogactwa oznacza dużą ilość takich rzeczy, które zapewniają człowiekowi spokojną przyszłość. Bogactwem jest zboże złożone w spichrzu, nafta w pojemnikach, złoto w banku, węgiel na hałdach i żelazo leżące w hutach, co tak chętnie pokazywano niedługo w telewizji, jako właśnie przykład i dowód naszego bogactwa przemysłowego. Ale te bogactwa mają to do siebie, że się kończą, wyczerpują i to nie tylko u nas.

W Związku Radzieckim toczy się obecnie bardzo ciekawa dyskusja nad przyszłością gospodarki. Związek Radziecki planuje dokonanie dużego skoku cywilizacyjnego. Na horyzoncie wiek XXI, a to jest symbol rozwoju techniki i nauki i wykorzystanie jej do organizacji naszego życia. Związek Radziecki ma Syberię, może więc pozwolić sobie na wiele. Tak by się wydawało.

W „Izwestiach” ukazała się rozmowa z wybitnym pisarzem syberyjskim Walentynem Rasputinem. Pisarz ten — urodzony i wychowany na Syberii — zadaje kłam takim stereotypom, jakoby Syberia była pełna niewyczerpanych bogactw. Bogactwa jej są ogromne — mówi pisarz — ale nie uważa na nikogo do ich marnotrawienia. I wymienia kolejno Morze Bratskie, Ust-Ilimskie, Sajano-Szuzenskie i Boguczanskie — wszystko są to zalewy utworzone przy zapórach wielkich elektrowni wodnych — na dnie których spoczywają ogromne połacie lasów. A drzewo — to przecież jedno z ogromnych bogactw Syberii.

Walentin Rasputin powiada, że dla niego patriota, to taki człowiek, który w swoim działaniu „nie będzie się kierował chwilową korzyścią, która jutro może okazać się kleską”, ale będzie starał się przewidzieć skutki swego działania. „Nadszedł czas — mówi dalej Walentin Rasputin — albo raczej dawno nadszedł i oby nie minął — kiedy nie można już obejść się bez powszechnego wysiłku nad ekologicznym wychowaniem człowieka, bez względu na to, gdzie mieszka i czym się zajmuje”.

Jak zrozumieć owo „ekologiczne wychowanie”? Chyba tylko tak, aby każdemu wpoić przekonanie, że jest on tylko i wyłącznie częścią przyrody, bez której nie może egzystować. Nie jest panem świata, jest tylko i wyłącznie jego mieszkańcem. Może on siły i skarby przyrody wykorzystywać dla organizacji swego życia na planecie, ale musi to robić mądrze, aby nie naruszyć równowagi sił przyrody, bo wtedy zginie wraz z całą przyrodą, albo skarkowacieje i zdegeneruje się.

Nie mamy wielkich bogactw Syberii, ale możemy nauczyć się na przykładzie mądrości sybiraków, którzy te mądrosi zdobyli w ciągłym obcowaniu z surową przyrodą, jak ja szanować, jak współżyć z przyrodą, a nie bezmyślnie ją opanować. Tylko w taki sposób można rozpedzić czarne chmury, jakie gromadzą się nad naszą przyszłością i nad naszą cywilizacją.

ZENON POROWATY

3

III gatunek z budą

Nasze ludowe niewątpliwie państwo nastarczyć nie może rozlicznym wydatkom. Brakuje na wszystko, a brać nie bardzo jest skąd. To, co gdzie indziej jest workiem złota, u nas wymaga dopłacania do interesu. Biedne ono biedne to nasze państwo. A ludzie to za grosz serca nie mają, ani zrozumienia. Bez przerwy się czegoś domagają. Głównie tego, żeby im się żyło dostatniej. Ale jak trzeba ojczyźnie pomóc, to się podnosi wrzask niemożliwy. Zupnie tak samo jest z przepaszam za wyrażenia — chętnych legion. Ale ubrać kobiety to nie ma komu.

Głównym zmartwieniem naszego państwa nie jest wbrew pozorom wydzwigniecie upadłej gospodarki, zapewnienie godziwych rent i emerytur, doinwestowanie szkolnictwa oraz postępu naukowego. Naczelną potrzebą jest zapewnienie warunków istnienia potężnej armii ludzi, których jedynym marzeniem, celem i zadaniem jest ułatwienie nam wszystkim życia. Czyli biurokratom. Któż bowiem, jeśli nie oni, będzie w pocie czoła komplikował bez końca zasady przyznawania rent i emerytur? Kto za nas odwali kawał solidnej i nikomu niepotrzebnej roboty? Kto sprawi, że najprostsze stanie się niepojęte, a łatwe będzie niemożliwym? Kto wymyśli te wszystkie uproszczenia, ułatwienia i usprawnienia, skutkiem których nigdy nie zapomnimy o podstawowej dewizie działania tej armii — „nie ma tak dobrze”? Przecież tym wszystkim potwornie pracującym ludziom trzeba dać jeść i pić, a nawet zapewnić dach nad głową, pensję i widoki na podwyżki. Skąd na to brać?

Dlatego państwo nasze, dla naszego wspólnego dobra, musi czasem sięgnąć do naszej portmonetki. Ostatnio wpadło ono — to państwo na genialny w swej prostocie pomysły. Ze jest metoda uszczuplenia potwornego nawisu inflacyjnego. Jest, a nawet wala się nam pod nosem złote runo. Węgić śmiało sięgnięto tam, gdzie wzrok nie sięga. Na pierwszy ogień poszła fauna ożywna. Postanowiono podwyższyć podatki od psa. Pies, jako przedstawiciel wzniankowej fauny, skupia w sobie rozliczne aspekty strategii antykrzysowej. Po pierwsze — właściciel bydła, nieważne, rasowego, czy przeciwnie, jest osobnikiem jawnie aspołecznym. Zamiast troskliwie zająć się sierotkami, staruszkami oraz czynnami społecznymi, lokuje swoje wysiłki w głupie zwierze. Po wtóre — pies jest zagrożeniem, a nie, jak twierdzą dywersand — przyjacielem człowieka. Wiadomo, że podjęliśmy bezpardonową walkę z degradacją środowiska naturalnego. Trudno, nie wszystko możemy od razu, ale możemy zlikwidować jedno chociaż poważne zagrożenie dla przyrody, która nas otacza. Wiadomo, że nie tak nie szkodzi roślinkom. Jak sikanie psów. To także niebezpieczeństwo stwarzane przez piactwo srające na pomniki przyrody oraz nieestetyczne psie kupki w miejscach publicznych, na których można się pośliznąć i złamać sobie nogę. Jeżeli więc przyłożymy podatek, to się zaraz odciecha. Właścicielom — hodowcom, a psom wszystkim.

Tak więc aspekt antyinflacyjny (uszczuplenie majątku hodowców) oraz ekologiczny, jest „asny”. Jest jeszcze jeden watek. Zrujnowani podatkiem właściciele psów, zostaną zmuszeni do rezygnacji. Ponieważ zaś wszystkie schroniska dla zwierząt są przepełnione, trzeba będzie błęszki przeznaczyć na kotki. I o to właśnie chodzi. Jak wiadomo problem mlesny ma u nas charakter politycznego panierka lakmusowego, więc dodatkowe zwiększenie oferty w „tym temacie” wydatnie wzmochni nazywie władzy w oczach państwa. Niebawem będziemy

mogli nabyć pyszne bitki i janników, kotlety z cecer-spa-nieli, lub mielonek z kundli. W GALLUXACH pojawia się etoże z owczarków. Słowem — będzie lepiej.

Podobno już drukuje się wydzielone dla sklepów mlesnych — „psina z kością, gat. I”, a także cenniki wyjaśniające klientom, że III gatunek nowego mięska, po obniżonej cenie może zawierać wkładki drewniane. Jako, że jest rabany razem z budą.

Pewien radny z Rady Dzielnicowej oświadczył wprost, że podatek od psa, jest koniecznym wsparciem kompetencji organu ludowładczego pozwala bowiem napędzić pustą kasę, ta zaś pozwala na zaliczanie liczących społecznych potrzeb. Chociażby prowadzenie akcji edukacyjnej dla młodzieży, pod hasłem „Kochaj zwierzątka — bo jak nie, to one ciebie pokochają”.

Ostatnio w urzędach administracji państwowej pojawiły się liczne donosy oskarżające niektórych obywateli o konspirację hodowli psów w piwnicach, komórkach i innym podziemi. Wszystko z chciwości, żeby nie podzielić się z ojczyzną środkami finansowymi. Można jednak mieć nadzieję, że odpowiednio służby sprawnie uporają się z problemem, nie dopuszczając do ocołocenia kas organów lokalnego ludowładztwa.

Niektórzy twierdzą, iż akcja gromadzenia funduszy z podatków od psów ma na celu zakupienie odpowiedniej ilości medykamentów, dzięki którym będzie można humanitarnie i skutecznie uspić wszystkich pomyślowców.

MALAGA

4

Sport

Balagan na stoku

Sezon w górach zaczyna się na ogół w lutym i trwa przez marzec. Wtedy właśnie turyści wybierają się na narty. Jest to sport zimowy, który wymaga zdrowia, wyobraźni i nieśmiałości. Góry są w ogóle niebezpieczne, co nieustannie potwarzają ludzie z GOPR, a w co nikt jakoś nie chce uwierzyć. Góry zimą są więcej niż niebezpieczne, są groźne. Wydawałoby się, że góry w okolicach Szczyrku są bezpieczniejsze niż Tatry, a przecież w ostatnich kilku latach zdarzyło się tam kilka śmiertelnych wypadków. Właśnie zimą i właśnie na nartach Dr A. Lasota — chirurg ze szpitala w Bielsku-Białej — wysunął nawet żądanie, aby narciarze jeździł w kaskach niczym motocykliści. Nie jest to tylko jego fantazja, gdyż w sześciu wypadkach śmiertelnych, jakie zdarzyły się narciarzom w tym rejonie, przyczyną zgonu był uraz czaszki.

Mało kto pewnie wie — a ja dowiedziałam się z artykułu Leszka Rafalskiego w krakowskim „Tempie” — że tak, jak istnieje „Kodeks drogowy”, tak istnieje „Kodeks narciarski”. Jego autorem są prof. W. Lenkiewicz i dr A. Rozmarynowicz. Kodeks ten nie był już od lat wznowiany, choć autorzy gotowi są wnieść wiele istotnych poprawek i przydać się nie tylko początkującym narciarzom. Proponuje się też, aby na stokach jeździła na nartach — tak jak to jest na wodzie — milicja narciarska. Na stokach jest bowiem balagan, a to grozi niebezpieczeństwem narciarzom.

Jak obliczono w Polsce dwa miliony osób przypina sobie narty, aby na nich pojeździć. Kilka tysięcy zanim zacznie odczuwać przyjemność szubowania do stoku, już wędruje do szpitala. Wiadomość ta pochodzi z danych GOPR. A ilu turystów doznaje drobnych kontuzji i urazów, z którymi nigdzie się nie zgłasza, i które umykają wszelkim statystykom? Tego już nikt nie wie. Ze statystyki jednak wynika, że w 38 procentach przypadków rejestrowanych przez GOPR mają one miejsce w pierwszym dniu założenia nart, w 53 proc. ma to miejsce w ciągu trzech pierwszych dni „białego szaleństwa”, a 57 proc. wszystkich, którzy ulegli wypadkowi na nartach, złożyło narci bez żadnego uprzedniego, fizycznego przygotowania. Ot, siedział ktoś za biurkiem cały rok, przyjechał w góry, zdjął narty z bagażnika, albo przyniósł je na plecach z pociągu, złożył na nogi i później złożył mu gips. Koniec zabawy.

Można byłoby w tym miejscu zgłosić postulat, żeby w góry nie wpuszczano ludzi bez wyobraźni, bo ci są najgorsi. Wtem jednak, że jest to postulat nie do wykonania. Bo jak badać, czy ktoś ma wyobraźnię, czy nie? I kto ma to robić? Byłoby już prościej, aby na drogach prowadzących do znanych i mniej znanych zimowych kurortów stały patroly MO i kontrolowały problemem trzeźwości pasażerów zakładowych autokarów zdążających w góry. Jak wieść górską niesie autokary te są niekiedy pełne kompletnie pijanych narciarzy, którzy nie tylko nie przygotowani, ale i nietrzeźwi zakładają narty i wspinają się na stoki. Z wiadomym późnym skutkiem.

Jak z tego widać sport narciarski jest niebezpieczny. I mogłoby się wydawać, że ceny nart, butów i wiązań skutecznie odstraszą wszystkich, którzy chcieliby mieć całe nogi i całe ręce oraz nie poobijane inne części ciała. Ale, gdzie tam! Ludzie zabijają się o narty, o buty, o wiązania, wiozą to później w góry i posługują się tym bez pojęcia, bez podstawowych wiadomości, z tym, jak taki sprzęt należy wykorzystywać, konserwować i jak się z nim w ogóle obchodzić. Mogłoby się wydawać, że jak już ma się narty, wiązania i buty, to to się zakłada na nogi i jedzie. Otóż, nie! Wymaga to konserwacji, regulacji i specjalnego sprzętu do diagnostyki, a u nas taki sprzęt ma kilkanaście warsztatów zarejestrowanych w PZN. Więc wydaje się pieniądze bez pojęcia, namysłu, wyobraźni. Znow ta wyobraźnia!

Wspomniany już Leszek Rafalski w „Tempie” ostro skrytykował Składnicę Narciarską, która kupiła za milion dolarów 19 tysięcy par nart, 10 tysięcy wiązań i butów. Wyceniono to tak, że dolar wyszedł po 1300 złotych, co jest już czystym zdzierstwem. Pod „Pewexem” ponoć biorą dużo taniej. Owe Leszek Rafalski uważa, że byłoby lepiej, gdyby te pieniądze dano fabrykom w Szaflarach, gdzie produkuje się narty, w Krośnie, gdzie robi się buty i w Bielsku, gdzie powstają wiązania. Fabryki te bez dowcu nie unowocześnią produkcji. A handlowcy wydali dewizy na ekskluzywny sprzęt. Balagan nie tylko na stoku.

Sytuacja jest taka, że nie będziemy mieli dobrze rozwiniętego sportu narciarskiego, jeśli nie będziemy mieli sprzętu nie tylko dla wycieczkowców, ale i dla całej reszty, z której czynownicy wyrastają. Na ostatnich mistrzostwach Polski Malgorzata Ruchała z Limanowki pożyczyła swoje narty biegowe firmy Kneissle aż dwóm zawodnikom, którzy dzięki jej uczynności osiągnęli dobre wyniki, a sama została wicemistrzynią Polski. Na jednych nartach daleko się jednak nie zajędzie.

BOGDA MADEJ

— Bo nigdy mnie o nie nie poprosił. A poza tym on potrzebuje prawdziwej kobiety.

Nie rozumiała dlaczego tak bardzo rozgniewały ją te słowa. Mówił prawdę, ale przecież nie chciała w tej chwili przyjąć tego do wiadomości. Wyszła na środek kuchni, wyzywająco stanęła w rozkroku i zadarła spódnice aż po pepek, ukazując różowe majtki.

— A cóż to ja jestem? Garbata? Kulawa? Czy nie mówilo mi wielu o mojej urodzie? Czy nie kazał Kulesza dotykać moich ud, aby się każdy mógł przekonać jaka jest na nich delikatna skóra? Czy nie zachęcał innych, aby mnie szczypli po poślaskach, gdyż mam je twarde jak z kamienia? O moich ciekawych powiedziała Leśniakowa, że są jak kopce graniczne.

— To prawda, Weroniko — skinął głową Horst Sobota. — To jednak musisz wiedzieć, że kiedy cię w młodości las pohanił, zarazem zabrał ci duszę kobiety. Nie jestem aż taki stary i zdzielniały, aby nie domyślić się czemu nie mogłaś żyć z Kuleszą i dlaczego od niego odeszłaś.

Zawstydzona się i opuściła spódnice, wróciła do kuchni i zlewnywała. Po dłuższej chwili milczenia zapytała pokornie:

— Czy to się kiedyś zmieni, Horst? Czy las zwróci mi duszę kobiety?

— Nie wiem — zastanowił się głośno. — Tego chyba nikt nie wie. Może kiedy Maryn zwycięży las, on odda mu wszystkie dusze, które wiały ludzom zabrał wtedy i ty odnajdziesz swoją. A teraz daj mi spokój, bo jestem zmęczony, a to poważna sprawa.

Znicierpliwiła i jeszcze bardziej znużyła Sobotę rozmowa z Weroniką. Był szczęśliwy, że Józef Maryn znowu zwyciężył las, upokorzył i ukarał leśnych ludzi. Po posiłku zaraz wyszedł przed dom na drogę, aby popatrzeć na las okiem zwycięzcy, powiedzieć mu jak nim gardzi i jak go nienawdzi, usłyszeć odpowiedź.

Przedwiozorne słońce pokryło złotą patyną czubki sosen; ich lekkie kołysanie się przypominało podnoszenie się i opadanie piersi ludzkiej, gdy spokojnie oddycha. Las nie wyglądał na zwyciężonego, nie objawiał niepokojów i to martwiło starego Horsta. No cóż, zwykłe sosny może nie miały pojęcia o sprawach wielkiego lasu, to były drzewa pospolite, coś w rodzaju zwykłych żołnierzy ogromnej armii. Czy zwykły żołnierz może coś wiedzieć o kłeszkach generałów lub oficerów?

Sobota poszukiwał wzrokiem nielicznych dębów i zatrzymał wzrok na jednym, starszym od sosen i nieco wysuniętym ze ściany lasu. Dąb niemal wychodził na piaszczystą drogę; raz lub dwa razy pijany leśny człowiek jadący motorowerem, rozbił się o jego chropawy pień. Dąb był weteranem wojny z wichurami, które wiosną i jesienią od pól i jeziora pędziły na las i uderzały w jego skosy. Ile to było wywrótów po takich wichurach. Łamały się sosny i świerki, ale nigdy się nie zdążyło, aby w boju z wichurą padł dąb, chociaż był najbardziej wysunięty do przodu i poddany uderzeniom wiatru. Kto wie, czy to nie w grubych i pokrytych pancerzem kory wielkich pniach dębów kryła się tajemna siła lasu? Nadstawił uszu w stronę dębu, zauważył, że mięsiste liście ledwo dygotały. Wiaterek, który wprawiał w ruch korony sosen, był dla niego za ledwie jak delikatna pieszczota.

Iżajasz Rzepa opowiadał kiedyś Horstowi, wskazując na ów dąb, że pożyje na pewno tysiąc lat, a ma już pewnie ze trzyście. Jeśli ktoś żyje tysiąc lat, to może sobie czekać aż jakiś człowiek, jego dom i jego sad, znużą się walką z lasem. To był dąb szypułkowy — najniebezpieczniejszy ze swojego gatunku, ponieważ rozwija liście dość późno i nie jest przez to narażony na wiosenne przymrozki. Inny gatunek — dąb bezszypułkowy — już wymaga tagodniejszego klimatu i nie potrafi wyrosnąć tak jak ten na wysokość 40 metrów. Jak wygląda świat z takiej wysokości? Horst Sobota wydaje się mu zapewne bardzo mały. Kora tego dębu przyjemnie pachnie, a wywar z niej nadaje się do przemywania skaleczeń i leczenia odmrożeń. Sobota lubił kiedyś dęby. Nawet powalone wyglądały jak niezwykłe rycerze w grubych zbrojach, a poza tym, były dostojne i mowę miały poważną. Smutnie powisywały wiatr w gałęziach sosen i buków, w konarach dębów po prostu huczał. Dęby były jak prawdziwe organy lasu, jego basy. Dęby nie bały się nawet żelaza. Jak opowiadał, ktoś wbił kiedyś sikiere w stary pień i zapomniał o tym. Przyszli do tego samego miejsca po dwóch latach i przekonali się, że wbite w dąb ostrze uległo zupełnej korozji. Po prostu jak gdyby dąb wchłonił żelazo, pokrywając się w tym miejscu atramentową plamą. Lubił więc Horst Sobota dęby, szczególnie te starsze — za ich powagę i waleczność. Lecz kiedy pewnego roku obok świętej posiadzonej w sadzie czeresni znalazł aż trzy młode dęby, których przecież nie zaprosił do siebie, pojawił się z lasem nie może być zawarte żadne przymierze.

Nagle powiał północny wiatr i zrobiło się chłodno. Ciałem Horsta Soboty wstrząsnął dreszcz i stary podrapał do swego pokoju, kładąc się w pościel. Zasympał spokojnie, ponieważ wiedział, że w jego domu jest Józwa Maryn.

Powoli nadchodził wieczór. Weronika wyniosła na podwórkę miskę z jedzeniem i cichym gwizdaniem przywołała z sadu kudłatego Iwo, który bronił owoców na drzewach przed złodziejami z osady leśnej. Pogłaskała psa po łbie, pieszczotliwie szarpnęła go za kudy na karku, a on pomachał ogonem. Potem poszła do siebie na górę i otworzyła drzwi szafki, w której stał mały kolorowy telewizor, który kiedyś kupił jej Sobota. Drugi telewizor, czarno-biały znajdował się w pokoju Horsta, on go jednak prawie nigdy nie włączał. Dla starego obrazki na ekranie zmieniały się zbyt szybko, za przedko mówiły ludzie, rzadko pojmował co się takiego im przydarzało. Nawyki do spokojnej mowy jeziora i lasu. Weronika kiedyś długie godziny trawiła przed telewizorem, ale to było jeszcze przed jej zamążpójściem. Od powrotu do Horsta — nie włączyła go ani razu. Czula obawę, że włączy telewizor właśnie w chwili, gdy jakaś kobieta na ekranie będzie wyjątkowo błoga radość w ramionach mężczyzny. Lecz w tej chwili właśnie pragnęła coś takiego zobaczyć i spróbować, przeniknąć tajemnicę miłosnej rozkoszy. To przecież nie mogła być prawda, że las zabrał jej duszę. Nie mogło tak być, skoro czuła w sobie potrzebę miłości. Podsunęła sobie fotel, na ekranie trwało sprawozdanie z jakiejś uroczystości, zdrzemnęła się zmęczona nocnym czuwaniem i krąceniem koło szopki, gdzie leżał w swej trumnie Horst Sobota.

Obudziła się na skraju nocy. W domu wciąż zalegała cisza, za oknami głośno huczał las, jak gdyby dopiero teraz dotarła do niego świadomość kłeski. Zgasła telewizor i zbiegła do kuchni. Jakiś czas czekała tam aż pojawi się na kolację stary Horst albo Maryn. Drzemka w fotelu nie przyniosła uczucia wypoczynku, dlatego w końcu przygotowała kanapki z mięsem i na ogromnym półmisku pozostawiła je na kuchennym stole. Potem znowu poszła na górę, rozebrała się i położyła do łóżka. Wydawało się jej, że zaraz zaśnie, ukołysana grzmołem leśnych drzew. Tymczasem zamiast snu — pojawił się niepokój.

Czego się obawiała? Co ploszyło jej sen? Przymknęła powieki, a wówczas — wraz z pomrukiem wielkiego lasu — pojawił się jej w wyobraźni obraz (z początku zamglony, potem coraz wyraźniejszy), gdy o świcie Horst wsiada do autobusu i jedzie do miasta z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi. Zastanawiała się, czy trudno mu będzie znaleźć kobietę, która — podobnie jak Maryn — pragnęła miłości. Nie, to nie mogło być trudne. Bardzo wiele kobiet (mówiły o tym książki) pokazywała te telewizja) marzyło o miłości wielkiej i prawdziwej. Co to znaczyło, że miłość ta miała być wielka? Horst Sobota weźmie ze sobą dużo pieniędzy, wystarczy ich na miłość naprawdę wielką. Czy będzie orawdziwa? Nikt chyba nie wie jak wygląda miłość prawdziwa, więc każda miłość może się wydawać prawdziwa. Tylko że Maryn pochodził z innego świata i na pewno zdołał poznać różne smaki miłości. Jego nie będzie łatwo oszukać.

Jak zrozumieć mężczyznę? Kulesza też jej mówił, że szuka miłości wielkiej i prawdziwej, a skończyło się na tym, że przyszedł do niej z nabrzmiałym tyłami praciem i zadawał jej ból. Co noc kładł się na niej i poruszał godzinami, bo jak się usprawiedliwiał — kochał swoją żonę. Koleżanki opowiadały jej, że niektóre kobiety znają rozmaite sztuczki, którymi brzydzą się inne, i tymi sztuczkami rozbudzają miłość męż-

Wielki las

(33)

ZBIGNIEW NIENACKI

czynny. Dziewczyna z Gaud była zbyt młoda i chyba nie aż tak doświadczona, stąd Maryn nie chciał jej po raz drugi. Z tą nową jednak może stać się inaczej...

Pomasowała dłońmi swoje piersi, przesunęła palcami po brzuchu i udach. Tytu mężczyzny się za nią oglądało na ulicach, tytu jej mówiło, że jest piękna, w tytu męskich oczach widziała wstrętne pożądanie, Kuleszą zapewniał ją, że wystarczy mu spojrzeć na jej poślaski, albo obnażone uda, a zaraz budzi się w nim pragnienie miłości. Tylko, że jej zależało na innej miłości. Właśnie, na jakiej? Czy Maryn też nie szukał miłości wielkiej i prawdziwej, choć przecież wspominał, że ona nie istnieje, ponieważ kochać trzeba istotę żywą, a nie obraz, czy figurę z marmuru. Leśniakowa twierdziła, że Weronice potrzebny jest mężczyzna duży i ciężki. To nieprawda. Nie zależało jej na tym, aby Kulesza był duży i ciężki, po prostu w pewnej chwili poczuła wstręt do jego ciała owłosionego nawet na plecach. Maryn był gładki jak wąż. Ciekawe czy dałby się pogłaskać po swojej bezwłosej skórze i czy to przypominałoby głaskanie dziecka? Tak czy siak jutro lub pojutrze Horst przywiezie do miasta jakąś kobietę, która będzie się panoszyć po całym domu, leżąc w łóżku z Marynem, dotykać jego ciała. I to była myśl, która sprawiała jej największy niepokój. A poza tym, chyba coś jeszcze. Przecież jeśli Horst widział w Józwie kogoś, kto zamieszkał u niego, aby walczyć z lasem i przez to Maryn stał się jak gdyby własnością Horsta, częścią jego domu i sadu, to czy tym samym nie był Maryn także po trosze własnością Weroniki? I dlaczego miałaby oddać obcej kobiecie swoją własność?

A gdy tak to ona, Weronika, oddała się Marynowi? Tak po prostu zeszła na dół i położyła mu się w łóżku. Przecież nawet nie musiałaby mu, powiedzieć: „masz mnie, zaspokój swoje pragnienie miłości, zakaż Horstowi przywozić obcą kobietę”. Maryn to zrozumie bez zbędnych słów, nie zachce innej, skoro otrzyma Weronikę. Co ona straci, a co zyska? Dozna chwili bólu jak wtedy, gdy wchodził w nią Kulesza, a potem będzie leżała, czując jak się w niej Maryn porusza. Może nie będzie tego czynił aż tak długo? Przeżyje to, bo przecież przeżyła tyle strasznych nocy z Kuleszą. Później zaś będzie spokojnie leżała obok Józwy, dotykać jego bezwłosej skóry i może zaśnie, wdychając kwaśny zapach męskiego potu. „Pot Józwy ma woń kory dębowej” — stwierdziła i nie wiadomo dlaczego, zaraz przyszła następna myśl, że stał się on także częścią lasu.

I oto nagle była gotowa, aby zejść na dół i położyć się obok Józwy. Wstrzymała ją jednak strach przed bólem i wstręt do sterzącego pracia. Strach ten jednak i wstręt miał w sobie podobieństwo do uczucia, które poznała, gdy oglądała fotografie zmasakrowanych twarzy kłusowników. Jej serce zaczęło szybciej bić i w podbrzuszu odczuwała się pulsujące podniecenie. Po omacku sięgnęła ręką do stolika, namacała butelkę z perfumami, które jej w Bartach kupił Maryn, skropiła sobie nimi palce i tymi pachnącymi palcami natarła skórę na szyi i piersiach. Józwa chyba lubił ten zapach, skoro kupił dla niej w mieście właśnie te, a nie inne perfumy. Chciała stać się dla niego kobietą podobną do tych, które otaczały go w tajemnym świecie, z jakiego przybyła tu jego była żona Eryka. Ja także otaczała subtelną woń perfum zupełnie odmiennych od perfum kelnikerki z Gaud. Może dlatego Maryn nie chciał więcej tej dziewczyny, ponieważ pachniała inaczej niż Eryka? Maryn czekał na miłość wielką i prawdziwą. Weronika też pragnęła właśnie takiej miłości. Kto wie, czy nie przydarzy im się cud narodzin owej miłości, właśnie tutaj w domu Horsta, tej nocy? Czy wolno przepuścić taką szansę?

Wstała z łóżka, na gołe ciało narzuciła szlafrok, rozpuściła włosy i bosą, bezszelesnie zeszła na dół. Tak samo cicho otworzyła drzwi do pokoju Maryna i na chwilę zatrzymała się koło drzwi. W pokoju było ciemno. Mimo wszechobecnego pomruku lasu usłyszała jednak równy oddech śpiącego na łóżku mężczyzny. Chciała, aby zbudził go dopiero ciepło jej nagiego ciała. Tylko że on był jak dzikie, zawsze czujne zwierzę lub jak wielki las, który nigdy naprawdę nie spał. Raptem jak gdyby przestał oddychać, a potem, gdy poczuł chyba zapach jej perfum i już wiedział, kto do niego przyszedł, padło jego pytanie:

— Czego chcesz ode mnie, Weroniko? Miała w myślach odpowiedź: „Daj mi miłość wielką i prawdziwą”. Lecz zacięła usta i podeszła w ciemnościach do łóż-

ka. Zrzuciła z siebie szlafrok. Naga wsunęła się pod kołdrę. On też był nagi, poczuła przy swoim ramieniu i biodrze ciepło jego gołej skóry. Leżeli tak obok siebie nieruchomi, być może onieśmieleni swoją obecnością. Jak długo to trwało? Minutę? Godzinę? Nagle usiadła sobie, że jego ciało stało się chłodne. Aż dreszcz ją przeszedł. Leżała na plecach tak jak i on i nie wiedziała, co powinna robić dalej. Czy czekać aż — podobnie jak to robił Kulesza — on rzuci się na nią i przgniecie swoim ciałem. Pożałowała, że przyszła tutaj, bo już coś się w niej kurczyło ze strachu na myśl o oczekującym ją bólu. Lecz on wciąż leżał obok niej, dotykając ją swoim chłodnym udem. Może czego innego należało oczekiwać od mężczyzny, do którego kobieta sama przyszła niż od mężczyzny, który przyszedł do kobiety, jak Kulesza? Przekręciła się więc na prawy bok i lewą dłonią pogłaskała go po twarzy.

I znowu ani się poruszył, ani nie odezwał. Wtedy jej dłoń delikatnie przesunęła się po jego zamkniętych powiekach i zatrzymała na lekko rozchyłonych ustach. Opuściła palców znajdujących się w niej kurczyło ze strachu na myśl o oczekującym ją bólu. Lecz on wciąż leżał obok niej, dotykając ją swoim chłodnym udem. Może czego innego należało oczekiwać od mężczyzny, do którego kobieta sama przyszła niż od mężczyzny, który przyszedł do kobiety, jak Kulesza? Przekręciła się więc na prawy bok i lewą dłonią pogłaskała go po twarzy.

W tym samym czasie, gdy wielki odrzutowiec wznosił się na taką wysokość, że nad drzwiami salonu pasażerskiego zniknęło światelko z napisem zakazującym palenia i Christopher Bullow wyciągnął z kieszeni swoją płaską złotą papierosnicę, leśniczy Karol Stęborak zatrzymał harleya na linii oddziałowej przy swojej uprawie. Potem nagle porzucił harleya i zgarbiony, jak gdyby rozbolony go łoladec, niepokojąco czerwonych igielek modrzewia i ujrzał jak owe igielki spływają na ziemię. Z cichym trzaskiem suchego drewna złamała się w palcach Stęboraka również gałązka sadzonki. Nie mógł mieć żadnej wątpliwości — jedyny ocalały modrzew na jego uprawie był już także martwy. Stęborak upadł na kolana, zasłonił twarz dłońmi i chciał krzyknąć przeklinając, lecz tylko jęk wydobył mu się z gardła. Oto stało się najgorsze: wielki las nie przyjął jego ofiary: fałszywego świadectwa przeciw Horstowi Sobocie. Las go nie pokochał i nakazał umrzeć wszystkiemu, czego się dotknął Stęborak. Można było szukać setek naukowych przyczyn wypadków na jego uprawie, po sto razy zastanawiać się, czy siedlisko zostało właściwie wybrane, zmusić kogoś do analizy gleby i zasobów jej wilgotności. Nie na wiele by się to jednak zdało, gdyż jutro przyszedłby tutaj stary Kondradt, zasadził suchy patyk, który wiosną okryłby się świeżą zielenią. Las nie chciał pokochać Stęboraka, choć tak bardzo uszanował prawa lasu, że nawet stał się złym człowiekiem: sprowadził Kozusznika, aby zbudował trak w zwirowini obok domu Horsta Soboty, a potem wydał fałszywe świadectwo przeciw bliźniemu. Zło jakie czynił dla lasu obracało się przeciw Stęborakowi. Oto teraz ów tartak przez cały dzień pracował obok domu Stęboraka, ostrze traka ciele ogromne dłużyce, wydobywając z nich przenikliwy aż do bólu pod czaszka — głos udarczonego drewna. Bala się tego pisku Malwina i przez całe dni przesiadywała w kuchni, gdzie zgrzyt słyszało się naj-słabiej.

CDN



Rys. Janusz Szymański-Głano